

4057

PAMIĘTNIKI

ś. p.

ALEKSANDRA GUTTREGO.

Z LAT 1845, 46, 47.



859^a

W POZNANIU.
NAKŁADEM L. RZEPICKIEGO FIL. DRA
CZCIONKAMI I W KOMISJI W. SIMONA,
1891.

Wojewódzka
Biblioteka
Publiczna
w
Poznaniu

2382

013.874335/1914 : 8228/2

WSTĘP.

Lata 1846, 47, 48, były tak okropne dla Księstwa, a z drugiej strony przyniosły znowu tyle korzyści dla sprawy publicznej, że im choć kilka słów poświęcić należy: tém więcej, że na tę ostatnią okoliczność nie zwrócono dotąd żadnej prawie uwagi. Lata jednakże wspomniane, nie tylko przeważny wpływ wywarły na usposobienie ludu wielkopolskiego, ale nadto położyły węgielny kamień do jego wykształcenia politycznego.

W roku 1846 zarządzone przez komisją Siedzącą aresztowania członków Związku Narodowego, wtrąciły do więzienia mnóstwo obywateli z wszystkich warstw społecznych, na całej przestrzeni W. Ks. Poznańskiego. Forteca poznańska i wszystkie więzienia powiatowe, przepelnione były aresztowanymi; a cała ludność Wielkopolski i Prus Zachodnich była pod śledztwem sądowem. Powiedzieć można bez przesady, że nie było prawie wioski, ani zakątka, w których by wysłańcy komisji śledczej nie odbyli rewizyi, lub nie pociągali służebnych do indagacyji, celem wykrycia i stwierdzenia winy uwięzionych. Smutek i cisza zaległy całą krainę i trwogą napelnily pozostałe rodziny o los braci, mężów, lub synów pod śledztwem zostających.

Ale zaene Polki nasze, niezachwiane na duchu, z poświęceniem uwielbienia godném, przybrawszy do pomocy patriotyczne duchowieństwo nasze, rozwinęły zadziwiającą czynność na całej przestrzeni Księstwa, aby ratować uwięzionych. Pracowały więc niezmiordowanie nad oświeceniem ludu o celach Związku i poczeiwych zamiarach uwięzionych obywateli. Przedstawiano temu ludowi, że świadectwo wymu-

szone przez władze pruskie, na niekorzyść oskarżonych podda rządowi upragnioną sposobność do ich potępienia, ale korzyści żadnej nie przyniesie ogółowi. Gdy przeciwnie, oszczędzając oskarżonych i zastawiając się w zeznaniach przed sądem zupełną nieznanomością przygotowan do wybuchu i zamiarów, o które panowie oskarżeni zostali, nie szkodząc nikomu, dopomoże im do wydobycia się z za krat więziennych.

Gdzie przedstawienia podobne nie pomogły, tam ksiądz uspakajając zakłopotane sumnienie świadka, przekonał go ostatecznie, że nie godzi się składać potępiających zeznań na korzyść nieprzyjaciół kraju, a na zgubę ziomeków własnych.

Była to na wysoką skalę propaganda, a w następstwach swoich najskuteczniejsza dla sprawy narodowej, jak to rok 1848 pokazał.

Lud, przed rokiem 1846 bałamucony i podburzany przez urzędników przeciw dziedzicom, że ci chcieliby koniecznie przywrócić dawną Polskę, aby w niej zaprowadzić dawne poddaństwo i odebrać włościanom ziemię, którą im król darował, był co najmniej, w większej części, obojętnym dla sprawy narodowej. Panom nie ufał na każdym kroku, bo ich posądzał o złe względem siebie zamiary.

Dopiero owa propaganda naszych kobiet, z pomocą duchowieństwa, po uwięzieniu związkowych wytrwale prowadzona, oświecała powoli obalamucony lud o postępowaniu rządu w obec nas Polaków, o zamiarach uwięzionych obywateli, że oni właśnie chcieli podnieść ten lud do godności obywatelskiej i oswobodzić Ojczyznę z pod obcego jarzma. To też dopiero teraz lud, widząc, że dziedzicami, księżmi i chłopami zapelnione więzienia pruskie, zaczął po swojemu rozumować, że to nie musi być prawdą, o czém mu urzędnicy rozpowiadali, boby w takim razie chłopci z księżmi i panami nie trzymali.

Przy schyłku następnego, 1847go roku, krwawe wyroki sądu kameralnego w Berlinie, znaczną liczbę oskarżonych skazujące na śmierć lub długoletnie więzienie, jakkolwiek skazańcy przyjęli je z spokojem i godnością, rozniosły wśród licznych rodzin Księstwa, smutek i obawę o los skazańców, ale zarazem i słuszne oburzenie przeciw sądom...

Nikt nie umiał zrozumieć, jak można było na śmierć skazywać ludzi, którzy nie myśleli wojny wypowiedać Prusom, ale co najwięcej chcieli pruską bronią się uzbroić i wszystkie, wydobyte z Księstwa i Galicyji siły, zwrócić przeciw Moskwie.

Ale to nie pierwszy raz rząd . . . w podobny sposób objawiał niechęć swoją przeciw Polakom z Księstwa. Pamiętano rok 1831, w którym za przejście do Królestwa obarczano karami więzieniami i pieniędzmi, obywatele wielkopolskich. Ostatnie dochodziły, oprócz kosztów sądowych, do 20 i 30 tysięcy talarów, na pojedynczych, zamożniejszych obywateli. Trudno więc było spodziewać się czegoś lepszego i w obecnym przypadku.

Tak przemigła zima z r. 1847 na 48 wśród smutku i powziętej a słusznej obawy o los skazanych, którzy tymczasem apelowali od wyroków pierwszej instancji do drugiego senatu tegoż sądu kameralnego, przeznaczonego na sądzenie spraw o zbrodnię stanu.

Ale z nadchodzącą wiosną r. 1848go zerwana na Zachodzie burza rewolucyjna przeszła jak huragan przez Europę całą i wstrząsnęła aż do posad tronami z Bożej łaski. Nikt jednak nie spodziewał się, aby owa spokojna stolica Prus, ten ultra lojalny Berlin, miał odwagę zdobyć się na coś podobnego. Nie podejrzrywano nawet, aby w łonie swoim posiadał materiał do rewolucyi. Wybuchła ona jednak mimo to niespodzianie a gwałtownie, jak piorun z pogodnego nieba i po 36 godzinach krwawej na ulicach walki, stała się panem boju i stolicy.

Łud berliński uwolnionych tymczasem za wyrokiem królewskim więźniów naszych wprowadził w tryumfie do miasta.

Powróceni na łono rodzin po dwuletniej niewoli skazańcy nasi, przywieśli z Berlina bardzo radosne wiadomości, że wojna Prus z Moskwą postanowioną została w łonie nowo wybranego gabinetu; że reorganizacja Księstwa, a z nią formacja wojska narodowego, mają nastąpić niebawem; że wszędzie tworzą gwardyje narodowe. Jakoż rzeczywiście

i w Poznaniu sformowała się natychmiast taka gwardyja, a niebawem utworzył się Komitet narodowy do pilnowania interesów polskich. Z jego polecenia zaczęto po wsiach i miastach tworzyć takie same gwardyje na całej przestrzeni Księstwa. Władze zaś wojskowe i cywilne, czy w skutek wyższego rozkazu, czy dla braku wszystkich w tej mierze rozporządzeń, zachowywały się całkiem biernie.

Każdy był przekonany, że wreszcie wybiła godzina odrodzenia Polski, bo wojna z Moskwą, wedle planu ówczesowego ministra Armim, w tym właśnie celu miała być rozpoczętą.

Lud nasz wziął się ochoczo do obsadzania kós, ludzie dworscy i mieszczańscy przyspasowali broń palną; po dworach przygotowywano konie i kulbaki i wszystko co żyło pragnęło pójść w przedniej straży na tę wojnę z Moskwą.

Ta radość i nadzieja nie długo miały gościć wśród ludności wielkopolskiej. Reakcyja wzięwszy górę w otoczeniu bezradnego króla, spowodowała go do opuszczenia Berlina i w Poczdamie utworzyła przy jego osobie radę przyboczną, rodzaj odrębnego ministerstwa, które tajemnymi rozporządzeniami krzyżowało i znosiło rozkazy ministrów w Berlinie rezydujących.

Przysłany przez ministeryjum berlińskie generał Willisen do zreorganizowania Księstwa, nie zrobić nie zdołał wskutek oporu władz wojskowych i cywilnych na miejscu, bo tajemne rozporządzenia rady poczdamskiej przesyłały wprost przeciwne tamym rozporządzeniom.

W skutek tych ostatnich, generał komenderujący w Poznaniu ogłosił stan oblężenia, nakazał koncentracją wojska i rozesłanie kolumn ruchomych na rozbrojenie Księstwa. Dowiedziawszy się o tych rozporządzeniach naczelniczej komendy. Komitet wojskowy, utworzony przy Komitecie narodowym rozesłał rozkazy, aby kosyniery, strzelcy i konnica ścigały się niebawem na wyznaczone punkta, aby nie zaczęły Prusaków, ale zaatakowane, albo aby stawily czoło, albo w razie przemagającej siły, każdy zaatakowany obóz miał się cofnąć do najbliższego oddziału i tak dalej, dopóki liczbą nie wyrównał pruskiemu oddziałowi.

Tak widoki przyszłej wojny z Moskwą o wyswobodzenie Polski zamieniły się w pewność krwawego starcia z Prusami. Jakoż po niedługim czasie oddziały nasze pod Książem, Miłosławiem, Nowém miastem i Pleszewem zebrane, a przez komisarza królewskiego, generała Willisena uznane za jądro utworzyć się mającego wojska polskiego w Księstwie, jedne po drugich zaatakowane zostały przez Prusaków. Białokórski, zaczepiony przez oddział pruski pod Raszkowem, odparł Prusaków i forsownym marszem przybył pod Miłosław w czasie rozpoczętej bitwy. Podpułkownik Dąmbrowski, oficer z r. 1831go, zaatakowany w Książu, po kilkogodzinnej walce został śmiertelnie ranny, a oddział jego, straciwszy blisko połowę ludzi, po mężnej obronie, otoczony ze wszystkich stron przez przemagające siły, musiał się w końcu poddać.

Następnie Mirosławski, zaatakowany pod Miłosławiem, ściągnąwszy oddział Garczyńskiego z pod Nowego miasta, wsparty oddziałem Białokórskiego, pobił Prusaków na głowę i udawszy się trzeciego dnia po bitwie pod Miłosławiem, do Wrześni, zbił Prusaków pod wsią Sokołowem i zmusił do cofnięcia się aż do Gnieźna.

Ale na tych dwóch zwycięztwach zakończyć się musiała krótką naszą kampanija z Prusakami. Oddział straciwszy w dwóch krwawych bitwach dużo ludzi i najlepszych oficerów w zabitych i rannych, nie miał już sił dostatecznych na trzecie spotkanie. A zresztą nie można było rościć pretensyi, aby ta garstka zwyciężyć mogła potęgę Prus całych. Honor narodowy uratowanym został, dalszy rozlew krwi byłby niełudzkością, szaleństwem, i tylko mógłby zaszkodzić sprawie naszej. Odparszy Prusaków po dwakroć, nie należało się narażać na pewną przegraną z uszczuplonym oddziałem w obec połączonych sił pruskich, szczęście razy silniejszych od nas. Przegrana z naszej strony byłaby zatarła wpływ i urok dwóch zwycięztw naszych i podziałała demoralizująco na ludność wielkopolską.

Należało więc uniknąć spotkania nowego z nieprzyjacielem, a z drugiej strony nie dopuścić, aby Prusacy zabrali szczupły nasz oddział żywcem do niewoli i tym tryum-

fem przechwalać się mogli przed światem. Jedynym przeto środkiem do uniknięcia tych dwóch niebezpieczeństw było rozpuszczenie oddziału i zalecenie ludziom, aby manowcami rozeszli się do domów.

Tak się też stało z wielkiem dla Prusaków niezadowolnieniem.

Po rozejściu się oddziału, mieszkańcy polskiego pochodzenia doznali srogiego prześladowania nie tylko ze strony wojska, ale szczególnie od niesfornych band niemieckich, sformowanych przez niejakiego Littichau, Niemca przybędę z Kongresówki, który napadał domy obywatelskie i dopuszczał się niesłychanych gwałtów nad bezbronnymi. Waleczny ten rycerz, nie miał ochoty stanąć do boju, dopóki Polacy byli pod bronią. Dopiero, kiedy nasi rozeszli się do domów, on wystąpił z niezrównaną odwagą przeciw bezbronnym starcom i kobietom, a jego waleczne hufce, zaigrane meztwem wodza, rabowały opuszczone domy obywatelskie, znęcały się nad ludem, poniewierając i bijąc bez miłosierdzia każdego, kto nie zdążył schronić się przed tym iście tatarskim napadem. A rząd, co na to? Rząd dał mundury i uzbrojenie tym , a wojsko ? Patrzano przez szpary na tę swawolą rozbestwionych kolonistów, podczas gdy pisma niemieckie nie wstydziły się nazwać tych rabunków i rozbojów popelnionych bezkarnie w dzień biały, *mlodzieńczyi objawami odradzającej się wolności niemieckiej*.

Okropne to były czasy dla Księztwa; na ich wspomnienie krew się dzisiaj jeszcze burzy w człowieku i jedno tylko budzi się uczucie, przeciw nieludzkim Polski.

Ale jakkolwiek Księztwo przebyć musiało srogie prześladowanie ze strony najezdniczego i znęcanie się rozpasanej na wszystkie bezprawia miejscowej jakkolwiek pojedyncze rodziny zachwiały się majątkowo, to jednakże wszystkie te cierpienia i kłeski nie mogą iść w porównanie z korzyściami, jakie sprawa narodowa odniosła.

Wspomniałem wyżej, iż lud wielkopolski, przed rokiem 1846 był co najmniej obojętnym dla sprawy ojezy-

stę, a dziedzicom nie ufał, bo urzędnicy, usiłując z rozkazu wyższego utrzymać rozdwojenie w klasach społecznych, podburzali go przeciw dawniejszym panom, od czasu rozpoczętej regulacyji włościańskiej. Związkowi zatem mogli tylko bardzo ostrożną rozpocząć propagandę, która zyskiwała liczne jednostki dla sprawy powstania, ale mas całych ogarnąć nie była w stanie.

Po aresztowaniu związkowych w r. 1846, ustanowiona przez rząd komisya śledcza, opatrzona nieograniczonemi prawie attrybucyjami, zbierać dopiero musiała dowody przeciw pojedynczym uwięzionym osobom, bo związek, albo został zdradzonym, albo władze ówczasowe na oślep zarządziły aresztowania *en masse* bez materyjalnych dowodów.

Bądź jak bądź, wspomniona komisya zarządziła śledztwo pomiędzy ludem i dworskimi, na całym obszarze Księstwa i znacznej części Prus Zachodnich w nadziei, że na tej drodze zdołają naszych więźniów obarczyć winą zbrodni stanu, w obec sądów pruskich. Nie szczędzono grózb, a nawet poniewiérki przy badaniu świadków, aby z nich wydobyć koniecznie takie zeznania, któreby zaprowadziły obwinionych na rusztowanie.

Taka namiętna z pogwałceniem wszelkich przepisów prawa połączona działalność przy badaniu świadków; taka zaciekla nienawiść mniemanych owych stróżów porządku i sprawiedliwości, jaką rozwijali na każdym kroku, musiała w koniecznym następstwie wywołać całą energiją i poświęcenie naszych Polek, ku ratowaniu oskarżonych.

Tą zaś drogą Polki nasze, nie wiedząc może nawet o tém, szerzyły najskuteczniejszą propagandę pomiędzy ludem, propagandę zwiacającą go na drogę uczuć narodowych. Lizard wprost przeciwny zamierzonemu osiągnął skutek, bo lud przejrzał nareszcie, dokąd zmierzały jego usiłowania zrozumiął, że ostatecznym ich celem było potępienie uwięzionych patrijotów, których całą winą, główną zbrodnią, była miłość Ojczyzny i chęć odzyskania bytu niepodległego — i to nawet tylko od strony Moskwy.

Pomimo więc wszelkich wysilen i gwałtów, pomimo

gróźb i poniewierki świadków, śledztwo na tak obszerną skalę przeprowadzone, albo nic nieznaczące drobnostki, albo wcale nie wykryć nie zdołało w kraju.

Natomiast lud zaczął myśleć i rozumować nad tém wszystkiem co widział, co słyszał, czego niejednokrotnie sam doświadczyć musiał w ówczesnych okolicznościach — i ostatecznie stanął po stronie obwinionych. Srogie wyroki zapadłe przeciw nim przy końcu r. 1847, obudziły powszechne oburzenie i współczucie dla obwinionych, pośród ludności Księstwa, a każdy co był pod śledztwem, czuł się podniesionym na duchu, że nie skompromitował żadnego z obwinionych, że dopełnił sumiennie obowiązku Polaka i z radością opowiadał innym i doznane przygody i stałość swojej podczas badań sądowych. Byli to, może bezwiednie nawet, prawdziwi apostołowie ideji narodowej, pomiędzy ludnością polską, — a nienawiść przeciw wszystkiemu co polskie, wywołała przeciw niemu nienawiść w ludzie wielkopolskim.

Oto są główne przyczyny, skutkiem których rok 1848 znalazł taką gotowość ludu w Księstwie dla sprawy narodowej, taką ochoczość do boju z nieprzyjacielem.

Niech więc nikt nie lekceważy wypadków z owęj pamiętnej w dziejach naszych epoki. Lata 1846 i 47 jako iskra elektryczna, brzemienna miłością Ojczyzny, podziałały przeważnie na usposobienie ludu wielkopolskiego, w roku zaś 48 odebrał prawdziwy choć krwawy chrzest obywatelstwa, bo wtedy po raz pierwszy może stanął do boju z nieświadomością i przekonaniem, że prawdziwe zbawienie narodu polega na ścisłym zespoleniu sił własnych, że wolności narodowej nie można się spodziewać od nieprzyjaciół kraju, i że kto pragnie być wolnym obywatelem w własnej Ojczyźnie, musi na zewnątrz odzyskać jej niepodległość.

Część I.

Zanim przystąpię do skreślenia wypadków, jakie zaszły w kraju przed rokiem 1846tym, wspomnieć muszę o stronnictwach, jakie się wytworzyły na emigracyji po r. 1831szym. Wywierały one bowiem przez lat kilkanaście potężny wpływ na kraj i znakomite oddały przysługi sprawie narodowej przez gruntowne rozjaśnienie najżywotniejszych kwestyji politycznych i społecznych za granicą, które inaczéj może dopiéro kosztem krwi bratniej na ziemi ojczystéj przeprowadzićby się były daly.

Jedno z owych stronnictw emigracyjnych, zaane pod nazwiskiem Towarzystwa demokratycznego polskiego, założyło w kraju rozległe sprzysiężenie wyswobodzenie Polski na celu mające, którego prace i koleje opisać właśnie zamierzam.

Po wypadku powstania naszego po roku 1831szym, rząd, sejm, wojsko, znaczna część inteligencyji krajowej — zgoła wszystko co się nie czuło bezpieczném przed zemstą Moskwy, opuściło kraj i po większej części udało się do Francyi. Tam po kilku nieudanych próbach wytworzenia za granicą reprezentacyji narodowej, jak za pomocą zwołanego na obczyźnie sejmu, Komitetu reprezentacyjnego itp. członkowie byłego rządu, sejmu i część starszizny wojskowej zawiązali się w stronnictwo pod zwierzchnictwem księcia Adama Czartoryskiego i postanowili sami wyłącznie być przedstawicielami całego narodu polskiego, a zarazem obrońcą jego praw politycznych w obec gabinetów europejskich.

Punktem jednakże wychodnim stronnictwa tego, arystokratyczném nazwanego, były traktaty wiedeńskie z roku 1815go, a więc żądanie przywrócenia Polski Kongresowej

wgranicach owemi traktatami zakreślonych. Całą zaś nadzieję polityki swojej opierało na przypuszczeniu, że gabinety, które wpływały na te postanowienia kongresu rzeczowego, będą upominały się o zachowanie traktatów, które same były podpisały, a tém samém o przywrócenie Królestwa Polskiego przez Europę na Kongresie wiedeńskim ustanowionego.

Polityka zatém stronnictwa konserwatywnego zamykała się w dwóch punktach: Traktaty wiedeńskie i pomoc gabinetów europejskich na kongresie reprezentowanych do przywrócenia Polski w granicach owymi traktatami objętych, wraz z przywilejami i instytucjami, jakie Polska po roku 1815ym posiadała.

Stósownie téż do téj przez siebie przyjętej polityki stronnictwo arystokratyczne rozpoczęło działanie swoje od wniesienia w imieniu całego narodu polskiego mocyi („motion“) w parlamencie angielskim o przywrócenie Polski z r. 1815go, a więc o przywrócenie tylko Polski Kongresowej, z pominięciem Litwy i Rusi, pomimo że one przyłączyły się do powstania w r. 1831szym, że wojska polskie wkroczyły były w czasie powstania do tych dzielnic dawnéj Polski, celem ich wywalczenia z pod jarzma caratu, i że nawet posłowie z tych dzielnic zasiadali w sejmie warszawskim. Polityka zatém stronnictwa arystokratycznego stawała w rażącej sprzeczności z wolą narodu i z czynami dokonanymi, bo przytoczone fakta dowodziły, że po usunięciu smutnéj pamięci dyktatury, w walce z Moskwą nie chodziło już tylko o wyswobodzenie Polski kongresowej, ale całego zaboru moskiewskiego.

Wszystko to oburzało w emigracyji umysły ludzi młodszych wiekiem, ale wykształconych, pełnych zapалу i pojmujących na szerszych podstawach politykę narodową. Przeciwnie wszelkim robotom dyplomatycznym, które nietylko dawniej, ale i w czasie powstania w roku 1831szym tyle szkody Polsce przyniosły, uważali program polityczny stronnictwa arystokratycznego za zbyt ciasny, a nawet za szkodliwy sprawie narodowej, wystąpienie zaś tego stronnictwa, jako jedynie uprawnionego reprezentanta praw i potrzeb narodu polskiego, — za przywłaszczenie sobie monopolu na

rozum polityczny, — i zawiązali się w odrębne stronnictwo polityczne pod nazwą Towarzystwa demokratycznego w dniu 17go Marca 1832go roku.

Pierwszą czynnością stronnictwa tego był protest wydany dnia 3go Maja 1832go r. do ludów Europy, ogłaszający wszystkie rozbiory od r. 1772go na Polsce dokonane za gwałt i bezprawie, które nie mogą przesądzać przyrodzonych praw narodu polskiego do wolności i niezależnego bytu w granicach, jakie przed pierwszym rozbiorem był posiadał. Z téj przyczyny uważano i postanowienia na kongresie wiedeńskim zapadłe za nowy tylko rozbiór Polski, na którym nie wolno opierać polityki narodowej bez uświęcenia wszystkich rozbiorów na Polsce dokonanych.

Opierając się na tym zasadniczym punkcie polityki narodowej, stronnictwo demokratyczne postarało się również o wniesienie w parlamencie angielskim „mocyi“ dopominającej się przywrócenia Polski w granicach, jakie przed r. 1772gim posiadała.

Mocyja ta była nietylko nowym protestem przeciw wszystkim rozbiorom Polski i przeciw polityce stronnictwa arystokratycznego, ale miała jeszcze na celu wypowiedzenie wobec Europy do czego Polska ma prawo, czego powinna i nie zaniedba dopominać się w przyszłości.

Zasadnicze różnice polityki obydwóch stronnictw były, jak widzimy, bardzo wielkie, a spotęgowały się jeszcze silniej i w końcu zamieniły się w głęboką nienawiść, gdy przyszło do omawiania zasad polityczno-społecznych, które demokraci uważali za niezbędny warunek pomyślności przyszłego powstania.

Doświadczenie, mówili, nauczyło, że wszystkie powstania narodowe albo nie miały czasu, albo jak w r. 1831szym ochoty do przeprowadzenia koniecznej reformy społecznej w narodzie i nie zainteresowawszy mas ludowych do walki z najazdem, były za słabe w wojnach o niepodległość Ojczyzny przedsiębranych. Uwłaszczenie zatem chłopów i rozszerzenie praw obywatelskich na cały naród były wedle ich rozumowania nietylko koniecznością, poczuciem sprawiedliwości nakazaną, ale nadto środkiem do wywołania wszyst-

kich sił w narodzie, potrzebnych do odzyskania własnej niepodległości.

Wprowadzenie zaś tych reform społecznych w życie równocześnie z wybuchem powstania, dawałoby ludowi polskiemu rękojmnię, że to co mu już tylokrotnie obiecywano stanie się rzeczywistością. Wtedy też można wymagać od ludu dopełnienia obowiązków do godności obywatelskiej przywiązanych, skoro mają rząd powstańczy w całości przywróci.

Ten program reform polityczno-społecznych przez Towarzystwo demokratyczne stawiony i ufność we własne siły narodu obalały tém samém wiarę w obcą pomoc, jako spuściznę niefortunnej polityki zeszłego stulecia. Rzecz jasna, że ludziom wychowanym w uprzedzeniach i zarozumiałości panującego w Polsce stanu nieznośnemi być musiały teoryje przez stronnictwa demokratyczne szerzone, i wywołały ogromne oburzenie nie tylko w stronnictwie arystokratyczném na obczyźnie, ale i wśród przeważnej części szlachty krajowej.

W téj walce o zasady rozumiętniać się musiały coraz silniej umysły obydwóch stronnictw, aż wkońcu zmieniły się w dwa wrogie sobie obozy, przyczém nie szczędziły sobie wzajemnych zarzutów, które nieraz przekraczały granice nie tylko słuszności, ale i prawdopodobieństwa nawet.

Demokraci oskarżali Sejm z r. 1831go o nieudolność i zaślepienie, że wołał się zajmować mniej potrzebnymi, a w dodatku bezskutecznymi sporami, zamiast wyteńczyć całą usilność swoją na wywołanie potrzebnych sił z łona narodu, dla zapewnienia mu zwycięstwa; zarzucano dalej, że stronnictwo arystokratyczne, posiadając przewagę w sejmie, dokładało wszelkich starań, aby wniosek rządowy o uwłaszczenie i usamowolnienie chłopów zrzucić z porządku obrad sejmowych i pogrzebać w zapomnieniu, przez co zniechęcono przeważną część ludu i pozbawiono ich samochęć współdziałania mas w walce z nieprzyjacielem.

Wreszcie oskarżano naczelników wojskowych o nieudolność w prowadzeniu wojny narodowej, że nie umieli lub wcale nie chcieli uchwycić po tyle razy nastęrczającej się spo-

sobności pobicia odosobnionych korpusów armiji nieprzyjacielskiej, rozproszonych często na przestrzeni kilkudziesięciu mil kwadratowych, ani wyzyskać nawet odniesionego nad nieprzyjacielem zwycięstwa, a wkońcu i wyprowadzeniem oddziałami bohaterskiej armiji naszej za granicę w liczbie dwa razy większej od tój, z którą rozpoczęto wojnę, śmiertelny cios zadali powstaniu narodowemu.

Trudno nie przyznać, że wszystkie te błędy złożyły się fatalnie na zaprzepaszczenie sprawy narodowej i odwlokły na długie może lata wybicie się ujarzmionój Polski na wolność.

Ale jakkolwiek sobkostwo szlachty w sejmie, oglądanie się na obcą pomoc w sferach rządzących, z zaniedbaniem użycia wszelkich możliwych środków we właściwym czasie do pomnożenia siły zbrojnej powstającego narodu, niechęć i niezdatność znacznej części starszyny wojskowej, pozostałej z czasów konstantynowskich, a przeciwniej od samego początku sprawie powstania wyrządziły tyle szkody niešťęśliwemu narodowi naszemu — to przecież ani szlachty, ani arystokracji naszej nie można było posądzać o *zdradę kraju*.

Wszakże ta szlachta, ta arystokracja porzuciły milionowe fortuny w kraju, a jednakże *wolały* nieraz zność niedostatek na obczyźnie, niż przyjęciem amnestyi spodlicić się w obec własnego sumnienia i historyji.

Ale i arystokracja nie pozostała w tyle w tój namiętnój walce z demokratami i w niedostatku opartych na *prawdzie* argumentów uciekała się do wymyślonych, a *na wet* do niegodnój potwarzy.

Twierdziła ona przedewszystkiem, że zamierzona cała przez *towarzystwo* demokratyczne reforma polityczno-społeczna jest *więcej jak* zbytęcną, bo postanowienia Konstytucyi 3go *Maja* wystarczają najzupełniej pod tym względem; że zatęm wszystko co wychodzi po za granicę reform tą obowiązującą *ustawą* *zakreślonych*, jest nie tylko grabieżą obcej własności na zniszczenie szlachty wymierzoną, ale nadto rzeczywiście

podburzaniem chłopów przeciw dziedzicom — że jest po prostu robotą szpiegów i agentów moskiewskich.*)

Znaną jest rzeczą, że gdy nienawiść i namiętność zaciemnia rozum i sumnienie, stronnictwa nie znają miary w zaciekłości swojej. Najjawniejsza niesprawiedliwość, niegodne potwarze, jednem słowem a wszystko co posłużyć może do powalenia przeciwników w opiniji publicznej, uważają za dozwolone. Wśród takiego rozdrażnienia zajętych głównie walką stronnictwą umysłów — często dobro i pomyślność uciśnionego narodu pozostają za ledwo na drugim planie.

Tak się też niejednokrotnie zdarzało i w emigracji z roku 1831go.

Pomimo wszakże tych pożalowania godnych wybuchów wzajemnej nienawiści, jaką przeciw sobie pałały stronnictwa na obczyźnie, emigracja, powtarzam raz jeszcze, znakomite oddała usługi krajowi przez rozjaśnienie najżywoźniejszych kwestyji w łonie swoim, bo te inaczej byłyby może krwią bratnią zbroczyły ziemię ojczystą. Nie należy bowiem zapominać, że reformę polityczno-społeczną, w tak obszernym zakresie jak ją Towarzystwo demokratyczne było postawiło, za ledwie szczupłą liczbą najinteligentniejszych i najpatriotyczniejszych ludzi w kraju podejmowała.

Kraj zatem, mając z obydwóch stron pewne dane, mógł wybierać pomiędzy polityką stronnictwa arystokratycznego, ograniczającego się na przywróceniu Polski z r. 1815go za pośrednictwem obcej pomocy i bez dalszych reform społeczno-politycznych, lub między zasadami przez Towarzystwo demokratyczne opracowanemi i przyjętemi za podstawę polityki narodowej i prac w kraju rozpocząć się mających.

Tu znówu stronnictwo arystokratyczne miało bardzo ułatwione pole działania, bo oprócz składek, na które obywatele krajowi dobrowolnie się opodatkowali, wymagało od nich jedynie bierności wycierającej skutków rokowania dyplomatycznego, na którym arystokracja wszystkie nadzieje swoje opierała.

*) Zob. pismo Kwieńca z r. 1834go r. wydawane za staraniem str. arystokratycznego.

Nie potrzeba dowodzić, że tak skromne żądania, nie narażając nikogo na surowość rządów zaborezych, więcej przypadają do przekonania obywatelstwa krajowego, niż wymagania demokracji, która żądała wytrwałej i mozolnej pracy i znacznych ofiar, nie tylko z krwi i mienia, ale i najtrudniejszej może ofiary, bo zrzeczenia się przywilejów i przesądów średniowiecznych na korzyść ludu, jako niezbędnego warunku do wywalczenia niepodległości narodowej, czyli innymi słowy: uwłaszczenia i uobywatelnienia całej masy ludowej i przywrócenia całej Polski w granicach przed r. 1772gim posiadanych za pomocą własnych sił narodu.

Wszystko to było wówczas nowością mało lub wcale niezrozumiałą dla ludzi zrosłych z tradycyjnemi pojęciami zeszłych stuleci.

Wśród stanu umysłów nieprzygotowanych do przyjęcia zasad przez Towarzystwo demokratyczne opracowanych, przeniesienie ich do kraju nie było rzeczą łatwą, tém więcej, że z początku pisma wydawane przez arystokracją łatwiej nierównie dostawały się do kraju, niż demokratyczne, za pomocą własnego opodatkowania członków Towarzystwa, drukowane dla ułatwienia dróg przesyłkom własnych wydawnictw do kraju, oraz dla założenia Komitetów demokratycznych, któreby z władzą Towarzystwa demokratycznego na emigracji znosić się mogły. Centralizacja wysłała Olędzkiego na Litwę, Mazurkiewicza Wincen- tego do Warszawy, a Waleryjana Breańskiego do Wielkiego Księstwa Poznańskiego.

Działo się to między rokiem 1838mym a 40tym. Pierwszy dotarł do Wilna, zawiązał stosunki z patryjotami na Litwie, w czém mu dopomagał Dr. Piotrowski lekarz na pograniczu Litwy zamieszkały i mający liczne stosunki tam w Królestwie Kongresowém. Olędzki wrócił w parę miesięcy do Francji, a niedługo potem śmierć zaskoczyła znanego Piotrowskiego i pozbawiła Litwę światłego, czynnego i do poświęceń dla przyszłości kraju gotowego patryjoty.

Mazurkiewicz wywiązał się również ze zadania swojego w Warszawie; założył tam związek narodowy, który za pośrednictwem Komitetu poznańskiego znosił się z Centralizacją.

Waleryjan Breański, urodzony w Księstwie Poznańskim, gdzie miał krewnych i znajomych z roku 1831go — założył piérwszy związek sprzysiężenia do Komitetu na W. Ks. Poznańskie i Prusy Zachodnie; należeli do niego z początku, o ile mi wiadomo: Karol Libelt, Napoleon Kamiński, księgarz, Kajetan Buchowski i po części Adolf Malczewski, którego polecił był Breański. Jednakże trzej członkowie Komitetu wyżej wymienieni, nie we wszystkich zachodzących kwestyjach znośili się z Adolfem Malczewskim, bo chociaż ten był gorącym patrijotą, obawiano się jednakże jego gadatliwości, której się nie umiał wyrzec, chociaż to było nakazane każdemu członkowi sprzysiężenia.

Zasady demokratyczne szerzono tymczasem w Księstwie nie tylko słowem, ale i piórem. Założony „Dziennik Literacki“, niezaprzeczenie należał do najlepszych pism owego czasu, później Karol Libelt redagował pismo „Rok“ i to zamieszczało świetne artykuły wychodzące z pod pióra samego redaktora. Przyjmowanie jednak do związku nowych członków odbywało się z wielką ostrożnością. Uważano przedewszystkiem na charakter, patrijotyzm i zdolności tego, którego miano przyjąć do związku. I rzeczywiście od ludzi, którzy mieli szerzyć zasady demokratyczne i stawać w ich obronie, wymagać musiano wytrwałości, przekonauń wyrobionych o potrzebie przeprowadzenia reform polityczno-społecznych w kraju i znajomości historyji narodu, oraz przyczyn, które ubezwładniały dawniejsze powstania nasze.

Jedno, co wedle mojego zdania wpłynąć musiało ujemnie na los sprzysiężenia, było zawczesne wskazanie ostatecznego celu rozpoczętych prac w kraju. Skoro bowiem z góry wiadano, że wszystko co się robi w kraju jest przygotowaniem do zamierzonego wybuchu, który ma być dziełem samego właśnie sprzysiężenia, to umysły gorętsze porywcze, niecierpliwe, zamiast wytrwać w długiej a męczącej pracy, która się powina była ograniczać na szerzeniu zasad demokratycznych, wołały dążyć wprost do ostatecznego wyniku całego założenia: do przyspieszenia wybuchu powstania. Ztąd powstały sprzysięże-

nia osobne w łonie związku naczelnego, działanie pojedynczych osób na własną rękę i popychanie władzy naczelną na drogę, na której nie było innego wyjścia, jak przyspieszenie wybuchu.

Każdy przyzna zapewne, że gdyby związek był przetrwał do roku 1848go, to rzeczy inaczej zupełnie byłyby wypadły dla sprawy polskiej. Centralizacyja i związek krajowy były w porozumieniu z Komitetami rewolucyjnymi całej niemal Europy, równoczesne wystąpienie do boju z naszej strony i przerzucenie mas uzbrojonych z Prus i Galicyji do Królestwa Kongresowego w chwili, kiedy oba te państwa zatrudnione u siebie rewolucjami, nie były mogły przeszkodzić ruchowi polskiemu, byłyby zastały Moskwę nieprzygotowaną, co wszystko byłoby powstaniu naszemu ułatwiło swobodne pole działania.

Ale już w roku 1841szym objawiała się dążność do odrębnego działania, już to wskutek powziętego niezauwania do Centralizacyji, którą pomawiano o niecisłe przestrzeganie tajemnicy względem osób w kraju działających, już znowu z powodu przywłaszczonéj sobie przez tę Centralizacyję władzy do rządzenia krajem z obczyzny, gdzie nie zawsze mogła mieć dokładną wiadomość o stosunkach krajowych.

Opozycyja ta wytworzyła się głównie w Kongresówce, a ludzie na jej czele stojący utrzymywali, że zneutralizowanie całego związku w jedno ciało pod zarządem jednéj władzy jest niebezpiecznym w obec czujności władz rządowych, którym łatwo wykryć osoby należące do władzy związkowej, a wreszcie po wychwytaniu ich, rząd rozprzędzie całe sprzyśżenie. Kiedy tymczasem pokrycie całego kraju siecią rozmaitych niezależnych od siebie spisków o tyle jest bezpieczniejszym, że wykrycie jednych z takich spisków nie powstrzymuje drugiego w działaniu i nie naraża kraju na przymusową i długą bezczynność.

Smutne doświadczenie wkrótce przekonać miało o niepraktyczności i szkodliwości w skutkach swoich zwolenników tej metody spiskowania; szerzenie zaś jej w innych zaborach przyczyniało się niepomału do rozluźnienia posłuszeństwa związkowego, do rozbudzania w jednostkach chęci działania na własną rękę.

Około tego czasu przybył do Poznania obywatel z Lubelskiego, Henryk Kamiński, syn generała, który poległ pod Ostrołką w roku 1831szym, i pozyskał dla teoryji swojej, o której wyżej wspomniałem, Władysława Kosińskiego, o którym później będzie mowa. W czasie bytności mojej w Poznaniu nie zawierał z nikim prawie znajomości, ograniczał się głównie na przestawianiu z Kosińskim, który długo jeszcze potem zostawał z nim w ścisłych stosunkach, a trzymał się zdaleka od związku centralnego.

Być może, iż od owego czasu wyrobiły się w Kosińskim duch odrębności i chęć odosobnionego działania, który się później w nim tak silnie rozwinął. — Z drugiej znów strony nie trudno było domyślić się, że przybycie Kamińskiego w Poznańskie miało na celu przeniesienie teoryji spiskowych tego odłamu patrijotów w Kongresówce działających, do których i on należał.

Zył podówczas w Lublinie powszechnie szanowany mecenas Karpiński, patrijota pełen poświęcenia, zdolny, śmiały, energiczny i niezłomnego hartu duszy człowiek. Ten rozpoczął na swoje rękę i rozszerzył w Lubelskiem pomiędzy obywatelstwem przygotowanie wprost do wybuchu powstania zamierzające, z pominięciem wszelkich teoryji społecznych i spiskowych. U niego to tylko miało wartość pierwszorzędą, co prowadziło wprost do czynu, a ludzie gotowi choćby jutro wystąpić do walki z Moskwą byli jego współpracownikami.

Zdaje się, że Karpiński musiał i w Lublinie i w innych miejscowościach urządzić podobne jak w Łącznej napaady na załogi moskiewskie, zaniua się udał w tym samym celu do Warszawy, trudno bowiem przypuścić, aby się miał i mógł ograniczyć na samą Łączną, i że po ukończeniu prac swoich w Warszawie, chciał zapewne i w innych województwach podobną zarządzić organizacją, gdyby mu Moskwa była zostawiła potrzebny czas ku temu.

W Warszawie znalazł dużo materiału gotowego do wykonania zamiarów swoich, ale przytém, co było rzeczą nieunikioną, spotkał się ze związkiem centralnym i przygarnął z niego znaczną liczbę młodzieży do siebie, a po-

między nią wszystkich tych, którzy byli przeznaczeni do porozumiewania się z Komitetem poznańskim, a przez niego z centralizacją Towarzystwa demokratycznego w Wersalu.

Podług jednakże wszelkiego prawdopodobieństwa Moskale musieli Karpińskiego mieć na oku od dawniejszego czasu, i że policja warszawska, powiadomiona z Lublina, śledzić go musiała na każdym kroku w Warszawie i ztąd nastąpiło jego aresztowanie wespół ze znaczną częścią tych, z którymi pozawieżywał był stosunki.

Śledztwo niczego jednakże wykryć nie zdołało, bo Karpiński, jak go sami Moskale nazywali, „człowiek żelazny“, najmniejszym nawet słówkiem nie zdradził nikogo z dawniejszych i nowszych towarzyszy pracy narodowej. Po ukończeniu śledztwa wysłano Karpińskiego na Sybir, z kąd po latach kilkunastu wrócił do kraju.

Wskutek jednakże wyżej wspomnianych aresztowań w Warszawie, stosunki Komitetu poznańskiego z Kongresówką przerwane zostały. Dużo wprawdzie młodzieży, mniej lub więcej skompromitowanej uszło do Księstwa, ale od niej nie można się było dowiedzieć kogo aresztowano, lub kto jeszcze ocalał z członków sprzysiężenia centralnego. Zresztą pod ostatnim względem nie mogło być pewnych wiadomości, bo aresztowania nie ustawały i kto wczoraj był jeszcze wolnym, dzisiaj mógł się znajdować w cytadeli. Wiadomo bowiem, że Moskale nocą i tak tajemnie zarządzają aresztowania podejrzanych, iż najbliżsi przyjaciele, często kilka dni są bez wiadomości o losie aresztowanego.

Mieszkanie jego strzeżone pilnie przez policję, jest jakby zaklętym miejscem, do którego nikt zbliżyć się nie śmie z obawy, aby nie wpaść w ręce czyhających szpiegów. Takie przerwanie komunikacji trwa czasem tygodnie całe.

Komitet poznański dowiedział się wprawdzie o wypadkach, jakie zaszły w Warszawie od tych, którzy zdążyli schronić się do Księstwa, ale ci nie umieli dać bliższych szczegółów, bo dowiedziawszy się o aresztowaniach, musieli uchodzić coby prędzej z Warszawy, aby uniknąć bliższej znajomości z kózką moskiewską. Ze zaś chodziło o sprawdzenie, jak wielkie rozmiary przybrały aresztowania w stolicy,

Komitet wezwał mnie do Poznania i dał polecenie udania się do Warszawy, celem zasięgnięcia pewniejszych wiadomości, a na przypadek, gdyby aresztowania rozerwały związek centralny, miałem koniecznie postarać się o złożenie Komitetu z pozostałych z rozbitcia członków i o zapewnienie nadal komunikacyji z Poznaniem.

Pomiędzy młodzieżą, która zdołała umknąć przed aresztowaniem do Księstwa, było dwóch, którzy mieli mieć rozległe stosunki z członkami sprzysiężenia w Warszawie. Jakoż jeden z nich, który pod przybraném nazwiskiem Głowackiego w Księstwie się ukrywał, posiadał rzeczywiście zaufanie związkowych stolicy.

Drugi nazywał się Węgierski †)

Był to człowiek, jak się później okazało, bardzo lichego charakteru, intrygant i kłamca, ale umiał przechwalać się swoim wybitnym stanowiskiem w centralnym związku warszawskim. Do niego zatém Komitet poznański zgłosił się o list, polecający mnie komuś takiemu w Warszawie, który nie będąc zbyt podejrzanym policyji moskiewskiej, mógł jednak powiadomić mnie o losie osób, z któremi miałem się zobaczyć, lub też utorować drogę do porozumienia się ze związkowymi, których osobiście nie znałem, a prze

*) Wiadomość o pracach Karpińskiego i jego szlachetnym i dzielnym charakterze mało komu nawet ze związkowych znaną była w innych zaborach. Z rozmów jakie miałem, już to z Henrykiem Kamińskim, już to ze szwagrem jego Suffczyńskim, znakomitym powieściopisarzem, znanym pod nazwą Bodzantowicza — wyrobić sobie zdołałem zdanie o tym niepospolitym człowieku. Suffczyński mieszkał w Łańcuchowie pod Łączną i przeznaczonym był do zdobycia artyleryi moskiewskiej załogującej podówczas w Łącznie.

†) Jegomość ten znalazszy schronienie w domu obywatela jako niby mocno skompromitowany patrijota, odwzięczył się za doznaną gościnność uwiedzeniem żony tegoż, którą później niegodziwiec zostawił bez sposobu do utrzymania na bruku paryzkim.

którymi list przezemnie przywieziony miał mi służyć za legitymacją.

Węgierski doręczył mi list żądany i na zapytanie moje, czy on go pisał, abym w Warszawie mógł sta nowczo powiedzieć, od kogo ów list pochodzi, odpowiedział, że on go pisał, i że mogę jego nazwisko wyjawić temu, komu mnie polecał. Ten któremu miałem oddać wspomniane pismo nazywał się Szpadkowski i mieszkał w tylniej kamienicy, przy ulicy Żabiój.

Adres był dobry, ale co do listu samego Węgierski okłamał mnie, bo nie on, ale Głowacki go pisał, gdyż jak wyżej wspomniałem, ten ostatni a nie Węgierski posiadał rozleglejsze stosunki ze związkowymi w Warszawie.

Ta niby na pozór mało znacząca okoliczność mogła była zniweczyć i poruczoną mi misyją i mnie samego podać w grube podejrzenie u związkowych warszawskich bo jak się później dowiedziałem, miano mnie za szpiega i dowiadywano się w konsulacie pruskim, czy tam wiedziano co o mojem przybyciu do Warszawy. Tam odebrano jednak odpowiedź, że dopiero przy powrocie do kraju, to jest do Prus, podróźni zgłaszają się o wizę paszportu. Dopytywano się nawet w hotelu, gdzie mieszkałem, czy rzeczywiście przybywałem z Księstwa. Łatwo więc i policyja mogła się była do mnie przyczepić.

Szpadkowski po przejrzeniu listu zapytał mnie, od kogo owo pismo pochodzi i kiedy mu powiedziałem, że od Węgierskiego, spostrzegłem pewne niedowierzanie, ale sądziłem, że Szpadkowski, jako mniej podejrzany policyji, mógł nie mieć ściślejszych stosunków ze związkowymi, mógł wreszcie nie znać ani Węgierskiego, ani jego pi ma i chciał zapewne bliższych zasięgnąć wiadomości od znajomych swoich, bo mi powiedział, abym nazajutrz po obiedzie przyszedł do niego.

Nie umiem opisać ani mojego zdumienia, ani przykrych uczuć, które mną miotaly, kiedy przybywszy do Szpadkowskiego o umówionym czasie, usłyszałem, że list nie był przez Węgierskiego pisanym, że pismo podobne wprawdzie cokolwiek do pisma innego wychodźcy, ale że i tu nie ma

pewności, aby list od niego pochodził. Odpowiedziałem że Węgierski nie pisał przy mnie owego listu, ale że mi go sam wręczył z oświadczeniem wyraźnym, że sam go pisał. Na to odpowiedział mi Szpadkowski, że nie jest w stanie nic więcej dodać do tego co powiedział. Zapytałem go, czy nie mógłby ułatwić mi widzenia się z Dzwonkowskim. Odpowiedział, że jest od dni kilkunastu aresztowany. Wtedy nie wiedząc już co z sobą począć, oświadczyłem, że nazajutrz muszę wyjechać w Lubelskie, w ważnej także sprawie, że przez ten czas będą mogli panowie zasięgnąć pewniejszych o mnie wiadomości z Księstwa, i że po moim powrocie pozwolę sobie odwiedzić Szpadkowskiego raz jeszcze. Na to mi odrzekł, że wyjeżdża na prowincyjną w urzędowym interesie i że go nie będzie można zastać w Warszawie.

Nie mogłem już mieć żadnej wątpliwości, że ów list doręczony przez Węgierskiego podał mnie w podejrzenie u patrijotów i że mnie mają za szpiega, który za pomocą podfałszowanego listu, chciał wysledzić i zdradzić związkowych.

Powróciwszy z tej niefortunnej wyprawy do hotelu rozchorowałem się ze zmartwienia, że w tak ważnej chwili, kiedy chodziło o nawiązanie rozerwanych stosunków między Księstwem a Warszawą, może nawet o zreorganizowanie związku, skompromitowanego mocno przez odrębne działania Karpińskiego, a szczególnie o ostrzeżenie sprzysiężonych, jak niebezpieczną jest taka podwójna robota w kraju, podróż moja spełznąć musi na niczym, z przyczyny albo psoty niegodnej, albo głupoty Węgierskiego.

Ale nazajutrz czekała mnie podróż w Lubelskie, gdzie koniecznie zobaczyć się miałem z Henrykiem Kamińskim; furman był zamówiony, nie było więc czasu chorować. To też z największym wysileniem starałem się uspokoić, abym mógł przynajmniej to drugie polecenie wypełnić. Tymczasem na drugi dzień z rana, kiedy kończyłem się ubierać, wpada do mnie Szpadkowski, abym natychmiast przybył do jego mieszkania w ważnym interesie, ale nie chciał powiedzieć co to za interes, i zaraz wyszedł. Widocznie obawiał się iść ze mną przez ulicę, jeżeli istotnie byłem szpiegiem, za jakiego mnie miało.

Przybywszy na miejsce zastałem oprócz gospodarza może trzech lub czterech młodych ludzi, a pomiędzy nimi był Dzwonkowski, którego tej nocy wypuszczono z cytadeli. Skoro się dowiedziano o tém, pobiegł ktoś do niego z za-
pytaniem, czy zna Guttrego i sprowadzono go do mieszkania Szpadkowskiego, aby mnie rekognoskował. Temu szczęśliwemu przypadkowi zawdzięczałem, że podejrzenie przeciw mnie upadło. Że zaś konie na mnie czekały, a i Dzwonkowskiemu było pilno opuścić Warszawę, umówiliśmy się tylko, że będę czekał na niego w karczmie, którą mi wymienił, i do której niedługo po mnie zajechał.

Przez dwie godziny rozmawialiśmy z sobą i porozumieliśmy się o wszystko co było przedmiotem mojej podróży do Warszawy. Powiedział mi nazwiska ośmiu aresztowanych, o których mógł się dowiedzieć, ale dodał, że ich było nierównie więcej, ale ich cele były w innej części budynku, a stąd nie można było porozumieć się z nimi. Wedle zaś przekonania jego, aresztowania nie ustaną. Jakoż później aresztowano wiele jeszcze osób, a między innymi Gorskiego, pisarza sądu w Łęczycy, który był właśnie wyznaczonym do porozumiewania się z Księstwem, i z którym ja się kilka razy widziałem, bo i mnie taką samą funkcją z Królestwem powierzono.

Nawet i sam Dzwonkowski w niespełna pół roku po tém uchodzić musiał z kraju. Co do związku samego, zaręczał mi, że nie rozbity, i że szczyrby przez aresztowania powstałe znowu zapełniono, ale najgorsza to, że nikt swojego jutra niepewny. Ja włożyłem mu na sumienie, aby ostrzegał naszych przed niebezpieczeństwem łączenia się z innymi odrębnymi robotami, bo zamiast przez to pomódz, zaszkodzić mogą sprawie publicznej.

Na to mi odrzekł, że niezauwanie do centralizacji coraz mocniej szerzyć się zaczyna i wielu jest tego przekonania, że stosunki z nią kompromitują ludzi krajowych, bo emigracja czując się sama bezpieczną na obczyźnie, szeroko rozprawia o stosunkach krajowych i nie szanuje nazwisk osób w kraju mieszkających. Staralem się uspokoić go pod tym względem, że to są wszystko wieści fałszywe, że

czy też chłopci go wydali policyji, i że odtąd żaden emisaryjusz za granicę przedostać się nie może.

Tak stały w owym czasie rzeczy w Królestwie Kongresowem i w Galicyji. Natomiast w zaborze pruskim idee demokratyczne szerzyły się nie tylko pomiędzy młodzieżą, ale nawet pomiędzy starszém obywatelstwem. Za środek do agitacyji służyły różne towarzystwa, osobliwsze odczyty i bale, na których starano się zbliżyć do mieszczan. Tylko lud wielkopolski był jeszcze obojętnym, a nawet w znacznej części nieprzychylnym sprawie powstania i szlachcie, bo przy uwłaszczeniu, które rząd przeprowadził, nie obyło się bez pewnych starć pomiędzy chłopami a dziedzicami, które rząd starał się wyzyskać na swoją korzyść, szerząc pomiędzy ludem nienawiść przeciw szlachcie, że ona była przeciwną uwłaszczeniu i że tylko król pruski był prawdziwym dobrodziejem chłopów, dając im własność pomimo oporu ze strony panów, którzyby chcieli przywrócić dawne poddaństwo. To rozdwojenie dwóch warstw społecznych przetrwało aż do roku 1846go, gdy w skutek wykrytego związku jedna połowa ludności wtrąconą została do więzienia, drugą zaś, bępnącą pod śledztwem, przeznaczono na świadków, aby zeznaniami swojemi poparła oskarżenie rządu przeciw uwięzionym podniesione. Tu dopiero patryotyzm naszych Polek i księży zdołał otworzyć ludowi oczy na prawdziwe zamiary rządu. Ale o tém obszerniej na inném miejscu pomówię.

Literatura z owego czasu stała w Księstwie na najwyższym szczeblu rozkwitu ze wszystkich trzech zaborów. Piśma peryjodyczne, jak „*Dziennik literacki*“ i „*Rok*“ zamieszczały artykuły treści politycznej, historycznej, ekonomicznej i filozoficznej odznaczające się ważnością przedmiotów znakomicie opracowanych, a nadto pięknnością języka, który dorównywał epoce Zygmuntowskiej. Szczególnie wszystko co wychodziło z pod niezrówanego pióra Karola Libelta urokiem pięknej formy, w którą umiał oblekać prawdy wysnuwane z potrzeb życia narodowego, pociągały ku sobie czytającą publiczność polską. Któż nie zna jego rozpraw „*o miłości Ojczyzny*“, o odwadze cywilnej i innych wielu, które się stały zakonem narodowym, nie tylko dla żyjących,

ale i dla przyszłych pokoleń naszych. Tacy ludzie nie często się rodzą, a dumnym może być naród, który ich posiada.

Rzecz oczywista, że taki człowiek musiał stać się duszą związku narodowego. On też bez zaprzeczenia był rzeczywistym szerzycielem idei demokratycznej, opartej na miłości bratniej, a wolnej od wszelkich stronnicych uprzedzeń i namiętności.

Gdyby działanie w kraju ograniczyło się było do tak poważnej, spokojnej a jednakże bardzo skutecznej, bo otwartej propagandy zasad bez zawieszania obszernego sprzysiężenia, a głównie bez wytknięcia z góry ostatecznego celu, do którego wszystkie przedwstępne prace w kraju służyć miały za środek, jednem słowem, gdyby propaganda była pozostała w granicach szerzenia zasad, a nie wstąpiła od razu na pole przygotowań zamierzających do powstania, do którego w ostatecznym zastosowaniu sprzysiężenie narodowe z góry było przeznaczonem — być łatwo może, iż tak pojęta rzecz na emigracyji i tak ograniczone działanie w kraju, byłyby nam dozwoliły doczekać szczęśliwie wypadków, które w roku 1848mym wstrząsnęły do ostatniej głębi posażaami tronów despotycznych w Europie.

Sprzysiężenie wytworzone wprost do przygotowań powstańczych z natury swojej długo trwać nie może, bo albo policya wpadnie na trop jego, albo umysły niecierpliwsze popchną do przedwczesnego wybuchu i skompromitują sprawę całą.

Wyznaję wszakże otwarcie, że do tego przekonania przyszedłem dopiero po roku 1848mym; w epoce zaś, którą opisuję, nie miałem go jeszcze, ale też nie miał go żaden z patrijotów owego czasu. — Uważałem jednak za stosowne zanieść ten ustęp na tém miejscu, nie tylko jako przestrożę na przyszłość, ale także dla zrozumienia wypadków, które zachodziły w sprzysiężeniu naszym przed rokiem 1846tym.

W Poznaniu był w owym czasie księgarz Stefański, patrijota wprawdzie, ale przytém człowiek przebiegły, który umiał korzystać z ówczesnego położenia i nie obawiał się

nowczość charakteru. Kamieński miał wielki szacunek dla niego i po drodze dał mi do zrozumienia, że należy do związku. Przytém ostrzegał mnie, abym z obywatelem, do którego następnie mieliśmy zajechać, mówił tylko o interesie kupna, co wykonałem z całą ścisłością, bo zrewidowałem szczegółowo ziemię, a nawet wszedłem w targ, ale oczywiście podałem cenę taką, że z góry mogłem wiedzieć, iż na nią nie przystanie. Pomimo to pan ten był przekonany, że miałem zamiar nabyć ten majątek.*) Pan ten nazywał się, jeżeli dobrze pamiętam, Zembrzusi.

*) Wspominałem o tych dwóch obywatelach umyślnie, bo nie umiem pojąć, jakim sposobem Moskale mogli się dowiedzieć o mojej u tych panów bytności. Prusacy długi czas nic o tém nie wiedzieli, bo mnie nie pytano przy śledztwie o moję do nich podróż, a ja oczywiście nie wspominałem o niej. Dopiero w jedenaście miesięcy po mojem uwięzieniu, a może w czwartym lub piątym tygodniu trwającego ze mną śledztwa, mój inkwirent nazwiskiem Mikielła, łotr znany z podstępów wszelkiego rodzaju przeciw oskarżonym używanych, zagadnął mnie razu pewnego:

— Pan byłeś u Kamieńskiego w Rudzie pod Chelnem w Lubelskiem?

Odpowiedziałem, że tak, (wiedziałem, że Kamieński już był za granicą).

— Czemuż Pan nie powiedziałeś mi o tém?

— Boś mnie Pan o to nie pytał, odrzekłem.

— Pan byłeś jeszcze prócz tego u dwóch innych panów w sąsiedztwie? — i wymienił mi obydwóch po nazwisku.

— Prawda, że byłem tam u dwóch obywateli i oglądałem ich majątki, bo miałem zamiar okupić się w Lubelskiem, ale nie umiem powiedzieć, czy się tak nazywali jak Pan powiadasz, bo ich nazwisk sobie nie zapamiętałem.

— To rzecz dziwna, że Pan w téj sprawie taką tajemnicę zachowałeś, kiedy, jak sam powiadasz, był to interes prywatnej natury.

— Właśnie dla tego nie uważałem za rzecz potrzebną wspominać o nim, odrzekłem, bo skoro śledztwo toczy się o podejrzenie, że miałem do jakiegoś tam związku należeć, sądziłem że moje prywatne interesa nie należą do rzeczy.

Przy tém wszystkim podróż moja do Kamieńskiego nie odniosła żadnego skutku. Zdałem wiernie sprawę z mojej misyi Karolowi Libeltowi i nie tajilem wstrętu, jaki powzięli związkowi w Warszawie i w ogólności w Kongresówce do centralizacyji jak to mógłem wymiarkować z rozmowy z Dzwonkowskim i Kamieńskim, i dodałem, że to może przyczyniło się głównie do tak licznych aresztowań naszych sprzysiężonych w stolicy. Wedle mojego bowiem przypuszczenia, Karpiński natrafił od razu na ludzi, którzy woleli z nim razem działać, niż dłużej zostawać w stosunkach z centralizacyją.

Libelt mocno był zaniepokojony mojem sprawozdaniem i powiedział mi, o czém już i dawniej mówiliśmy, że katastrofa warszawska bardzo niekorzystnie może wpłynąć na dalsze koleje sprawy narodowej, ale że nierównie gorzej rzeczy stoją w Galicyji, gdzie rząd austryjski podżega chłopów przeciw obywatelom, a ci znowu nie chcą widzieć grożącego im niebezpieczeństwa i zamiast starać się o zbliżenie do ludu, nieludzko się z nim obchodzą. Powiadał mi przytém, że znowu pisał w tej ważnej sprawie do znajomych do Galicyji, ale że tam trudno trafić do przekonania szlachty zacofanej politycznie a wstrętnej reformie społecznej i uwłaszczeniu chłopów; — że z emigracyji nikt nie może dotrzeć na miejsce z powodu nadzwyczajnej czujności politycyi austryjskiej i szpiegostwa, jakie rząd między chłopami zaprowadził.

To samo słyszałem z ust Tomasza Małinowskiego, jednego z najzdolniejszych członków centralizacyji, który wówczas bawił w Księstwie w misyi politycznej i długo prześadywał w moim domu. Od niego dowiedziałem się, że Austryjacy schwytali na granicy Roberta Chmielewskiego,

Widoczną było dla mnie, że wskutek zarekwirowania ze strony Moskali, całe to śledztwo przeprowadzono ze mną w Berlinie. Zdaje się wszakże, że rzecz całkiem ubitą została, bo nie była zamieszczoną w oskarżeniu przez prokuratora królewskiego przeciw mnie podniesionem,

centralizacja ma swoją siedzibę w Wersalu, że narady o sprawach krajowych odbywają się bardzo tajemnie w łonie członków do téj władzy należących, i że oprócz nich nikt inny nie wie ani o robotach związkowych w kraju, ani o osobach do związku należących.

Rozmówiwszy się o wszystkim, rozjechaliśmy się każdy w swoją stronę, on do domu, ja w Chełmskie do Rudy, gdzie mieszkał Kamiński. Przybywszy na miejsce nie zastałem gospodarza w domu, ale na szczęście Kamiński miał rządzącego Kosiewicza,*), który był dawniej w dobrach Witośławskich w Księstwie, i ten mnie znał z widzenia. To ułatwiło mi zapoznanie się z Kamińskim, bo inaczej może byłbym się naraził na podobne jak w Warszawie przyjęcie.

Jak już wyżej wspomniałem, chodziło o przekonanie Kamińskiego, że osobne zawieranie sprzysiężenia w kraju, obok istniejącego związku centralnego prowadzić musi koniecznie do krzyżowania się prac narodowych, a ztąd odrębne związki mogą się zakończyć wzajemną nienawiścią pomiędzy ludźmi do różnych obozów należących, a może nawet na podstawie różnych zasad polityczno-społecznych prace swoje opierających.

Komitet poznański żywił nadzieję, że Kamiński da się łatwiej nakłonić do zaniechania teoryji swojej, która zależała od pokrycia kraju siecią najrozlicniejszych, osobno działających związków — po niefortunnej właśnie próbie Karpińskiego. Rozpocząłem w tym dachu moje przedstawienia i starałem się wykazać niebezpieczeństwo, jakim ówa teoryja grozi sprawie publicznej. A kiedy pomimo usiłowań nie mogłem go przekonać, ani zachwiać jego wiary w skuteczność własnych działań, starałem się nakłonić go

*) Tego Kosiewicza, który był zacnym ze wszech miar człowiekiem i gorącym patrijotą, Kamiński używał do różnych potrzeb politycznych, a w końcu polecił mu przewieźć do Galicyji książki przez siebie (Kamińskiego) wydawane, i tam go Moskale nad samą granicą ujęli. Szkoda było narażać człowieka takiego do przesyłki książek, które inną drogą dostać się były mogły do Galicyji.

przynajmniej do zaniechania robót swoich w Księstwie, gdzie jak to wyżej wspomniałem, ustanowił pośrednikiem swoim Władysław Kosiński. Ale i tu stanowczo oparł się życzeniom Komitetu poznańskiego i za całą odpowiedź dał zaręczenie, że jeden związek, jeden Komitet nie zdoła rozszerzyć sprzysiężenia na kraj cały tak skutecznie, jak właśnie większa liczba ognisk ku temu samemu celowi utworzonych.

Widziałem jasno, że nie zdołam sprowadzić żadnego porozumienia pomiędzy Kamińskim a Komitetem poznańskim i dałem za wygraną. Pomimo ścisłej tajemnicy, jaką pragnął zachować o sprzysiężeniu Karpińskiego, mogłem wyrozumieć, że Moskale część tylko związkowych uwięzili, i że znaczniejsza część spiskowych w Lubelskiem pozostała nietkniętą. Przy tej sposobności Kamiński nie miał dosyć słów na pochwałę dzielności i tęgości charakteru mecenasa Karpińskiego i dodał, iż gdyby tenże był jedno łowo za wiele w śledztwie wypowiedział, on Kamiński, byłby do owéj pory w więzieniu.

To szlachetne postępowanie Karpińskiego nie podlegało wątpliwości, skoro i sam Kamiński i tylu innych, których w rok później widziałem, nie zostali przez Moskwę wychwytni. To mnie utwierdzało w przypuszczeniu, że policja moskiewska w Warszawie miała podejrzenie na Karpińskiego, że on w samej stolicy miał dopiero zamiar zawiązania spisku pomiędzy młodzieżą, i że tam na miejscu przyaresztowano tych, z którymi Karpiński w bliższych był stosunkach, i że z tego powodu mniej zwracano uwagi na Lubelskie, gdzie tylko aresztowano ludzi po prostu na oślep, jak to zresztą Moskwa w podobnych przypadkach czynić zwykła.

Kamiński, do którego wracam, życzył sobie, abym dla zakrycia mej do niego podróży wyjechał z nim w niedalekie sąsiedztwo pod pozorem obejrzenia majątków w celu nabycia z nich jednego. Zajechaliśmy zatem, do jednego obywatela, jeżeli mnie pamięć nie myli, nazywał się Jazłowski. Był to człowiek już nie młody, około lat 50cu, poważny i wielce miły, ale w twarzy i oku malowała się sta-

sprowadzać potajemnie i mieć u siebie na składzie, pomimo odbywanych u niego przez policyjną rewizyj, pism wychodzących na emigracyji, a mocno poszukiwanych przez publiczność czytającą. Stefański znakomite robił na tej kozobiernej spekulacyji interesa, a przy tej sposobności mógł z łatwością odgadywać przekonania polityczne osób, z którymi był w stosunkach księgarskich. Łatwo być może, iż który ze związkowych odkrył mu istnienie związku narodowego. Z drugiej strony i Komitet wiedział o rozgałęzionych stosunkach Stefańskiego, ale go miał raczej za przebiegłego spekulanta, któremu chodziło o zyski więcej, jak o sprawę publiczną i wahał się z przyjęciem go do Związku.

Stefański musiał się tego domyślać i czy to z urazy przeciw Komitetowi, czy może z powodu osobistej ambicji rozpoczął na swoje rękę działanie konspiracyjne pomiędzy rzemieślnikami, a nawet pomiędzy podoficerami armiji pruskiej, której część załogowała w Poznaniu.

Stefański miał jakoś do mnie dużo zaufania i zwierzywszy mi się ze swoich stosunków, przekonał mnie naocznie o prawdzie tego co mi opowiadał. Pewnego dnia po skończonym apelu, który się odbywał na placu Wilhelmowskim, poprosił mnie, abym się przeszedł z nim po ulicy Wilhelmowskiej i wtedy widziałem, jak kilku podoficerów przechodząc koło nas dawali mu znak oczami, nie chcąc się zapewne zdradzić otwarcie znajomością jego. Zwrócił mi szczególnie uwagę na podoficera Kunkiewicza, który miał być najinteligentniejszym i najczymniejszym ze wszystkich.

Z tych zwierzeń poufnych Stefańskiego widziałem jasno, że się znosi, albo na przedwczesny wybuch po za plecami Komitetu centralnego, albo na skompromitowanie masy ludzi, którzy zostawali pod przewodnictwem Stefańskiego, bo sięgnął do żywiołu bardzo patryjotycznego wprawdzie, ale zbyt gorącego i niecierpliwego, a z drugiej strony mniej ostrożnego w obec czujności policyjii pruskiej, rozbudzonej aresztowaniami warzawskimi i domyślającój się, że i w Księstwie musi być sprzysiężenie podobne temu, które Moskwa wykryła.

Udałem się zatem do Karola Libelta, a nie zastawszy

go w domu, pobiegłem do Napoleona Kamińskiego, ówczesnego księgarza, który był w ścisłej zażyłości z Libeltem — odpowiedziałem wszystko com widział i czego się obawiałem nalegając, aby Komitet przyjął koniecznie Stefańskiego do związku, bo to podług mojego przekonania był jedyny sposób powstrzymania go na drodze odrębnego spiskowania, a zarazem do ujęcia w karby posłuszeństwa dla władzy istniejącej w zaborze pruskim.

Kamiński nie zgadzał się na moje zdanie, raż, że Komitet obawiał się gadatliwości Stefańskiego, a potem, że poruszona przez niego klasa ludności, nie zechce dzisiaj ulegać rozkazom Komitetu i pójdzie drogą, jaką jej Stefański wskazał, to jest werbowaniem ludzi wprost do wybuchu i zamiast żeby ją Komitet powstrzymał, onaby skompromitowała obok siebie i nasz związek. Kamiński należał wówczas do Komitetu, zdanie więc jego dowodziło postanowienia w tej mierze władzy naczelnój, a potwierdził mi to samo Tomasz Malinowski emisaryjusz centralizacyji, o którym wyżej wspominałem.

Stefański więc szerzył swoje roboty nie tylko w Księstwie, ale i w Prusiech Zachodnich.

Ale i Henryk Kamiński nie ustawał w swoich odosobnionych usiłowaniach w Księstwie. W roku 1844tym wysłano mnie powtórnie do niego z upomnieniem, aby nie tykał Księstwa, gdzie Komitet miał i tak dosyć kłopotów na miejscu, a odrębne prace Kamińskiego przyczyniały zaniejszenia bez korzyści dla sprawy.

Wybrałem się w Lubelskie pod pozorem kupienia koni na jarmarku w Łączynie, gdzie spodziewałem się zastać Kamińskiego. W Warszawie, gdzie miałem się porozumieć w niektórych zleceniach od Komitetu z tańszymi sprzyjęzonymi, musiałem wziąć paszport od Jenerał-policmajstra Jęn. Abrahamowicza do podróży w kraja. Paszport otrzymałem wprawdzie bez trudności za pomocą talara wsadzonego w łapę sekretarzowi Abrahamowicza, ale przyszedszy na pocztę, uderzyło mnie, że czekać musieliśmy wszyscy dobrze z pół godziny i dopiero gdy wsiadł do ostaju kilberki młody jakiś jegomość, ruszyliśmy w podróż.

bo zmuszony zabawić dni parę dla rozmówienia się z niektórymi związkowymi, których nie zastałem w Warszawie w przejeździe moim do Łącznej — mogłem mój pobyt osłonić chęcią przypatrzenia się wyścigom. Kuczyński jako znajomy kazał mi wygotować bilet na trybunę i tym sposobem dostałem się na miejsce, na które tylko uprzywilejowanym z Towarzystwa przystęp był dozwolony.

Wprowadziwszy panie Kuczyńską, Bnińską i Dąbrowską na estradę, znalazłem się tylko dwiema ławkami oddzielony od Paszkiewicza otoczonego kilku jenerałami. Wszyscy byli w ciemno-zielonych płaszczach i w stósowanych kapeluszach — mogłem się więc dobrze przypatrzeć temu groźnemu prokonsulowi cara.

Twarz jego nie wyrażała wcale téj srogości, z której był znany. Broda gładko ogolona, bez wąsów, czyniła go podobniejszym do księdza płaszczem wojskowym odzianego i rzeczywiście rysami twarzy przypominał dużo zmarłego arcybiskupa Dunina, tylko rysy jego były ostrzejsze, a tém samém pozbawione anielskiej łagodności, jaką widzieliśmy w twarzy arcybiskupa. Natomiast we wzroku Paszkiewicza spokojnym, obojętnym nawet, dostrzedz można było gruby odcień pogardy dla wszystkiego co go otaczało. — Jeden z otaczających go jenerałów niedługo po wejściu mojem na estradę, przeszedł przez owe próżne ławki, zbliżył się do mnie i ukłoniwszy się zapytał, czy ojciec mój nie służył przypadkiem w szwoleżerach za cesarza Napoleona. Odpowiedziałem, że ani mój ojciec, ani ja nie służyliśmy wojskowo.

— Przepraszam pana, ale znałem oficera w tym pułku, którego mi pan mocno przypominasz i sądziłem, że jesteś jego synem.

Ukłoniwszy się znowu, powrócił na dawne swoje miejsce.

Ta drobna niby okoliczność, że jen. moskiewski przeszedł rozmawiać ze mną, tak niemile na mnie zrobiła wrażenie, iż czułem, że ramieniec wstydu oblał twarz moją. Zdawało mi się, że oczy wszystkich muszą być na mnie zwrócone, że niejednen może mnie posądzać o stosunki po-

dejrzone z Moskalami i nie śmiałem oczu podnieść na otaczającą publiczność. Po chwili dopiero, ochłonawszy z osłupienia, zapytałem znajdującą się obok mnie panią Kuczyńską, czy nie wie przypadkiem co to za Moskał, który mnie zaszczycił raczył swoją, wcale przezemnie niepożądaną rozmową.

— Jakto, zapytała, to go pan nie poznałeś?

Pytanie to odnosiło się do roku 1831go, w którym służyłem w wojsku polskim.

— Nigdy go w mojem życiu nie widziałem, odrzekłem.

— Co on chciał od pana?

Gdym jej opowiedział krótką moją z nim rozmowę,

— A mógłby już sobie dać pokój ze swojimi Szwolcerami, kiedy się teraz nie wstydzi występować w mundurze rosyjskim. To Wincenty Krasiński, dodała z oburzeniem.

Nie zdołam opisać smutnych wrażeń, jakie ta wiadomość wywołała w mej duszy. Przyszedł mi na myśl sąd sejmowy, na którym jen. W. Krasiński sam jeden miał smutną odwagę głosować za skazaniem na śmierć podsądnych patryjotów, i noc 29go Listopada, w której Krasiński stawiał się dobrowolnie na usługi W. księcia Konstantego; następnie jego obojętność, więcej nawet, bo niechęć dla sprawy powstania narodowego; — a teraz — jawne wyrzeczenie się polskości, zdeptanie godności własnej, pohańbienie pięknego nazwiska, które po przodkach odziedziczył, a wszystko to dla zaznaczenia swojego wierno-poddańczego służalstwa najzaciętszemu ciemięzcy Polaków — carowi Mikołajowi — i to do tego stopnia, że go już nie raziła nawet dobrowolna służba w orszaku carskiego sługi!

O! święte są słowa nieśmiertelnego wieszczą naszego Adama, że

. wierność taka

Panu jest zasługą, człowiekowi grzechem;

— bo tak nisko upada człowiek, kiedy nizezemne służalstwo wrogom kraju przenosi nad świętość obowiązków dla własnej Ojczyzny.

Ale powróćmy do Zdębińskiego, o którym wyżej wspominałem.

chciałem o tyle zmylić szpiegów, że tymczasem zdołałem zrobić tyle rozmaitych na miejscu znajomości koniarskich że nie podobna będzie dopatrzeć, z kim na prawdę miałem zamiar zobaczyć się w Łącznej.

Chodziłem więc po rozmaitych stajniach, oglądałem konie, aż wreszcie zaszedłem do stajni Suffczyńskiego, który był szwagrem Henryka Kamińskiego, którego tam spotkałem, ale nie wpierw zbliżyłem się do niego, aż mnie sam nie powitał. Przedstawiony przez niego Suffczyńskiemu, poprosiłem go, aby mi kazał przyprowadzić klacz jedną, którą zacząłem targować i w końcu kupiłem za cenę, której nie była warta, ale chodziło o zakrycie mojej podróży, i zakrycie mojej znajomości z Henrykiem Kamińskim, do czego mi wybornie posłużyło kupno owój klaczy od jego szwagra.

Później nad wieczorem byłem u Suffczyńskiego na herbaci, gdzie poznałem kilku innych obywateli, a więcéj jeszcze w restauracyji. gdzieśmy wspólnie zeszli się na kolacyją. Zdawało mi się wówczas, że H. Kamiński musiał niektórych uprzedzić o prawdziwym celu mojej podróży, i że rzecz ta rozgłosiła się pomiędzy obywatelstwem. Zauważyłem to w poufnych rozmowach z niektórymi z nich i wedle sp strzeżeń, jakie zrobić miałem sposobność wnioskowałem, że na pięciu frzech przynajmniej musiało należeć do związku. W podróży mojej do Łańcuchowa, gdzie mieszkał Suffczyński i dokąd mnie na drugi dzień zaprosił, rozmawiał ze mną dosyć otwarcie, czego by z pewnością nie był zrobił, gdyby nie wiedział, że i ja do związku należę.

W czasie mojego pobytu w Łącznej przybył również Józef Szodrski z Księstwa wysłany przez Kosińskiego dla porozumienia się z H. Kamińskim.

Uważałem, że o ile ten ostatni unikał ze mną rozmowy w cztery oczy, o tyle szukał jój ze Szodrskim, tak iż zmuszony byłem powiedzieć Kamińskiemu, że mam do niego ważne polecenie od Komitetu, i że muszę z nim pomówić na osobności. Usiedliśmy we dwóch na ławie przed domem, gdzie Suffczyński mieszkał i powiedziałem mu, że przybyłem w tym samym co dawniej interesie aby Komite-

towi zostawił całkowicie działanie spiskowe w Księstwie i zdał mu związane tam przez siebie stosunki, że tu nie chodzi o jakąś chęć zdobycia naczelnego kierownictwa przyśiężeniem w Polsce całej, ale wyłącznie o dobro sprawy publicznej, która wymaga jednolitego działania; że Komitet gotów mu zdać wszystkie swoje stosunki w Polsce Kongresowej i na Litwie, byle Kamiński, z którym Komitet wtedy porozumiewał się wyłącznie — chciał szczerze zgodzić się na to przedstawienie, a odrębne działania Karpińskiego i Ściegiennego, powinnyby przekonać Kamińskiego o szkodliwości przyjętej przez niego teoryji spiskowej. Zresztą dodałem od siebie, że taka gra na dwie ręce, może dobra w mazyce, ale niebezpieczna w sprawach związkowych.

Widocznie Kamińskiego uraziły moje uwagi. Oświadczył, że nie może przyjąć propozycji Komitetu, i że najlepiej, aby każdy szedł wytkniętą przez siebie drogą, a nie troszczył się o drugiego. Oczywiście, że po tej odpowiedzi skończyły się moje traktowania i zabrałem się do powrotu. W Lublinie wsiedli do wozu pocztowego Kossowski, obywatel z Prus zachodnich i pułkownik Kiwerski z pułku grenadyjerów wojska polskiego, wzięty do niewoli w bitwie pod Wawrem dnia 19go Lutego 1831go r.

Miałem więc bardzo przyjemną podróż, bo pułkownik opowiadał nam rozmowę swoją z Dybiczem i dalsze przejścia swoje w niewoli moskiewskiej, z której przed niedawnym czasem był wrócił. — A że i my obydwoj z Kossowskim odbyliśmy kampaniją w r. 31szym, przypominaliśmy sobie wypadki różne z owego czasu i podróż nam się wydawała bardzo krótka, bo godziny schodziły szybko na niej pogawędce.

Przybywszy do Warszawy, znalazłem kilku znajomych mianowicie: Konstantego Bnińskiego, Bronisława Dąbrowskiego i Józefa Zrębińskiego. O tym ostatnim przyjdzie mi jeszcze pomówić osobno, bo mimowolnie oddał mi znakomitą przysługę. Oprócz tych trzech, którzy byli z Księstwa, znałem jeszcze Kuczyńskiego, obywatela z Podlaskiego, prezesa Towarzystwa wyścigów konnych, które się wówczas właśnie odbywały w Warszawie a były mi bardzo na rękę,

Domyśliłem się zaraz, że to był anioł stróż, którego mi przydał Abrahamowicz. Ten jegomość bardzo rozmowny i łatwy do zabierania znajomości, nazywał się Papłońskim (zapewne przybrane nazwisko) wypytywał mnie z kąd jestem i gdzie jadę. Powiedziałem mu to samo co na policyji. P. Papłoński bardzo się ucieszył, że razem odbywać będziemy podróż, bo i on jedzie do Lublina.

Pytał mnie dalej, czy mam znajomych w tej stronie; zbyłem go dość obojętnie, że na jarmarku nie trudno za-
wrzeć koniarskie znajomości.

— Bo ja mam, powiada, krewnego, który się zna sławnie na koniach, to mógłby Panu być pomocnym przy kupnie koni.

Podziękowałem i oświadczyłem zarazem, że nie myślę nadużywać grzeczności jego krewnego, bo sam się znam na koniach i zresztą byłoby śmiesznie, wybrać się na koniski jarmark, nie posiadając odpowiedniej znajomości ku temu. Aby uniknąć dalszych badań tego ciekawego a dosyć niezgrabnego opiekuna mojego, udałem że śpię i tak zajechaliśmy do stacyji, gdzie mieliśmy jeść obiad. Gdy przyszło do zapłaty, dziewczyna wskazując na pana Papłońskiego, powiedziała, że ten pan za mnie zapłacił.

— Toś zapewne nie zrozumiała, odrzekłem, że ten pan grzecznym sposobem ofiarował ci te pieniądze na szpiłki, a ja płacę ci co się za mój obiad należy, a podszedszy do p. Papłońskiego, podziękowałem mu za zbytnią grzeczność, ale zarazem oświadczyłem, że zwykłem sam za siebie płacić. Chciał się usprawiedliwić tém, że ja jestem w podróży itd.

— Kto nie ma wystarczających pieniędzy na podróż, odpowiedziałem, niech jej nie podejmuje.

Ale pomimo szorstkiego z mojej strony traktowania, pan opiekun nie dał za wygraną. Wieczorem znowu jakiś Moskal w mundurze kazał przynieść herbaty z arakiem i ten znowu chciał mnie częstować. Odpowiedziałem, że nie piję nigdy herbaty z arakiem, i kazałem sobie przynieść herbatę z mlekiem, za którą zaraz zapłaciłem.

Z tej stacyji Moskal przesiadł się do oddziału, w którym ja z p. Papłońskim dotąd jechaliśmy, a trzeci kacap,

który zamienił miejsce z mundurowym i przeszedł do przedziału tylnego. Ten nowy towarzysz podróży znowu zaczął wypytywać dokąd jadę, a dowiedziawszy się niby teraz dopiero, że do Lublina i do Łącznej,

— Ależ to wybornie się składa, odpowiedział z moskiewska, ja mieszkam w Lublinie, to wy zmęczeni podróżą nocną, będziecie mogli wygodnie przespać się w moim mieszkaniu, moja żona wyjechała, ja sam jestem i oto klucze od pokojów. Mam pięć pokojów, to wszystkie będą na wasze usługi.

Musiałem znowu dziękować za ofiarowaną mi gościnność, oświadczając, że nieznamy nie śmiałybym robić tyle laskawemu gospodarzowi niepotrzebnego zatrudnienia i po długich targach odmówiłem stanowczo natrętnej uprzejmości, ale zmiarkowałem, że zamiast jednego, mam dwóch szpiegów na karku. Z początku Moskał i P. Papłoński udawali, że się nie znają, ale skoro noc nadeszła, nachylali się ku sobie, aby eicho jakieś odbywać narady ile razy sądzili, że ja zasnąłem. Ale ja udając śpiącego, pilne miałem na nich oko i niby to budziłem się zawsze w chwili, kiedy głowy ich zbliżały się ku sobie. Tak ich wytrzymałem przez noc całą i nie dozwoliłem im żadnej jak się domyślałem na moję skórę narady.

Przybyliśmy zrana do Lublina, a tam rozpoczęli znowu ze zdwojoną gorliwością namawiać mnie, abym koniecznie przyjął ofiarowane u Moskala mieszkanie, ale to wszystko na nie się nie przydało, bo im w końcu stanowczo oświadczyłem, że lubię być panem swojej woli i tak robić jak mi się podoba.

Pytali więc już tylko w którym hotelu zamierzam stanąć, na co odpowiedziałem, że na pewno jeszcze nie wiem, ale że zapewne zajdę do hotelu Georga (Zorza). Odeszli więc nareszcie trochę niezadowoleni moim uporem ale z miłą nadzieją, że mnie odwiedzą skoro się wywczasują po trudach podróży. Ja zaś po ich odejściu zażądałem ekspozyty i pospieszyłem do Łącznej. Podejrywałem bowiem tych gościnnych panów, że wyślą kogoś na jarmark, albo dadzą znać miejscowej policyji, aby mnie miała na oku i

Na drugi dzień po owych wyścigach wyjechałem z Warszawy, bo załatwiwszy moje interesa, nie miałem przy- czyny dłużej bawić w tém mieście. A że już pierwszego dnia wyścigów ściągnąć musiałem na siebie uwagę Paszkiewicza, przed którym jakby naumyślnie defilował w płaszczu zarzu- conym po hiszpańsku na jedno ramię, odwrócił odemnie uwagę policyji, która mnie taką troskliwą opieką raczyła otoczyć w przejeździe mojim do Łącznej, bo ja spokojnie przejechałem za granicę, a jego z rozkazu samego Paszkie- wicza zrewidowano na komorze od stóp do głowy, ale nic przy nim nie znaleziono, bo on nie należąc do związku nie wiedział o niczém, a tém samém do żadnych poleceń nie mógł być użytym.

Przybywszy do Poznania zdałem szczegółowo sprawę z mojego posłannictwa a mianowicie, że w Warszawie are- sztowania ustały i że związkowi na miejsce uwięzionych w cytadeli członków wybrali innych i że sprawa sprzysiężenia postępuje dalej bez przeszkody; że Kamiński odmówił wszelkiego porozumienia z centralizacją i z Komitetem po- znańskim i że na swoją rękę działa, czego dowodem były jego narady z Józefem Szoldrskim, wysłańcem Wł. Kosiń- skiego; wkońcu, że związek w Lubelskiem, jak mogłem wy- miarkować po obywatelach, których poznałem, musiał być szeroko rozgałęzionym.

Na zebranie, przed którym miałem zdawać sprawę z mojej podróży, przybył ze strony Komitetu tylko Napoleon Kamiński i Aleyato, członek centralizacji. Był on przy- słany dla zastąpienia Tomasza Malinowskiego, który się udał do Królestwa częścią dla załatwienia własnych intere- sów familijnych, częścią dla przekonania się o stanie sprzy- siężenia w Kongresówce. Zdaje się, że wyjazd Malinowskie- go nastąpił wskutek nieporozumienia z centralizacją. Ma- linowski bowiem żądał bezzwłocznego wyrzucenia wszystkich malko tentów ze związku i zreorganizowania całkowicie sprzysiężenia samego w Księstwie. Skutkiem tego związek miał się ograniczyć do członków posłusznych rozporządze- niom centralizacji i Komitetu miejscowego, a z drugiej strony nie uważać na odrębne prace Stefańskiego i pozosta- wić go własnemu losowi.

Srodek ten jednakże nie zapobiegał złemu, bo zostawiając malkontentom sposobność wolnego działania, pozostawiał im przez to samo wolność przyspieszenia wybuchu o siłach nieodpowiednich przedsięwzięciu, bo jak wspominałem wyżej, Stefański głównie pomiędzy klasą rzemieślniczą szerzył sprzysiężenie. Z drugiej strony nieostrożność, z jaką się wszystkie jego działania spiskowe odbywały, kazała się obawiać, że policja może łatwo odkryć całe to sprzysiężenie, a przy tej sposobności dowiedzieć się o istnieniu Komitetu poznańskiego i osób, które w skład jego wchodziły.

Wiadomém było, że tak Stefański jak jego współpracownicy popierali potrzebę utworzenia osobnego związku — skargami na bezczynność istniejącego Komitetu, przyczém i nazwisk osób nie oszczędzano. Wykluczenie zatem całego tego odłamu od wspólnych prac komitetowego sprzysiężenia nie byłoby w danych okolicznościach osłoniło ani Komitetu, ani związkowych, a oddawało sprawę całą w ręce ludzi niedojrzałych politycznie, a gorączkowych i nieostrożnych. Projekt zatem Tomasza Malinowskiego nie znalazł uznania ani w łonie komitetu poznańskiego, ani ze strony centralizacyji.

Odrębne działanie Stefańskiego wyrządziło bardzo dużo złego sprawie sprzysiężenia. Nie chciał on uznawać żadnej władzy nad sobą, ambycya zaś jego była nierównie większą jak zdolności. Bez żadnego planu powstańczego, bez żadnej kontroli potrzebnej w razach podobnych zaciągał ludzi do swojego spisku, nie tylko w Poznaniu, ale we wszystkich prawie mniejszych miastach Księstwa, a nawet sięgnął do Torunia i Chełmna, gdzie i młodzież szkolną wciągnął do swojej roboty.

Nie zapominajmy, że się to działo w okresie propagandy, gdzie całą usilność zwrócić należało do przekonywania większości szlachty o niezbędnej konieczności przeprowadzenia naprawy ustroju społecznego w narodzie, a ta wymagała nietylko wielkich ofiar materyjalnych ze strony dziedziców, ale i zaniechania dawnych przesądów względem ludu, najtrudniejszych podobno do zwalczania. Praca zatem zwią-

ku demokratycznego, który tą drogą iść zamierzał, była mozolną, ale konieczną i wymagała nie tylko długiego czasu, lecz i gruntownej znajomości historyji i potrzeb własnego narodu.

Nie było to więc bezpośredniem zaciąganiem ludzi do powstania, ale raczej szerzeniem zasad demokratycznych w łonie społeczności naszej ku wyrobieniu jednolitości w narodzie rozdzielonym od wieków na — że się tak wyrażę, odłamy społeczne, przeciwne sobie, już to z powodu względów materialnych, już téż dla odrębności praw politycznych i społecznych, jakie każdy z tych odłamów w bardzo nierównej mierze posiadał.

Działanie więc Stefańskiego na swoją rękę było lekkomyślném i pod każdym względem karygodném, bo sprzeciwiało się zupełnie zasadniczemu programowi Towarzystwa demokratycznego, który się zasadzał na zmniejszeniu sposobem wyżej wskazanym liczby niechętnych uwłaszczeniu chłopów, aby Rząd powstańczy nie potrzebował zwalczać przeciwników reformy społecznej w chwili, kiedy wojna z wrogiem toczyć się będzie — bo podkopując powagę władzy istniejącej, Stefański nie mógł na jej miejsce postawić innej, lepszej, ogólne zaufanie posiadającej — przez co wprowadził anarchiją w pojęciach i skazywał tak związek demokratyczny, jak i swój własny spisek na bezwładność i rozprzężenie. — Szerząc znowu swój spisek między młodzieżą szkolną i mieszczaństwem sięgnął do żywiołów najpatryjotyczniejszych wprowadzić, ale najniecierpliwszych razem.

Był to materyjał nieoceniony, bo gotów do czynu, ale nie należało go budzić przedwcześnie. Dość było zawiadomić ich na parę tygodni przed terminem, aby się na dzień i godzinę umówioną stawili, a byłiby bez wszystkich niepotrzebnych spiskowań posłuchali takiego rozkazu. Ale co potem zamyślał zrobić Stefański? Siły, na jakie mógł liczyć rozsądnie, były za słabe do rozpoczęcia powstania, bo jak widzieliśmy, ograniczały się głównie na mieszczaństwo, a więc na najslabszy liczebnie odłamek społeczności naszej, — a więc o rozpoczęciu powstania myśleć nie mógł. Oprócz

tego ani planu wojny, ani nawet punktów zbornych nie miał wyznaczonych.

Organizacja cała ograniczała się na podziale wewnętrznym na dziesiętników i setników, a na tysiącników odpowiedniego materiału podobno już nie stało. Pomiędzy ludem i to w miejscowościach bliżej Poznania położonych, było wprawdzie kilkunastu chłopów wciągniętych do spisku, ale to był materiał drogocenny do propagandy między ludem, co oczywiście wymagało jeszcze sporego czasu, a dla nachmiastowego powstania, do którego Stefański dążył, stanowiło drobną tylko przyczynkę sił potrzebnych do boju. Luźna organizacja wewnętrzna, oparta na wyznaczeniu dziesiętników i setników, pozbawiona wszelkiej kontroli z góry, jak się później przekonałem, nie mogła, nie była w stanie utrzymać długo w posłuszeństwie ludzi powołanych od razu do czynu, a skazanych później na bezczynne oczekiwanie; wyrodzić musiało niezadowolnienie, zwątpienie, a nawet posądzenie o zdradę ludzi uczciwych, nierozważnemu działaniu Stefańskiego przeciwnych i jedynie dobro sprawy ogólnej mających na sercu.

Każdy spyta zapewne, co mogło spowodować Stefańskiego do przyspieszenia wybuchu, nie mającego widoków powodzenia, kiedy zresztą mógł być przekonany na każdym kroku, że los powstania nie polegał na przyspieszeniu wybuchu, ale raczej na najobszerniej szych ile można przygotowaniach do niego?

Od owiadam, że głównie ambicja połączona z bezgraniczną lekkomyślnością, popychały człowieka tego na drodze wiodącej choćby do przepaści, choćby do narazenia na zatrącenie przyszłości powstania, byle imię jego świecić mogło w historii narodu obok nieśmiertelnej pamięci Kilińskich, twórców powstania warszawskiego w r. 1794-tym jak dalece zaś lekkomyślność jego była występna, następujące opowiadanie wyjaśni:

Przedmiotem głównym jego usiłowań było zajęcie cwaładeli (Kernwerk) na Winiarach. Był to punkt bardzo ważny, któremu należało poświęcić całą uwagę ze strony sprzymierzeńców, ale wcale nie łatwy do oparowania, a potrzebujący

dość znacznej siły nie tylko do zdobycia, ale i do obsadzenia po zajęciu. Komitet główny ustanowił był komisją, czyli raczej podkomitet do spraw wyłącznie poznańskich, a wyznaczył Dra Mateckiego, litografa Kurnatowskiego *) i Guttrego Aleksandra do owój komisyi.

Na jednem z zebrań téj komisyi, a było to na pół roku może przed aresztowaniem Stefańskiego, Guttry zrobił wniosek, żeby wniósć w bliższe stosunki ze Stefańskim, przez co dałoby go się może powstrzymać w działaniach jego wprost do wybuchu dążących, a zużytkować na rzecz powstania to, co do téj pory był przygotował. Na to odezwał się Kurnatowski, że ze Stefańskim trudna sprawa, bo dużo opowiada, ale jak go się wezwie o bliższe wyjaśnienie szczegółów, to ich dać nie umie. Stało jednakże o tem, aby go wezwać i do wspólnej pracy nakłonić.

Jakoż przybyłem na zebranie komisyi wieczorem; członkowie jej starali się wykazać mu szkodliwość rozdzwajania związku na dwa niechętne sobie obozy, ubazwładniające się wzajemnie i to w chwili, kiedy potrzeba jednolitego działania i skupienia sił wszystkich pod jednym i tym samym kierunkiem władzy naczelnéj może jedynie zapewnić przyszłemu powstaniu nadzieję powodzenia.

Na to odrzekł Stefański, że owszem pragnie działać wspólnie z ludźmi, którzy naprawdę myślą o powstaniu i podają mu rękę do wspólnej pracy, że do odrębnego działania skłoniły go bezczynność Komitetu i całkowite odrzucenie mieszczaństwa od współdziałania w pracy, do której cały naród powołać należy.

Odpowiedziano mu na to, że Komitet dopełnia wierne obowiązków swoich, ale się trzyma ściśle raz przyjętego programu, wedle którego chodzi przedewszystkiem o zjednanie umysłów dla reform społecznych, na których należy oprzeć przyszłe powstanie narodu; że zawczasie poruszać ludzi gotowych do czynu, nie mogąc dać im w najkrótszym

*) Nazwisko Kurnatowskiego było przybrane z powodu jego emigracyji z kraju. Był on Litwinem, o prawdziwém jednak nazwisku jego dowiedzieć się nie mogłem.

czasie sposobności do wystąpienia w poważnej sile do boju z nieprzyjacielem, jest błędem, który w ludziach niecierpliwych, pełnych zapału i poświęcenia, ale z natury swojej nieprzydatnych do prac przygotowawczych, mozolnych i długiego czasu wymagających — zrodzić musi niezaufanie do wszelkiej władzy kierowniczej, a wkońcu doprowadzić do całkowitego rozprężenia. Zwrócono mu również uwagę i na tę ważną okoliczność, że Komitet poznański koniecznie stosować się musi do wysokości przygotowań w innych częściach Polski poczynionych, bo Księstwo jest za słabe, aby samo stawić mogło czoło potężnej Moskwie, gdyby zaś powstało przedwcześnie, mogłoby narazić inne prowincyje na cząstkowe wybańchy, które bez wątpienia uleddyby musiały silniejszemu na każdym punkcie nieprzyjacielowi. Wkońcu dodano, że zanim się pomyśli o wybuchu powstania, należy zbliżyć się do ludu wiejskiego i zapewnić sobie jego współudział w powstaniu, co z wielką ostrożnością przeprowadzać należy pomiędzy chłopami przez komisarzy obwodowych obafamuconymi i nieufającymi dziedzicom, jakoby chcącym zrobić powstanie dla przywrócenia poddaństwa i odebrania własności, którą im król nadał.

Na to odpowiedział Stefański, że ma pozyskanych chłopów we wsiach bliżej Poznania położonych, a na odgłos wzięcia fortecy reszta się sama zgłosi do szeregów

Liczba tych pozyskanych przez Stefańskiego ochotników wynosiła 17, lub 20, jak wyżej wspomniałem.

Na wspomnienie o zajęciu cytadeli, zagadnięto Stefańskiego, że ma posiadać rysunek i plan opanowania twierdzy, a więc potrzeba, aby plan ten przedłożył i wyjaśnił komisycji, bo rzecz tak ważną należy dojrzałe rozważyć i dostatecznie przygotować, zanim ją ostatecznie przyjąć będzie można.

Stefański odrzekł, iż to rzecz wielkiej wymagająca tajemnicy, i że z tego powodu mógłby ją co najwięcej jednej zaufanej osobie powierzyć. Przedstawiono mu więc Kurnatowskiego, na którego się zgodził i przyrzekł odwiedzić go nazajutrz z rana. Była to Niedziela. Ja wyszedłem z hotelu Bawarskiego już z południa i zszedłem się ze Stefańskim o kilka kroków na ulicy.

— Dobrze, że cię widzę, powiada, pójdźmy zwolna ku placowi teatralnemu, będziesz mógł sam się przekonać, że mam i w wojsku stosunki.

I rzeczywiście spotkałiśmy kilku podoficerów wracających z parady, z których trzech lub czterech mrugnięciem oka pozdrowiło Stefańskiego, który im również nieznacznie odmrugnął.

— To są wszystko spiskowi, mówił mi Stefański.

Jednego tylko nazwisko spaściłem, którego inteligentny wyraz twarzy i wzrok bardzo bystry mocno mnie uderzyły: nazywał się Kunkiewicz. Po drodze do księgarni mówiłem Stefańskiemu, aby ostrzegł swoich i zalecił im większą ostrożność, bo w piwiarniach otwarcie rozprawiają o powstaniu, które wkrótce ma nastąpić, przyczém bardzo często jego (Stefańskiego) nazwisko wymieniają. Ostatnie nie było prawdą, ale użyłem tego kłamstwa, aby tém mocniej zainteresować go do powstrzymania nieostrożności, która istotnie była wielką i mogła ułatwić policyji nasłanie szpiegów na miejsca ich schadzek zwyczajnych.

Wiadomość ta zrobiła na nim silne wrażenie i przyrzekł zająć się natychmiast tą sprawą. Pytałem go następnie o Kunkiewicza: powiedział, że tegi Polak i bardzo inteligentny człowiek, że on mu odrysował plan cytadeli, i że ma już 17tu podoficerów należących do spisku, i że powiada się, iż w niedługim czasie liczba ich w dwójnasób się pomnoży. Poczém zamknąwszy drzwi, pokazał mi w tajemniczym miejscu ukryty plan fortecy. Był to po prostu grubo, choć dosyć wprawna ręką narysowany szkic wewnętrznego dziedzińca cytadeli z otaczającymi go w pięciobok zabudowaniami. Stefański objaśniał barzo poważnie, gdzie się znajduje mieszkanie komendanta twierdzy, gdzie się mieszczą sale do spania dla żołnierzy i otwach głowy. — „Dostać się możemy fórtką do wnętrza, którą piekarze wchodzą codzien o świcie na robotę, a raz dostawszy się do piekarni oddział przeznaczony do téj wyprawy pod wodzą spiskowego podoficera przyaresztuje zaraz komendanta, a drugą częścią rozbroi otwach i otworzy główne drzwi naszym ludziom ukrytym w krzakach otaczających fortecę.“

Cały ten plan oblężenia cytadeli, oparty na tylu przypuszczeniach, mógł, podług mnie, cudem chyba udać się spiskowym, ale nie chciałem żadnych uwag robić Stefańskiemu, aby go nie zrazić do siebie i tylko nakłaniałem go, aby ten rysunek zniszczył, bo go można było w każdym razie z pamięci odtworzyć — ale nie mogłem tego wymóżyć na nim. Zaręczał mi, że ten rysunek ma zawsze w takim schowaniu, że chociażby policja zrobiła u niego rewizyją, to tego niebezpiecznego dokumentu odnaleźć nie zdoła.

Z niecierpliwością oczekiwałem zebrania komisycji, aby usłyszeć zdanie Kurnatowskiego, który był z powołania inżynierem i bardzo prawym i rozsądnym człowiekiem, tak że na jego zdaniu z całą pewnością polegać było można.

W kilka dni potem na zebraniu komisycji zapytaliśmy Kurnatowskiego, czy się porozumiał ze Stefańskim. Z oburzeniem opowiedział nam, że wszystko co słyszał od Stefańskiego jest niedorzecznością, i że cały jego plan oblężenia cytadeli jest po prostu mrzonką, niepodobną do przeprowadzenia. Rysunek uważał, tak samo jak mnie się przedstawiał, za rzecz nie mającą żadnej wartości, szczegóły zaś wykonania były podług niego niemożliwe.

Naprzód nie wierzył, aby ludzie przychodzący z miasta na robotę w piekarni, mieli posiadać klucz od niej, że podług niego musiał być przeznaczony podoficer na służbę w piekarni, który im otwierał wejście, a potem dozorował ich przy pracy, że ludzie ci przychodzili zapewne po zatrąbieniu pobudki, a wtedy i załoga była już na nogach. Jednym z głównych zadań było aresztowanie komendanta fortecy, ale Stefański nie wiedział, czy z piekarni jest wewnętrzna komunikacja z mieszkaniem komendanta, a z zewnątrz nie podobnaby się dostać do niego, bo drzwi muszą być zamknięte do jego mieszkania, a sztyldwach musi chodzić przy nim. — „A wreszcie powiada, przypuściwszy nawet, że przeznaczony na wewnętrzny atak oddział dałoby się wprowadzić do piekarni, czyż było podobieństwo, aby tych kilkudziesięciu ludzi mogło w jednej chwili zaaresztować komendanta, rozbroić sztyldwacha, opanować odwach i zamknąć żołnierzy w salach sypialnych i jeszcze w dodatku otwo-

rzyć **główne** drzwi dla oddziału zewnątrz cytadeli zaczajonemu, a wszystko tak nagłe i w takiej cichości, iżby nie zaalarmować załogi?"

Słuszność powyższych uwag była zanadto przekonywającą, aby im można było stawiać jakąś opozycją. Ale pomimo całej niepraktyczności planu Stefańskiego zgodzono się, aby z nim nie zrywać, aby go nie zrażać, ale starać się o **wyzyskanie** robót jego dotychczasowych na korzyść powstania i skłoniono Kurnatowskiego, aby z nim się porozumiewał i odwodził ile możności od wszelkich natychmiastowych **porywów**, przy **środkach** tak niewystarczających do **wywołania** ogólnego ruchu nie tylko w Księstwie, ale i w innych częściach Polski.

Ale **oprócz** Stefańskiego byli jeszcze i inni wichrzyciele w łonie związku centralnego, którzy paraliżowali mocno działanie głównego Komitetu, jako to: Adolf Małczewski, Słupecki, Wł. Kosiński, Józef Mikorski i kilku jeszcze innych, **których** tamci obalamucić zdołali.

Pierwszy z nich zamierzył nawet zebrać na swoją rękę parę set ludzi i z nimi **wkroczyć** do Królestwa. Na ten cel **urządził** polowanie, na które rozesłał karty zaproszenia na całe Księstwo. Zaprosił nawet 2 landratów pruskich dla **lepszego** zamaskowania swoich zamiarów, dla których polowanie za **pozór służyć** miało. Na szczęście stawilo się na owo zaproszenie ze 40tu może obywateli ze strzelcami, i z narad, jakie odbywano w boru, stanęło na tém, że z taką **garścią** niepodobna było rozpoczynać wojny z Moskwą. Wszystko to nie uszło uwagi owych dwóch landratów, i za **pewne** wskutek ich raportu policja aresztowała Małczewskiego — i musiał za swoją nie-forność i nierozum odpokutować pięć-miesięcznym więzieniem.

Wypuszczony w Maju, czy Czerwcu 1845go r. nie usatkwował się jednakże i na nowo w związku wraz z wymienionymi wyżej towarzyszami brojicę począł.

Jakkolwiek uwięzionemu śledztwo policyjne niczego dowieść nie mogło, bo zarządzone przez niego polowanie nie wychodziło po za granice jego zwykłego hulaszczego życia, — to jednakże z tego właśnie powodu czujność policyji w wyso

kim stopniu rozbudzoną została i jak się zdaje, władze pruskie zaczęły od owego niefortunnego wybryku Polaków podejrzewać o zamiary rewolucyjne i zaczęto szpiegować w mieście rzemieślników, a na wsiach szlachtę za pomocą tajnych agentów policyji. Jakoż w drugiej połowie 1845go r. aresztowano w Poznaniu kilka rzemieślników z obozu Stefańskiego.

W początkach lata tegoż roku wrócił do Poznania z dość długiej podróży swojej w Kongresówce Tomasz Malinowski,*) który przez lat pięć sprawował urząd wysłańca centralizacyji przy Komitecie poznańskim. — Dowiedziawszy się, że właśnie byłem w Poznaniu, odwiedził mnie i sądząc, że wiem o jego zajęciach z Komitetem i centralizacją, opowiadał z największym żalem, że go jak zbrukaną szmatę cisnęli pod ławę, i że on teraz miał sposobność przekonania się naocznie, że w Królestwie nic nie ma, i że Królestwo nie będzie mogło powstać razem z Księstwem, jeżeli Komitet poznański nie odstąpi od myśli przyspieszenia wybuchu powstania. Spostrzeżenie swoje objawił niektórym członkom Komitetu, jak się wkrótce dowiedziałem, i zaraz potem wyjechał do Paryża.

Zaniepokojony do najwyższego stopnia temi wiadomościami pragnąłem koniecznie zobaczyć się co najwcześniej z kim z przyjaciół moich; jakoż wyszedszy na ulicę, spotkałem Napoleona Kamińskiego. Nie wiem, czy on wówczas zasiadał jeszcze w Komitecie, ale wiedziałem, że był z Karolem Libeltem w wielkiej zażyłości, a do mnie miał wielkie zaufanie.

Poprosiłem go więc do mojego mieszkania i opowiedziałem mu to co słyszałem od Malinowskiego. — Kamiński wiedział już o wszystkim i również mocno był zaniepokojony. Po bliższej rozprawce ja przyszedłem do przeko-

*) T. M. opuścił Księstwo wskutek stanowczego ze strony Komitetu oporu stawianemu przez niego żądaniu, aby wszystkie niesforne żywyły pozostawić ich losowi. Nie znalazszy poparcia w centralizacyji, wystąpił z nią, i udał się do Królestwa. Na miejsce jego przysłała centralizacja Aleyatę, członka swojego.

nia, że Malinowski widzi rzeczy w zbyt czarnych kolorach, że albo przebywał z ludźmi nie należącymi do sprzysiężenia, a więc nie wiedzącymi o niem może wcale — albo Kongresowiaci zniechęceni bardzo do centralizacyji, nie chcieli mu się zwierzyć, wiedząc że był jój członkiem. Niepodobna przypuścić, aby to wszystko o czém przed rokiem opowiadano mi w Warszawie, i to co sam widziałem w Łącznój, miało być nieprawdą i złudzeniem.

Na to mi odrzekł Kamiński, że ma złe przecucie o sprawie sprzysiężenia, bo za wiele przeciwności się gromadzi. Naprzód Stefański zawczasie poruszył żywioł zbyt pilny i niecierpliwy, którego teraz nie ma czém zająć dostatecznie; dalej sam związek nasz mieści w sobie wichrycieli, którzy naprawdę mają zamiar zrzucić Komitet istniejący i inny na jego miejsce postawić, co grozi anarchiją i rozprzężeniem całego naszego sprzysiężenia, a wkońcu dziwna nieostrożność naszych w zakupywaniu przyborów wojennych i to jakby się zmówili w jednym czasie na te same przedmioty, to broń, to proch i ołów, to siodła, to rękawiczki nawet.

Wszystko to z pewnością policyji wiadoma, a daj Boże, abym się mylił, ale mi się zdaje, że władze są już na śladzie sprzysiężenia i po nitce, zwłaszcza przy gadatliwości naszych, łatwo dojść mogą do kłębka i wszystkich wyaresztują. Komitet, dodał, w bardzo trudném znajduje się położeniu, bo oprócz naszych miejscowych malkontentów, którzy wichrzą na wszystkie strony, są jeszcze wychodźcy z Królestwa, którzy ciągle napastują, a żeby im powierzono misyje do kraju, gdzie jak, mówią, rozleżte posiadają stosunki, których mogliby użyć z korzyścią dla sprawy powstania, a Komitet nie chce ich użyć do niczego. Najgorszą ze wszystkiego jest wiadomość z Niemiec przez Niegolewskiego przywieziona, że Komitety tameczne oświadczyły za pośrednictwem Eluma z Lipska i Szelfla z Wrocławia, że o przyspieszeniu ruchu rewolucyjnego mowy być nie może, bo sprzysiężenia niemieckie dopiero są w zawiązku, a władze państw niemieckich rozwijają niezmierną czujność i przesładują patryjotów na każdym kroku. Radziłobyśmy parę go-

dzin wspólnie, ale nie można było wynaleźć środka, któryby wszechstronnie zaradzić zdołał złemu.

Związek nie mający pod ręką władzy wykonawczej, aby ukarać nieposłusznych władzy swojej, pozostaje zawsze na łasce członków sprzysiężenia i nie jest w stanie przeskodzić wybrykom niespokojnych duchów. A trzeba jeszcze i to mieć na względzie, że ludzie ci z innego na rzecz zapatrujący się stanowiska z przyczyny niecierpliwego temperamentu, lub wskutek nieznamomości ogólnego stanowiska i szczególnych okoliczności, które samemu wyłącznie Komitetowi mogły być tylko wiadome, grzeszyli, ale grzeszyli w dobrej wierze; byli to zawsze patryjoci, chociaż może miłość własna i ambicja niepoślednią w tém wszystkim u niektórych odgrywała rolę.

¶ Napomknąłem wkońcu, czyby nie było dobrze, żeby ze dwóch znaczniejszych z pośród tych odłamów sprzysiężenia, myślących jedynie o przyspieszeniu powstania, przybrać do władzy, a może tym sposobem dałoby się nakłonić ich samych i ich towarzyszy do spokojniejszej i rozsądnej pracy, skoroby się przekonali, że ich powyższe i bezwzględne działania przynieść muszą nieobliczone szkody sprawie publicznej.

- To by się na nic nie przydało, zauważył Kamiński, bo owi przybrani dalej będą prowadzili własne dzieło pod zastaną władzą, której będą członkami i po za plecami kolegów swoich, albo ich odrzucą własni ich towarzysze, których oni sami tak niebacznie popychali do przyspieszenia ruchu. Tak zwykle bywało we wszystkich sprzysiężeniach dawniejszych, jakie w Polsce istniały.

Obawy Kamińskiego co do rozbitcia Komitetu sprawdziły się niezadługo, ale z inną, wcale niespodziewanej strony. Katastrofę tę przyspieszył człowiek nie mający bliższych stosunków ze związkowymi, z wyjątkiem może Adolfa Malczewskiego, w którego domu od lat dwóch dosyć często gościł. Był on z Królestwa, a nazywał się Franciszek Przyborowski.

Ciekawy z natury i dosyć sprytny przytém, lubił się przysłuchiwać rozmajitym rozmowom osób, które bywały w domu Malczewskiego, w czém zresztą nie zachowywano ostroż-

ności i z tych rozmów wywnioskował sobie, że istnieje sprzyśnięcie, a bardzo łatwo być może, iż przy tój sposobności dowiedział się o nazwiskach wielu wpływowych obywateli w Księztwie i umiał do nich trafić, jak to później zobaczymy. Głównym zaś staraniem jego było, aby go użyto do jakiejś bądź posługi w interesie publicznym do Królestwa. Zdaje się, że miał zamiar zdobyć sobie tym sposobem za granicą opinią zaufanego członka związku, do którego ani tam, ani tu nie należał. Dowiedziawszy się, że z wielką trudnością przychodzi przesyłanie pism i książek emigracyjnych do Kongresówki, napraszał się bezustannie o powierzenie mu takiej przesyłki, zaręczając, że ma zupełnie pewne sposoby przebycia granicy, jak poświadczyć mogą częste jego podróże do Księztwa, i że każda powierzona mu przesyłka bez żadnej trudności dojdzie swojego przeznaczenia.

Pomimo to Komitet stanowczo zakazał powierzenia mu tak niebezpiecznego zlecenia, słusznie wnioskując, iż gdyby Przyborowski był człowiekiem pewnego charakteru i zdolnym do użycia w sprawie publicznej, władza miejscowa byłaby o nim zawiadomiła Komitet poznański.

Pomimo to znalazł się jakiś nieproszony pośrednik, który Przyborowskiemu ułatwił potajemnie nabycie książek i dał polecenie przewiezienia ich do Królestwa. Zarzucano Adolfowi Malczewskiemu, że on na swoją rękę zarządził tę całą książkową wyprawę i użył do niej Przyborowskiego, ale nie można uważać tego za pewność, bo Malczewski zarzekał się, że był wcale obcy u tój sprawie. Szczegół ten na pozór drobny wywarł jednakże bardzo szkodliwy wpływ na sprawę sprzyśnięcia, a mógł przyprawić Księztwo o wielkie nieszczęście.

Przyborowski dostawszy owe wspomniane książki, zajął się swoją wyprawą do Królestwa. Przybrawszy sobie drugiego jakiegoś awanturnika, który miał się nazywać Cyliński, a w Poznaniu ukrywał się pod nazwiskiem Hofmana, i jak powiadał, pochodził z Warszawy — przejechał z nim i z furmanem swoim w noc pogodną granicę; sądząc, że już żadne nie grozi mu niebezpieczeństwo, zapalili sobie cygara i jechali dróżyną przez las prowadzącą, rozma-

wiając jakby w miejscu całkiem już bezpiecznym. Ale za ledwo ujechali z milę drogi w owym lesie, zastąpił im drogę strażnik graniczny i zapytał:

— To panowie pewnie z Prus jadą, kiedy cygara palą?

Zagadnięci chcieli zbyć strażnika zaręczeniem, że w Prusach nie byli, i że jadą tylko w sąsiedztwo. Strażnik jednakże nie dawał wiary ich zaręczeniom i oświadczył, że mają z nim udać się na komorę, a tam się rzecz wyjaśni. Rzecz jasna, że im to oświadczenie strażnika wcale nie przypadło do smaku, więc poszli z nim w układy. Dawali mu z początku sto, potem dwieście, a w końcu pięćset złotych, aby ich puścił, ale uparty strażnik, im więcej mu ofiarowali, tém natrętniej obstawał przy swoim.

Wówczas chociaż ich było dwóch, a woźnica trzeci, woleli wszyscy czmychnąć w las, zamiast się rozprawić ze strażnikiem. Pozostały konie i bryczka i książek paka w ręku napastnika, który się spodziewał zapewne większej nierówności wartości w znajdującą się na bryczce paczce i dla tego był tak twardym przy układach. Ale Przyborowskiemu było żal koni i wysłał woźnicę na zwiady, czyby się nie dało ich uratować.

Biedak ten musiał nie zbyt oględnie brać się do rzeczy, bo wpadł w ręce zaczajonych strażników, których już dwóch było w pobliżu owęj bryczki. Związawszy złapanego chłopaka, przyprowadzili go wraz z bryczką na komorę, a a tam gdy otworzono paczkę i zobaczono w niej zakazane książki, odesłano i schwytanego woźnicę i książki do naczelnika powiatu. Chłopiec wzięty pod śledztwo musiał zeznać u kogo pan jego bywał w Królestwie, wskutek tego aresztowano kilka osób, a między nimi jakąś kobietę, z którą Przyborowski miał stosunek miłosny. Ta kobieta była jego zaufaną powiernicą, jęj się zwierzał z wszystkiem i o wszystkich, u których bywał i gdzie co słyszał.

Tymczasem Przyborowski nie mogąc się doczekać powrotu woźnicy, dorozumiał się co się z nim stało i chcąc zatrzeć całą tę awanturę nadgraniczną, która była oczywiście dowodem jego kłamstw poprzednich, pospieszył wjechać inną stroną do Królestwa, dotarł aż w Lubelskie i tam

staral się obywateli wiejskich poruszyć do powstania, kłamiąc im, że w Księstwie już się nasi biją. Przekonany, że wiadomość przez niego przywieziona przyspieszy wybuch w tamtych stronach, wracał inną drogą do Księstwa i przybywszy do Poznania, udał się do patryjotów, których znał z nazwiska i opowiadał, że nie ma chwili do stracenia, bo Lubelskie całe powstało.

Lubelskie jednak nie uwierzyło gołosłownym zapewnieniom nieznanego sobie człowieka i postanowiło, lubo mocno zaniepokojone, zaczekać na pewniejsze wiadomości. Ale w Poznaniu patryjoci, ilu ich było w mieście ze wszystkich stronnictw, zwołali się na naradę w kilkanaście osób, pomiędzy którymi, ile mi wiadoma, znajdowali się: Libelt Karol, Napoleon Kamiński, Wolniewicz, Sadowski Nepomucen ze stronnictwa, które z centralizacją trzymało; Słupecki i Mikorski ze secesyjnistów, Maciej Mielżyński i Dr. Marcinkowski z konserwatystów, wszyscy do najwyższego stopnia zaniepokojeni przywiezioną przez Przyborowskiego wiadomością.

Mało brakło do postanowienia natychmiastowego wybuchu. Maciej Mielżyński żądał, aby natychmiast rozesłano ludzi na wszystkie strony do przyjmowania sztafet, a następnie, aby wydano rozkazy do najprędszego zbierania ludzi gotowych do boju i wyruszania z tém co będzie pod ręką na pomoc bijącym się braciom w Królestwie. Szczęściem, że Libelt zatrzymał śmielszą krew i zwrócił uwagę obecnych, że wiadomość pochodzi z mniej wiarogodnego źródła, i że należałoby ją wpierw sprawdzić na miejscu przez osobę zaufania godną, którą niebawem wysłać należy. Upoważniono więc Wolniewicza, o ile wiem, aby pojechał w Lubelskie i przekonał się naocznie o stanie rzeczy w Królestwie i gdyby się potwierdziła wiadomość przez Przyborowskiego rozgłoszona, wtedy dopiero będzie można urządzić kroki stanowcze w Księstwie.

Trudno sobie wyobrazić niecierpliwość, z jaką oczekiwano jego powrotu. Tymczasem Przyborowski wysłał swego towarzysza Hofmana na prowincyjną, aby szerzył pomiędzy obywatelami fałszywą wiadomość o powstaniu w

Kongresowce i zalecał **bezzwłoczny wybuch w Księstwie**. Sam zaś umieścił się w domu panien, już podeszłego wieku, ale gorących patriotek, które umiał pozyskać opowiadaniem o swoim poświęceniu dla sprawy i o niebezpieczeństwach, jakie go z tej przyczyny otaczały. Panny te nazywały się Słosarzewiczówny, a były córkami dawnego wojskowego polskiego i z największą starannością ukrywały niegodziwego oszusta, który im się umiał przedstawić za męczennika sprawy narodowej.

O dalszych jego przejściach opowiem poniżej a wracam do wysłannika, któremu polecono przekonać się, czy wiadomość przez Przyborowskiego przywieziona zasługiwała na wiarę. Skoro wysłaniec powróciwszy ze swojej podróży zapewnił, że w Królestwie wszystko spokojnie i że tam czekano właśnie na bliższe wiadomości z Księstwa, gdzie, jak Przyborowski zaręczał, powstanie miało być w pełnym rozwoju — oburzenie przeciw winowajcy było powszechne — bo każdy widział jasno, jaką klęskę byłby sprowadził szatański pomysł Przyborowskiego, gdyby mu się było udało popchnąć samo Księstwo do przedwczesnego **wybuchu**.

Najbliższém następstwem tej sromotnej roboty owego szaleńca-zbrodniarza było połączenie się obydwóch odłamów sprzysiężenia. Wypadek ten byłby mógł wyjść na korzyść sprawy narodowej, gdyby z obydwóch stron była szczerą chęć wspólnej i rozważnej pracy przygotowawczej, do której ukończenia dużo jeszcze **potrzeba było czasu i wysiłku**. Ale kiedy jedna strona przystępowała do pojednania z dobrą wiarą i ze zaufaniem, że i druga strona pragnie odtąd postępować na drodze powolniejszej, chęć **możliwej pracy, jaką centralizacja** wytknęła była sprzysiężeniu narodowemu, i że odtąd przyczyniać się będzie do utrzymania wspólnymi siłami porządku i karności w łonie samego związku, — to druga strona myślała właśnie głównie o **zdobyciu dla siebie władzy naczelną** w zamiarze popełnienia całego sprzysiężenia do przyspieszenia ruchu.

Z takim tedy usposobieniem **umysłów** przystąpiono do wyboru nowego **Komitetu**, który miał ogólnie sprowadzić zaufanie i położyć koniec **samowoli pojedynczych odłamów**,

nawet pojedynczych członków sprzysiężenia. Przy tej sposobności Słupecki, czy w udaném, czy w prawdziwém uniesieniu zawołał, że tak dawno trzeba było zrobić, a byłoby się uniknęło wewnętrznych rozterek i nieporządków.

Ale wybory nie załowloniły rokoszanów. Umiarkowani postawili ze swojej strony Wolniewicza i Sadowskiego, przeciwnicy głosowali za Słupeckim i Mikorskim Józefem; ci czterej wytrani mieli wspólnie wybrać piątego i pierwsi zaproponowali Karola Libelta, którego drudzy przyjąć byli zmuszeni, bo ani pomiędzy sobą, ani w całym Księstwie nie byli w stanie znaleźć równie zdolnego i poważnego patryjoty, któregooby mu przeciwstawić mogli.

Znalazszy się w mniejszości w nowo wybranym Komitecie, nie myśleli o pomaganiu kolegom w przywróceniu ładu i karności w sprzysiężeniu, ale przeciwnie, usunęli się od wspólnego działania z większością Komitetu i wszelkie starania zwrócili ku jego rozbiciu. Słupecki, Mikorski, Adolf Malczewski i Kosiński głównie byli czynnymi w tej sprawie. Porozysłałi listy do Krakowa i Galicji do tamtejszych członków sprzysiężenia z oskarżeniami na bezczynność Komitetu poznańskiego, wzywając do wspólnej narady i pomocy do ustanowienia nowej władzy.

W drugiej połowie 1845go r. przybyli do Poznania Gorzkowski z Krakowa i Wiesiołowski z Galicji. Narady trwały dni parę, a tymczasem aresztowania pojedynczych osób z obozu nie ustawały, bo policyja zdołała wynaleźć szpiegów, między innymi niejakiego Ludwika Borcharda, który śledził głównie klasę rzemieślniczą i donosił policji o pojedynczych osobach, wskutek czego aresztowania zdennuncjowanych przez Borcharda od czasu do czasu następowały. Nareszcie aresztowano Stefańskiego.

To zrobiło silne wrażenie na członkach sprzysiężenia. Stefański znał dużo ludzi należących do głównego związku, wiedział o toczących się robotach sprzysiężenia, pozawiezywał liczne stosunki po miastach w Księstwie i Prusach Zachodnich, a charakterowi i zdolnościom jego nie zawierzono do tyła, iżby można być pewnym, że pod śledztwem o nikim i o niczym nie zdradzi się jakim niepotrzebnym słowem.

W tym właśnie czasie odbywały się z Komitetem poznańskim narady zwolanych na zebranie przez rokoszan wysłanników z Galicyji, Krakowa i Kongresówki, a szczęście wielkie, że się policyja do nich nie przypytała, w parę dni przed tém Stefańskiego uwięziono i policyja poznańska była w wielkim ruchu, a ci panowie poprzednio mieli byli z nim narady. W tym téż czasie i mnie powołał Libelt do Poznania. Nie wiedząc o nowych intrygach Słupeckiego i spółki, przekonany byłem, że mnie znowu jaka podróż do Królestwa czeka. Tymczasem inna mnie spotkała niespodzianka, i to gorsza nierównie niż ta, której się spodziewałem.

Libelt mi oświadczył, iż dawny Komitet nie może już dłużej pozostać na stanowisku swoim i że wszyscy się zgodzili, aby mnie na jego miejsce wybrano. Ze mogą sobie przybrać do pomocy czy z członków dawnego Komitetu, czy ludzi nowych, i że odtąd wszystkie Komitety innych dzielnic kraju stósować się mają do moich rozporządzeń. Ze wszystkich części Polski nalegają o przyspieszenie wybuchu, dziedzice z Galicyji są tego przekonania, że tylko powstanie i nadanie równocześnie własności chłopom może ich uratować od niechybnéj rzezi, którą rząd na wielką skalę przygotowuje. *) Chodzi więc o to, czy w przeciągu 3ch mie-

*) To samo słyzałem z ust Wiesiołowskiego, wysłanica z Galicyji, a kiedy mu zwróciłem uwagę, że właśnie szlachta ma być przeciwną uwłaszczeniu, odpowiedział, że tak jest rzeczywiście, że znaczna większość szlachty miejscowej ani sobie wspomnieć nie pozwoli o żadnych reformach społecznych i trwa niezachwianie w swoich przesądach średniowiecznych: w swojej zaślepionej ufności do rządu, który nie dopuści żadnych wybryków chłopskich na szkodę dziedziców; — ale że złowrogie zamiary rządu nie są już tajemnicą dla ludzi jaśniejszych poglądów, i że tamtych mimo ich woli od śmierci ratować trzeba, a jedynym środkiem ratunku jest powstanie wraz z usamowolnieniem i uwłaszczeniem chłopów, bo gdy rząd wystąpi przeciw powstaniu, lud będzie widział, że nie ze strony szlachty, ale ze strony rządu podstęp i zdrada. Jeżeli zaś powstanie nie nastąpi najpóźniej z początkiem przyszłego roku, rzeź w Galicyji pewna

sięcy będzie można powstanie urządzić. W obec tych groźnych okoliczności nie pozostawało nic innego do wyboru, jak przyspieszenie wybuchu. W Poznańskim przy dłuższem wyczekiwaniu sprzysiężenie całe mogło być wychwytanem przez policyjną, w Galicyji można było spodziewać się na pewno rzeczy, jedyną więc nadzieją uchronienia się od klęsk spodziewanych i przewidzianych spoczywała w przyspieszeniu powstania.

Ale czy wybuch powstania zdoła uprzędzić knowania rządów zaborczych przeciw Polakom wymierzone? Czy powstaniu uda się przeciągnąć na swoją stronę lud w Poznańskim i w Galicyji, czy wreszcie przyspieszony wybuch będzie w stanie wyprowadzić poważne siły do boju? — To były pytania, które nas mocno niepokoiły, a których rozwiązanie trzeba było pozostawić przyszłości. Ale w ówczesnem położeniu trzeba było stanowczo powziąć postanowienie i ująć silną ręką kierownictwo sprzysiężenia, niezmiernie rozprężonego w łonie swoim.

Ja nie czulem w sobie potrzebnych zdolności ku temu a głównie powodowała mną obawa, czy ogół będzie miał zaufanie do człowieka nowego, który ani w związku, ani w życiu obywatelskiem nie odznaczył się żadnym wybitniejszym czynem, któryby go zalecał na tak wysokie i trudne stanowisko. Ale Libelt stanowczo oświadczył, że powinienem przyjąć wybór, choćbym się uważał za żołnierza wykomenderowanego na straconą forpocztę; że zresztą nie ma czasu już zmieniać rzeczy omówionj i przyjętj na naradzic z innymi wysłańcami związków prowincjonalnych. Trudno było nie uznać przedstawień i uwag zacnego Libelta. Musiałem się poddać konieczności i przyjąłem ofiarowane stanowisko pod warunkiem, że nie bez porozumienia się wpięrw z nim nie **przedsięwzię** i że on nie odmówi mi **swójj** światłj rady, a ja będę tylko wiernym jój **wykonawcą**.

Libelt przyobiecał mi to uroczyście, ale **stosunek ten** miał pozostać tajemnicą, bo chciałem zasłonić go przed **gadulliwością** sprzysiężonych i całą odpowiedzialność przyjąć **na siebie**. **A co do urządzenia się nowj władzy, przybrania osób do pomocy i najglówniejszych rozporządzeń na**

Pierwsze chwile, chciałem się wpięć namyśleć i nazajutrz z rana przyrzekłem odwiedzić go o godzinie 10-tój i stanowczo omówić z nim cały plan przyszłego działania i szczegółowych postanowień, jakich sprawa całego sprzysiężenia i wewnętrzne jego stosunki w Księstwie samém wymagały.

Na odbytej naradzie nazajutrz postanowiliśmy:

1. Że przybiorę do pomocy na sekretarza Kosińskiego, a czeladnika młynarskiego Esmana zawezwę do rady, bo on mając po uwieżeniu Stefańskiego największe zachowanie pomiędzy mieszczaństwem i rzemieślnikami w mieście i na prowincyi, może się przyczynić do zjednania tej klasy dla władzy naczelnój sprzysiężenia i do ujęcia jęj w karby posłuszeństwa i pewnego porządku, na czém luźnej przez Stefańskiego zaprowadzonej organizacyji całkiem zbywało.

Plan przezemnie podany nie był bardzo po myśli Libelta :

— Wichrzyciele, mówił, łatwo mogą w Esmanie rozbudzić nieufność przeciw Tobie i wyzyskać ją dla sprowadzenia nowych zwikłań i obalenia raz jeszcze naczelnój władzy.

Nie wierzył również w szczere współdziałanie Kosińskiego z powodu jego nieustającej opozycyi przeciw wszystkim dawniejszym władzom. Ja znouu byłem przekonany, że szczerem i otwartem postępowaniem zdołam zapewnić sobie sumienne współdziałanie obojgich. Jakoż Kosiński od owego czasu najsumienniej zajmował się swoim urzędem sekretarza, zerwawszy wszelkie stosunki z dawnymi towarzyszami swojimi: Słupeckim, Mikorskim i Malczewskim, których postanowiłem pozostawić całkiem na uboczu. Liczyłem bowiem na to, że skoro mi się uda przygarnąć żywiół miejski, intrygami nie będą mogli wichrzyć swobodnie w tej warstwie społeczności naszój, a wpływ ich na dzieciów i inteligencyją od czasu owego sławnego polowania w r. 1844-tym upadł i nie ma obawy, aby go odzyskać mogli. Co zaś do Esmana, Libelt miał po części słuszność, jak się później pokazało, bo tylko szczęśliwy przypadek zdarzył, że intryganci nie zdołali zwalić nowój władzy.

2. Następną naglącą kwestyją było natychmiastowe

powiadomienie Litwy, Kongresówki i Krakowa o uchwale zapadłej przyspieszenia wybuchu powstania, przyczem trzeba było przesłać instrukcje dotyczące przygotowania ludzi i przyborów wojennych, a wreszcie donieść o ustanowieniu nowej władzy sprzysiężenia, wybranej w porozumieniu z innymi naczelnikami związków prowincjonalnych.

Trzecią czynnością równie potrzebną było zaćśuczynienie wymaganiom dość licznych wychodźców z Królestwa, którzy w znacznej części bez dostatecznych powodów opuścili Kongresówkę, a teraz dopominali się u dawniejszego Komitetu o powierzenie im misyi napowrót do Kongresówki, gdzie, jak utrzymywali, pozostawić mieli obszerne stosunki i pragnęli je zużytkować na korzyść sprawy publicznej. Komitet przeszy nie zając tych ludzi i nie posiadając najmniejszych wskazówek o nich z Kongresówki, nie śmiał dawać im poleceń żadnych, aby przypadkiem nie narazić patrijotów w Królestwie na nieszczęście. Wskutek tego powstały skargi i narzekania na bezczyuność Komitetu, który w tak naglącej potrzebie nie chce zużytkować poświęcenia ofiarujących mu się patrijotów z gotowością służeńiasprawie ojczystej.

Ta gorliwość nie budziła we mnie wielkiego zaufania, bo nie mógłem zrozumieć, dla czego ci panowie opuścili kraj, kiedy dzisiaj dopominają się, aby im ułatwić powrót do niego? A jakim sposobem mogliby dzisiaj rozpocząć działanie swoje w kraju wobec nierównie groźniejszych okoliczności niż wówczas, kiedy się chronili za granicę?

Przedstawiłem zatém Libeltowi, że podług mojego zdania, chcąc położyć koniec czczym deklamacyjom tych panów, należy oświadczyć, że kto się zgłosi z chęcią, powrotu do kraju, będzie miał paszport i pieniądze na drogę. Libelt był z początku bardzo przeciwnym takiemu postanowieniu, które mogło bardzo wielu obywateli narazić na przesładowanie rządu. Na to mu odpowiedziałem, że ani adresów do osób nam znajomych ci panowie nie odbiorą, bo sami przecież przechwalają się obszernymi stosunkami swojimi w kraju; ani poleceń dawać im nie można, bo te mogą dopiero na miejscu otrzymać od swoich znajomych i przyja-

ciół. My więc tylko ułatwimy im powrót do kraju, do którego i bez naszej pomocy wrócić mogą skoro zechcą. Dał się wreszcie przekonać Libelt i wystarał się o kilkanaście paszportów i o pieniądze.

Ale zgłosiło się, jeżeli mnie pamięć nie myli, ze wszystkiem trzech ochotników, a z tych dwóch zawróciło z podróży i tylko jeden udał się w głąb kraju i nieszczęśliwie popadł w ręce policyji na jednej ze stacyji kolejowych. Tam wyrwawszy się z rąk oprawców, rzucił się pod koła nadchodzącego pociągu i zakończył życie. Od téj pory wszystko ncichę i nikt nie skarżył się na bezczynność Komitetu, nikt się nie zgłosił o misyją do Królestwa.

Po ułożeniu i wygotowaniu instrukcyi dla innych dzielnic kraju, co kilka dni czasu zabrało, bo wszystko trzeba było atramentem sympatycznym przepisywać, wysłano Ruprechta do Warszawy, Röhra na Litwę i do Krakowa; do Gorzkowskiego zabrał list z doniesieniem o ustanowionéj nowéj władzy, albo Kozerski wracający tam dotąd, albo Wiesiołowski w powrocie do Galicyji. Ten ostatni odebrał polecenie, aby akademikowi Antoniewiczowi, a w razie gdyby go nie zastał, akademikowi Gurnemu w Wrocławiu zostawił wygotowane dla nich instrukcyje.

Zalutwiwszy co najgwałtowniejsze na razie sprawy sprzysiężenia, trzeba było nareszcie zakończyć rzecz z owym osławionym Przyborowskim, o którym wyżej była mowa. Człowiek ten niegodny pod osłoną iście macierzyńską swoich opiekunek, przebywał spokojnie w Poznaniu, jak gdyby żadne przestępstwo, żadna odpowiedzialność za tyle niewinnych, za jego przyczyną prześladowanych ońar w Królestwie nie ciążyła na jego sumnieniu. Nie dość na tém: wieczorami przebywał nieledwie codzień w restauracyji Korzeniowskiego, gdzie zawiązał romans ze służącą gospodarka i téj opowiadał ze wszystkiemi szczegółami kogo znał w Księstwie, u kogo przebywał w Kongresówce, jakie miał stosunki ze sprzysiężeniem narodowém (do którego nie należał) i jaką ważną jest osobistością w kraju itp., obiecując dziewczynie, że się z nią ożeni, jak tylko chwilowe przeminą niespokojności. Dziewczyna, której pochlebiało, że tak

znakomity człowiek będzie niezadługo jej mężem, opowiadała wszystko znajomym paonom, którzy się u Korzeniowskiego stołowali. Tym sposobem cały prawie Pozań wiedział o pobycie Przyborowskiego w mieście, o jego miłostkach z ową dziewczyną, jak również o wszystkich szczegółach, z którymi jęj się zwierzał.

Nowa ta niegodziwość ze strony Przyborowskiego kazała się obawiać najsmutniejszych następstw, gdyby tak rozgłosna wiadomość o jego pobycie w mieście, była doszła do uszu policyji, a wówczas aresztowanie i wydanie go władzom moskiewskim nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Człowiek ten znając wiele nazwisk mógł być na nowo dużo ludzi wydać na pastwę Moskalom, gdyby go przypadkiem pochwycono i oddano w ręce władz moskiewskich.

Pomimo jednak wszelkich napomnień ze strony dawniejszego Komitetu, Przyborowski nie chciał opuścić Poznania, aż mu wkońcu oświadczone, że listy gończe za nim wysłane i jeżeli nie zechce natychmiast opuścić dobrowolnie miasta i Księstwa, władza postanowiła użyć przeciw niemu choćby najwzwałowiejszych środków przymusu. Wyjechał więc nareszcie i udał się do Głęśna do Konstantego Bnińskiego, u którego zamierzył założyć sobie na długi czas kwatery głową.

Ale na wsi nie może się na dłuższy czas ostać pobyt obcego człowieka. To téż wiadomość o nim przeszła do wsi i kowal, Niemiec, pobiegł do blisko położonego miasta powiatowego Wyrzyska i doniósł landratowi, że u Pana w Głęśnie bawi od dni kilku jakiś nieznajomy, który się z nikim nie widuje i musi być mocno podejrzany, kiedy się taką tajemnicą otacza. Ówczesny landrat powiatu wyrzyskiego nazwiskiem Radow należał do najzaciętszych wrogów Polaki i Polaków, umyślił więc natychmiast zrobić obławę na schwytanie owego podejrzanego i wezwał do pomocy komisarza obwodowego i zandarnów. Szczęściem, że ostrzeżony na kilka chwil przed zjawieniem się tego najazdu Bniński kazał uprzętnąć rzeczy Przyborowskiego z pokoju, a samego wyprawił na podlasze, znajdujące się nad owym pokojem.

Pan landrat odbył rewizyją z całą skrupulatnością policyjanta-szpiega i z całą brutalnością pruskiego urzędnika, któremu się nadarzyła sposobność okazania przewagi swojej urzędniczej obywatelowi polskiemu. Po zrewidowaniu pokoju, w którym Przyborowski miał kwatere i przytykających do niej poddasznych komór, zażądał drabki do przejścia poddasza samego. Przez ten czas Przyborowski mógł się spuścić po ścianie do jednej ze zrewidowanych wązkim otworem, który się znajdował pod dachem i tym sposobem uniknął niebezpieczeństwa. Landrat omylony w nadziei schwytania jakiegoś podejrzanego, politycznego przestępcy, a tém samém pozbawiony możności szkodenia Bnińskiemu, opuścił Gleśno w bardzo kwaśnym humorze. Bniński, znając zawziętość landrata, nie był pewnym, czy tenże nie powtórzy odwiedzin swoich — wolał więc tego samego wieczora jeszcze wysłać Przyborowskiego do Sypniewa, wsi o 2 mile oddalonej od Gleśna, do Nagla, Nacza, ale bardzo uczciwego człowieka — z prośbą, aby przesłanego wyprawil co najprędzej za granicę powiatu, aby go usunąć z pod władzy landrata wyrzyskiego. To ostrzeżenie nie było zbyt cennym, bo p. landrat niewiadomo czy wskutek nowego donosu, czy wieząc o zażyłości Bnińskiego z Naglem, zjechał niedługo potem do Sypniewa i tam również ścisłą odbył rewizyją, ale z nielepym skutkiem jak w Gleśnie. Przyborowski już był w innej prowincyi, ale usadowiwszy się znowu u obywatela Józefa Wolszlegra w Szenfeldzie pod Chojnicami, nie myślał o wyjeździe za granicę.

Uszedszy szczęśliwym przypadkiem z zarządzonej na niego obławy w Gleśnie, sądził, że mu już żadne nie zagraża niebezpieczeństwo i postanowił w Szenfeldzie w domu Józefa Wolszlegra założyć stałą dla siebie kwatere. Tymczasem pomimo gościnności gospodarza, który był przekonany, że pełnemu patrijotyzmu i poświęcenia człowiekowi daje u siebie schronienie, dłuższy pobyt Przyborowskiego w tej miejscowości wcale nie był bezpiecznym z powodu blizkiego sąsiedztwa miasta powiatowego Chojnic.

Skorośmy się dowiedzieli o wszystkim co zaszło w Gleśnie i Sypniewie, a mianowicie o ostatniem postanowie-

niu Przyborowskiego, które musiało ostatecznie pociągnąć za sobą schwytanie go przez policję pruską, — postanowiono wystąpić nareszcie z całą stanowczością przeciw niemu. Wysłałem więc obywatela Riusa Arnolda, wiarusa z roku 1831go z otwartym rozkazem władzy naczelnej związkowej, aby Przyborowski natychmiast wyjechał za granicę kraju, bo w przeciwnym razie będzie oddany pod sąd doraźny rewolucyjny i wyrok będzie na nim bez miłosierdzia wykonany.

Wolszlegier wzbraniał się z początku pozwolić na widzenie się wysłańca naszego z gościem swoim, aż Arnold musiał mu opowiedzieć rzecz całą o nim i przedstawić mu ogromną odpowiedzialność, jakaby na nim ciążyła, gdyby człowiek, którego przechowuje, popadł w ręce policji i stał się przyczyną nowych aresztowań w Królestwie. Wtedy dopiero Wolszlegier uległ naleganiom Arnolda, który odczytał Przyborowskiemu rozkaz Komitetu. To poskutkowało nareszcie i Przyborowski przyparty do muru, wyjechał za granicę.

Wiadomość o wyjeździe jego zdjęła nam ogromny ciężar z głowy, bo już nie potrzeba było co chwila obawiać się o jego aresztowanie. Zajęliśmy się zatem głównie uzupełnieniem organizacyji w osieroconym obozie Stefańskiego. Tam najwięcej miał do czynienia Esman, jako więcej wtajemniczony w te roboty. Upłynęło jednak parę tygodni, zanim zdołał pozbierać wykazy osób wciągniętych przez Stefańskiego do związku. Okazało się jednak, że materyjały jakich zdołał dostarczyć, były bardzo niedostateczne, bo to co Stefański opowiadał o dziesiątnikach i setnikach, na których opierać się miała zaprowadzona niby przez niego pomiędzy klasą rzemieślniczą organizacyja, nie istniała w rzeczywistości. Często dziesiątki nie wiedziały, kto był ich dziesiątnikiem, a ci nie wiedzieli znowu kto był ich setnikiem.

Nieład więc w całym znaczeniu tego wyrazu panował w tym obozie, a zaprowadzenie porządku było bardzo utrudnionem z powodu cząstkowych wprawdzie, ale nieustających aresztowań przez policję zarządzanych, bo nie można było

przewidzieć, czy ten, którego się dzisiaj postanowi dziesiątnikiem, nie będzie nazajutrz uwięzionym. A do tego trzeba dodać, że system szpiegostwa na wielką skalę przez władze zarządzony, szerzył nieufność pomiędzy członkami i zdawał niebezpieczeństwo.

Oprócz tego niektóre grupy nie chciały dać żadnej wiadomości o swojej organizacyji i nie miały ochoty poddać się pod rozkazy władzy naczelnéj, której członków nie znały. Zwolna więc tylko i z największym mozołem ulawalo się pozyskiwać te pojedyncze kółka dla rozporządzeń władzy naczelnéj sprzysiężenia.

Łatwiej szło z obywatelstwem mniejszych miast, które Stefański i ślósarz Lipiński wciągnęli byli do swojego związku, a które teraz poruczono członkom związku centralnego. Ale jakkolwiek patryjotyczne mieszczaństwo na prowincyji okazywało gotowość do wykonywania rozporządzeń władzy naczelnéj sprzysiężenia, były to siły liczebnie za słabe, mianowicie w miejscowościach, w których oddziały pruskie załogowały i z kąd w chwili powstania przeszkadzać mogły gromadzeniu się ludzi i wymarszowi w głąb Królestwa Kongresowego.

Polecono więc członkom sprzysiężenia do tego wyznaczonym, pilnie się rozpatrzeć, jakim sposobem możnaby najłatwiej rozbroić załogi pruskie i jakich sił potrzeba będzie przydać miejscowym dla zapewnienia powstaniu na takich punktach koniecznie potrzebnej przewagi, iżby zamierzone rozbrojenie załog pruskich szczęśliwie udać się mogło. Było to potrzebném dla ułatwienia ostatecznych rozporządzeń władzy wojskowej. Równocześnie zaś z powyższemi przygotowaniem zawezwano centralizacyją, aby wyprawiła Mierosławskiego do kraju, bo on był rzeczywiście wybranym do ułożenia i wykonania planu powstańczego w całej Polsce. Na miejscu zaś wezwano wszystkich komisarzy powiatowych, aby zalecili dziedzicom w swoich powiatach przygotowywania ludzi, koni, broni i amunicyji potrzebaych do uzbrojenia ludzi gotowych do powstania.

Wśród tych codziennych zajęć i kłopotów jakich uzupełnienie organizacyji i ostatecznych przygotowań do wybu-

chu powstania co chwila przymnażały, wśród niepokojów, jakie rodziła niepewność, czy powstanie się uda i czy w walce, którą z przemozną Moskwą, a może nawet z wszystkimi trzema wroczami Polski prowadzić będzie trzeba — siły narodowe będą w stanie podjąć tak olbrzymiemu zadaniu — doznałem porciechy, której miłe wspomnienie do grobu towarzyszyć mi będzie.

W tych ciężkich chwilach przybył do mnie do Poznania *Ocio* letni starzec Kaszynek, były profesor gimnazjum poznańskiego, a w ostatnich czasach mieszkający przy paraliżu swojej w Orzeszkowie jako ksiądz kalwiński. Był to prawdziwy Nestor patrijotów wielkopolskich, powszechnie szanowany nie tylko dla głębokiej nauki, jaką posiadał, ale i dla gorącej miłości ojczyzny, której całe życie swoje wier- nie był oddany. Do niego to w chwilach krytycznych u- dawał się nawet zmarły przed niedawnym czasem arcybiskup Dumin poświatłą radę i pomoc, które mu przywróciły **nadwe- rżoną** w początkach młodość publiczną.

Zacny ten człowiek przybył do mnie w towarzystwie najstarszego syna swojego, który już od dawna był przyję- tym do związku i zaczął mi gorzkie czynić wyrzuty.

— Dowiedziałem się od mojego syna, **powiada**, że je- steś na czele istniejącego od dawna związku i **jakże** mogłeś mnie, najszczerszemu przyjacielowi twojemu wyrządzić taką krzywdę i poniżyć **mnie** w tak ważnej sprawie i czy pu- ścili mu się z oczu.

Sam **rozrzewniony do gruntu**, odrzekłem:

— Czcigodny profesorze! są **ludzie**, którzy **należą** do **świętości narodowych**, których **zasłaniać** piersiami własnymi **jest obowiązkiem** każdego **prawego Polaka**, ale ich nie wol- no **narażać** na niebezpieczeństwo nieoddzielne od podobnych **przedsięwzięć**.

— Ale ja chcę z wami **dzielić** **wszystkie** **niebezpie- czeństwa** i myślę, że mnie od tego **zaszczytu** **odsądzić** nie możecie.

Widząc, że dłuższym oporem zraniłbym w **najświęt- szych uczuciach** to szlachetne serce zwróciłem się do jego **syna** i rzekłem:

— Żądanie szanownego ojca pańskiego jest dla mnie rozkazem, przyjmijmy go obydwaj do związku, ale to ma pozostać tajemnicą, o której tylko Bóg i my dwaj wiedzieć będziemy. Przysięż mi pan, iż gdybym zdradził ojca pańskiego, strzelisz mi w łeb bez żadnego miłosierdzia — ale i ja przysięgam, żebym pana nie oszczędził, gdybyś nie dochował żądanej tajemnicy.

Poczem odebrałem od staruszka przepisana rotę przysięgi. Nie podobna opisać radości jego, ścisnął mnie, całował, płakał i śmiał się na przemiany; przekonany jestem, że najobojętniejszy człowiek byłby się na ten widok rozczulił i nawrócił, bo byłby uczuł, jak trzeba kochać miłą Ojczyznę swoją.

Czcigodny cieniu! przyjmij te kilka słów ze szczerego serca płynących jako hołd należny obywatelskim cnotom Twojim. Naród biedny przywalony ciężarem troistego ucisku, nie jest w stanie okazać Ci wdzięczności swojej, ale pamięć Twojego cichego a tyle użytecznego Ojczyźnie żywota nie wygaśnie w sercach przyjaciół Twoich.

„Bo na to nie zezwolił syn pięknej Latony,

By popiół kości Twojich był kiedyś wzgardzony.“

Około tego czasu nadeszła odpowiedź z Krakowa, na zawiadomienie tamtejszego Komitetu o ustanowieniu nowej władzy centralnej w Poznaniu.

Odpowiedź ta była nacechowana widoczną niechęcią i uprzedzeniami, które temu mocniej zadziwiać i oburzać musiały, że w niej przebijała nie tylko pretensja osobista, ale nadto nieprzewidziane, a tak nagle odszkodzenie Gorzkowskiego, od poprzednio złożonego z jego strony oświadczenia w Poznaniu, że się godzi na uchwałę jaka zapadła na zgromadzeniu, na którym dawny Komitet się rozwiązał, a na jego miejscu nowa władza miała być wybrana.

Wiadomo, że zebranie **owo było dziełem wyżej wymienionych wicherzycieli poznańskich**, niezadowolonych z wyboru ówczesnego Komitetu, w którym **byli** w mniejszości i który udało im się zwać; — że **Gorzkowski** zmuszony wrócić do Krakowa dla jakichś miejscowych interesów jego obecności wymagających, nie mógł **odezwać w Poznaniu**

ostatecznego wyniku obrad, — złożył deklaracją, że się godzi na to co zebranie postanowi. W piśmie zaś swoim podnosi teraz zarzut, że nowo wybrana władza w Poznaniu nieprawnie sobie przywłaszcza naczelné kierownictwo w sprzysiężeniu narodowém, bo władza naczelná prawem starzeństwa przysługuje jedynie Komitetowi krakowskiemu, bo jest dawniejszym od poznańskiego itp. Widać tu było wyraźnie złą wiarę Gorzkowskiego, bo wiedział, jakie Komitet ustępujący posiadał atrybucyje, gdyż o tém centralizacyja wszystkie władze prowincjonalne w swoim czasie była zawiadomiła. Ale bądź jak bądź, trzeba było dać odpowiedz na pismo wspomniane, a czas był tak krótki, że nawet nie mogłem zobaczyć się i porozumieć z Libeltem. Kosińskiego nie było także naówczas w Poznaniu, a z Esmanem był tylko jeden dzień w tygodniu umówiony. Musiałem więc sam zabrać się do odczynienia depeszy sympatycznym atramentem napisanej i odpowiedz również atramentem sympatycznym napisać, a na to miałem tylko dwie godziny czasu, bo wysłaniec tego samego wieczora wracał do Krakowa.

W krótkich więc słowach skreśliwszy przebieg sprawy saméj, wykazałem, że o przywłaszczeniu władzy naczelnéj nie mogło być mowy, bo tę władzę ustępujący Komitet już dawno posiadał i ona przeszła na nowy za wspólną zgodą reprezentantów Galicyji i Polski Kongresowój; a wystawivszy niestósowność wszczynania sporów z władzą naczelną w tak trudném jak nasze położeniu, oświadczyłem, że Komitetowi poznańskiemu nie chodzi o władzę, ale przede wszystkim o dobro publiczne i że dla tego gotów jest podać się bezwarunkowo pod rozporządzenie Komitetu krakowskiego, skoro inne prowincyje zgodzą się na powierzenie mu naczelnéj władzy w sprzysiężeniu.

Nazajutrz opowiedziałem rzecz całą Libeltowi, który jednakże i onego był zdania i obawiał się zawikłań w łonie samego sprzysiężenia, jeżeli Gorzkowski rozzuchwalony uznaniem niejako pretensyj swoich z naszej strony, zecne się już uważać za naczelnika całego związku narodowego. Odpowiedziałem na to, że kategoryczna odmowa z naszej strony nie powstrzymałaby Gorzkowskiego od dalszych wicherzeń

i intryg; a gdyby inne Komitety oświadczyły się za nim, nasza opozycja i takby się na nic nie przydała. Jestem jednakże przekonany, że Gorzkowski grubo się omyli w nadziejach swoich i że nie znajdzie poparcia w innych prowincjach, skoro ich reprezentanci na zebraniu poznańskim nie myśleli go powołać na kierownika naczelnego spraw przysiężenia. Deklaracyja zaś nasza będzie miała to za sobą, iż wykaże, że nam nie chodzi o utrzymanie się przy władzy, ale jedynie o dobro publiczne. Zresztą niezadługo przybędzie Mierosławski i inne ważniejsze sprawy będą na porządku dziennym, jak liche spieranie się o naczelnictwo, a gdy nastąpi wybór członków mających zasiadać w rządzie narodowym, będą musiały zamilknąć wszelkie niedojrzałe zachcianki i pokątne intrygi wicherzycieli.

Wszystkie te uwagi moje były wprawdzie na przypuszczeniach oparte, ale miały wszelkie prawdopodobieństwo za sobą; to też Libelt uspokoił się wkońcu. Tak samo przekonałem Esmana, że to była jedyna droga wyjścia z trudnego położenia naszego.

Tak przebyliśmy parę tygodni w spokoju, aż do przybycia Mierosławskiego, to jest do ostatnich dni Grudnia r. 1845go. Mierosławski znalazł już przygotowaną dla siebie kwatery w mieszkaniu dyrektora Ziemstwa Kredytowego, Jarochowskiego w gmachu Ziemstwa. Był to dom należący do najpatryjotyczniejszych rodzin w Księstwie. Sama pani, wysoko ukształcona i pełna poświęcenia dla sprawy ojezystej matrona, była jedną z najzacniejszych Polek wielkopolskich. Można sobie wystawić, z jaką troskliwością podejmowano Mierosławskiego w tym domu. A był to czas wielkiego już niebezpieczeństwa w Poznaniu.

Władze pruskie były już bez najmniejszej wątpliwości powiadomione o istnieniu przysiężenia, bo policyja coraz większe obostrzenia zaprowadzała, a mianowicie co do osób przyjeżdżających do miasta. Wszyscy gospodarze hotelów odebrali rozkaz meldowania natychmiast policyji każdego, który zajedzie do ich hotelu; aresztowania zaś pojedynczych osób, należących do klasy rzemieślniczej nie ustawały, a nie tylko miejsca publiczne, ale nawet i kamienice zamieszkałe

przez podejrzanych Polaków zostawały pod czujnym okiem szpiegów przez policję nasadzonych.

A chociaż w domach, gdzie sami państwo są patryjotami, zwykle i służba podziela ich uczucie dla kraju, czci-godna pani Jarochowska sama jednak przynosiła jedzenie Mierosławskiemu, o którego schronieniu miała tylko liczba osób zaufanym wiedziela.

Mierosławski przez dzień siedział w swojej kryjówce i pracował nad instrukcjami dla oficerów, przeznaczonych na dowództwo różnych oddziałów, a wieczorami przechodził na narady ze związkowymi miasta i prowincyi, z którymi chciał się porozumieć. Bywali więc wzywani i to tylko w małej liczbie, a y nie zwrócić uwagi policyi.

Zebrań te odbywały się w mieszkaniu Tadeusza Leciejewskiego, mojego kolegi szkolnego, człowieka spokojnego, cichego, ale całą uwagę oddanego sprawie ojczystej. Na tych zebraniach ja musiałem prawie zawsze być obecnym, już to dla dostarczenia Mierosławskiemu objaśnień, których potrzebował, już dla zapoznania go z niektórymi związkowymi, którymi osobiście nie znał. Trwało to przez dni kilka, dopóki Mierosławski nie wyjechał do Krakowa.

Na dni jednakże parę przed jego wyjazdem miałem z nim tajemną w cztery oczy rozmowę, w której mu zwróciłem uwagę, że plan zaskoczenia fortecy poznańskiej jest niemożliwym z powodu, że władze wojskowe sądząc z rozmaitych w ostatnim czasie zarządzonych ostrożności, muszą mieć wiadomość o tém, a mianowicie, że wyszedł rozkaz zauykania bram miasta o godzinie pół do dziewiątej wieczorem i niewpuszczania nikogo, ktoby po téj godzinie chciał wjechać do miasta, a tak samo niewypuszczania nikogo z miasta.

Ze z 22 dział, które stały na Placu Działowym, odprowadzono 20 na fortecę, a tylko dwa z nich zostawiono dla nauki rekrutów.

Ze począwszy z wieczora, patrole krążą przez noc całą naokoło cytadeli.

Ze w każdym korytarzu stoi przy oknie żołnierz, dający baczenie na bramę do wnętrza wiodącą z poleceniem

alarmowania załogi za spostrzeżeniem niezwyčajnego ruchu w tój stronie.

Że alarmowanie załogi odbywa się i we dnie i w nocy.

Że główny odwach w mieście, w rynku wzmocniono o 60 ludzi, których wieczorem w cichości zaciągają na całą noc na wartę, a ostre ładunki znajdują się w izbie oficerskiej.

Że wkońcu w mieście policja nakazała wszystkim oberżystom, aby każdego choćby w nocy przybyłego natychmiast po przybyciu meldowali do bióra prezesa policji.

Wszystkie te rozporządzenia nie pozwalały wątpić, iż nie tylko policja ma pewne już wiadomości o istnieniu sprzysiężenia w Księztwie, ale że i władzy wojskowej nie tajnym być musi zamiar nasz zaskoczenia fortecy.

O tych ważnych a całkiem uniemożliwiających rozporządzeniach władz wojskowych, już z natury swojej bardzo trudne przedsięwzięcie, — musiałem koniecznie zawczasu uwiadomić Mierosławskiego, tém więcej, że część planu działania w Księztwie opierał on głównie na opanowaniu cytadeli poznańskiej. A chociaż uwagi nasze w rzeczach wojskowych zwykł był okrywać ironiją i lekceważeniem, postanowiłem bądź co bądź z całym naciskiem zwrócić uwagę jego na ten właśnie przedmiot, który stał się ulubioném jego marzeniem i musiał bardzo szkodliwie wpłynąć na los powstania, gdyby chciał upornie przy wykonaniu napadu zamierzonego obstawać.

Powiedziałem mu zatém stanowczo :

1. Że opanowanie twierdzy w dzisiejszych okolicznościach jest niemożliwém, bobyśmy musieli chyba postać połowę załogi na nasze rozporządzenie wewnątrz cytadeli samej, a tego na nieszczęście nie mamy.

2. Że poświęciłbyśmy znaczną część ludzi gotowych do boju na przedsięwzięcie całkiem niewykonalne, a więc poświęcił byśmy je na niechybną śmierć lub więzienie i o tyle ujelibyśmy ich powstaniu samemu na polu bitwy, bez żadnej dla nas korzyści.

3. Że o drugim naborze, który z całą powagą został w planie przez Mierosławskiego ułożonym, myśleć rozsądnie nie można, bo jeśli nam się uda wyprowadzić szczę-

śliwie pierwszy, Prusacy nie zaniedbają rozesłać kolumn ruchomych na kraj cały i nie tylko nie dozwolą żadnych zbiorowisk, ale nadto z pomocą policyji i żandarmów wychytają wszystkich podejrzanych, którzy po wyjściu pierwszego naboru, dla zebrania drugiego w kraju pozostaną. Zresztą z czego wytworzyć ten drugi nabór? — Wszystko co będzie gotowe do boju podąży od razu na punkta zberne, a reszta co pozostanie w domu, to będą ludzie albo obojętni, albo przeciwni powstaniu, a do tych ostatnich zaliczyć trzeba lud od dawna obalamucany przez władze pruskie, że król raczył chłopom nadać własność, a szlachta była temu przeciwną i pragnąc odebrać im ziemię, chciałyby jeszcze i dawne przywrócić poddaństwo.

— Zdaniem mojem, dodałem, byłoby najrozsądniej zgromadzić wszystko co gotowe do powstania od razu i wyprowadzić za granicę na linię bojową, a z tych sił nie pozostawiać nic w kraju do urzeczywistnienia dalszych, więciej jak niepewnych planów.

Przyznać muszę, iż tym razem Mierosławski z wielką uwagą wysłuchał moich przedstawień i po krótkim namyśle odrzekł:

— Słuchaj, to co ci powiem, musi pomiędzy nami oby dwoma pozostać najgłębszą tajemnicą. Jeżeli opanowanie fortecy okaże się istotnie niemożliwem, wówczas zabierzesz wszystko z miasta i okolicy i wyprowadzisz za granicę, a tam między Wartą i Prosną założysz oszańcowany obóz i zbierać będziesz siły z okolicy. Jest to tymczasowa instrukcja, a po powrocie moim z Krakowa, obszerniej jeszcze o tém pomówimy.

Ostatnie zebranie przed wyjazdem Mierosławskiego do Krakowa poświęconem zostało wyborowi z zaboru pruskiego członka, przeznaczonego do zasiadania w rządzie narodowym w Krakowie na zebraniu delegatów ze wszystkich części dawniej Polski wybrać się mającym. Karol Libelt został jednogłośnie obranym i miał się udać do Krakowa na parę dni przed wybuchem, którego ostateczny termin miało postanowić wspólnie z wysłańcami innych prowincyi. Mierosławskiemu wystawiono pełnomocnictwo do reprezen-

towania sprzysiężenia w zaborze pruskim, a nareszcie polecono Libeltowi ułożenie odezwy Rządu Narodowego, którą ja sam przepisałem atramentem sympatycznym i później wyprawiłem do Krakowa; poczem Mierosławski w dniu 8ym Stycznia 1846go r. wyjechał z przydanym mu dla bezpieczeństwa Wład. Kosińskim.

Jak już wyżej wspomniałem, przez cały czas pobytu Mierosławskiego w Poznaniu, musiałem ciągle prawie bywać na zebraniach wieczornych, odbywających się z Mierosławskim i wskutek tego nie mogłem przez cały ten czas widzieć się z Esmanem, z którym również wieczorem tylko mogłem się widywać w Kosińskiego mieszkaniu, od którego klucz miałem. Bałem się znowu wysłać kogo do młyna, bo i sam Esman ostrzegał, że policja bardzo pilne w tę stronę zwraca baczenie. Przewidując jednak, że liczne zatrudnienia mogłyby mi przeszkodzić do widzenia się z nim w dniu oznaczonym, umówiłem się z nim od samego początku, iż na podobny przypadek w następnym dniu posiedzenia powiadomię go o wszystkim co zaszło.

Zdawało mi się, że w taki sposób zabezpieczywszy się na wszelkie nieprzewidziane wypadki, zagroziłem drogę dawniej praktykowanym intrygom w łonie sprzysiężenia. Tymczasem inaczej się stało. Owi trzej niepoprawni wichrzyciele: Słupecki, Malczewski Adolf i Mikorski Józef, dowiedzieli się, niewiadoma czy od Wiesiołowskiego z Galicji, który bawił czas dłuższy w Poznaniu i żadnej sprawy nie umiał zachować w tajemnicy — czy może zdołali jakieś zwierzenie się wyzyskać od samego Esmana, dosyć, że wiedzieli o składzie nowój władzy, a dowiedziawszy się najprawdopodobniej od którego z zawezwanych obywateli należących do związku o obecności Mierosławskiego w Poznaniu i o naradach, jakie się z nim odbywały, a widząc Esmana w mieście niezatrudnionego, zapytali go, co znaczy, że nie jest na zebraniu. Ten oczywiście odpowiedział, że o żadnym zebraniu nie wie. A przecież powiadają, że tu jest Mierosławski i różne narady odbywa z członkami władzy i

spiskowymi z miasta, i z prowincyi. Esman znowu odpowiedział, że o niczém nie wie.

Wtedy wzięli go do siebie i tam wystawili mu, że ja go oszukuję, że taję przed nim rzeczy, do których nie chcę, aby należał i zmusili go, aby napisał zaraz list do Gorzkowskiego z zaskarżeniem mnie o nieuczciwe z nim postępowanie i o podejrzone narady, które bez jego wiedzy z innymi odbywam. Słupecki zaś ze swojej strony wysłał z pismem Esmana list do Krakowa, wzywając Gorzkowskiego, aby copędzj przybywał do Poznania i zaprowadził ład, bo związkowi nie mają zaufania do istniejącej władzy i chcą jej wypowiedzieć posłuszeństwo, że dzień zjazdu naznaczony i aby Gorzkowski koniecznie na ten dzień stawił się do Poznania; swoją drogą rozpisali listy do rozmaitych obywateli w Księstwie, wzywając ich z polecenia władzy na ten sam dzień na naradę w ważnym publicznym interesie.

Mierosławski wyjechał był do Krakowa około 8go Stycznia 1846go r., a nazajutrz, czy na drugi dzień po jego wyjeździe przypadał dzień umówiony na widzenie się z Esmanem. Zeszliśmy się więc o wyznaczonj godzinie i ja wytłomaczyłem mu zaraz na wstępie, że zawezwany przez Mierosławskiego, abym był obecnym na posiedzeniach, które odbywał z niektórymi ważniejszymi spiskowymi z Księstwa, nie mogłem na dzień umówiony ani przybyć, ani téz zawiadomić go o odbywających się z tymi naradach.

Następnie zawiadomiłem go o wszystkim co w tym czasie zaszło, jako téż i o tém, że Mierosławski wyjechał właśnie do Krakowa dla porozumienia się z wysłańcami z innych prowincyi o wybór członków zasiadać mających w rządzie narodowym i ostateczne naznaczenie dnia wybuchu powstania, że z zaboru pruskiego wybraliśmy Karola Libelta, na którego i on (Esman) byłby niezawodnie głos swój oddał.

Przez cały czas Esman patrzył na mnie jakimś dziwnym wzrokiem, w którym się odbijało zdziwienie i zakłopotanie w obec mnie. Aż na zapytanie moje, co mu jest, odpowiedział, że widzi, iż go haniebnie oszukano, przedstawia-

jąc mu, że moje z nim postępowanie jest nieszczerém, i że ja taję przed nim wszystkie ważniejsze sprawy, a że on teraz widzi, iż to wszystko było kłamstwem, bo ja mu najsumnienniej przedłożyłem obraz wszystkiego co zaszło od ostatniego z nim widzenia, (które miało miejsce przed przybyciem Mierosławskiego.)

— Ja tu mam list z Krakowa, który mi dzisiaj odla-
no i jeszcze go nie odczytałem, powiada.

Zroiliśmy to obydwaj. List był od Gorzkowskiego z Krakowa do Esmana pisany, treść jego była następująca:

„Kochany bracie! Weź kija i rozpedź tych łajdaków którzy Cię oszukują, ja przybędę na dzień oznaczony i dopomogę ci do zaprowadzenia porządku.“

— Więc musiałeś pisać do Gorzkowskiego, odezwałem się, po przeczytaniu powyższego pisma. Odczekł: — Oni mnie do tego zmusili i opowiedział mi wszystko o czém wyżej nadmienilem i dodał, że dzień zebrania z Gorzkowskim wyznaczono nazajutrz.

Nie chcąc go zawstydząć surowym a zasłużonym wyrzutem z powodu jego łatwowierności względem ludzi, którzy na zaufanie wcale nie zasługiwali, zwróciłem mu jak najłagodniej uwagę na to, co bezpośrednio sprawy związkowej dotyczyło.

— Nie dziwię się, rzekłem, że nie masz stałe wyrobionego zdania o moim charakterze, bo się od nie lawna znamy, ale mogłeś przynajmniej odczekać dzisiejszej nocy o mowy, a byłbyś się przekonał o ile zasługiwało na wiarę wszystko co ci o mnie nagadali owi panowie. Nie chodzi tu o mnie, dodałem, ale o sprawę publiczną. W tej chwili Mierosławski jest w Krakowie i rozminął się w drodze z Gorzkowskim, z którym miał się widzieć konieczne i że półrocz taniego może spełznąć na nic-ém, lub przynajmniej zabrać dużo drogiego czasu.

Esman tłumaczył się, że nie miał nawet czasu ochłoniąć z pierwszego wrażenia, bo Słupecki tak nalegał na niego, aby zaraz w jego obecności napisał do Krakowa. Widząc, że żal i oburzenie przeciw tym ichnościom, którzy go zmusili do tak niewczesnego kroku, posunięte były do ostat-

nich granic, bo sobie włosy z głowy wydzierał, starałem się go uspokoić, a zarazem zobowiązałem go, aby mnie zawiadomił skoro Gorzkowski przybędzie, ale jeżeli się będzie z nim widział, aby mu nie powiedział o naszej rozmowie, ani o intrydze Słupeckiego i towarzyszków, bo ja sam chciałem rozmówić się z nim w tej całej sprawie.

Nazajutrz Esman przyszedł mi powiedzieć, że Gorzkowski przyjechał i mieszka w oberży pod „Złotą gęsią“ i że zebranie będzie o ósmej na wieczór. Poszedłem do niego o godzinie pierwszej, zaraz po wyjściu z bióra dyrekcji Ziemstwa Kredytowego, gdzie pracowałem jako radca — ale nie zastawszy go w domu, dowiedziałem się od przybyłego z nim Kozerskiego, że najpewniej Gorzkowskiego będą mógł zastać wieczorem o godzinie siódmej.

Tymczasem około godziny szóstej przybył do mnie Kalkst Bojanowski, obywatel już starszy i powszechnie zachowanie mający w Księstwie i zapytał mnie w imieniu reszty obywateli (zawezwanych przez Słupeckiego i spółkę,) czy z mojego polecenia zawezwani zostali na dzisiejsze zebranie, bo wezwanie, które odebrali było sibi z polecenia władzy do każdego z nich wystosowane, teraz jednak dowiedzieli się, że to jest przeciw istniejącej władzy jakiś zamach, do którego oni należeć nie myślą i jeżeliby kto inny nie ja miał stanąć na czele związku, wteży oświadczają, że tylko moiżna nie kogo innego rozporządzeniom chcą być posłuszni, a żądają dowiedzieć się odemnie, czy sobie życzę, aby poszli na to zebranie, bo inaczej postanowili nie brać w niem żadnego udziału. Podziękowałem za położone we mnie zaufanie i opowiedziałem rzecz całą, jak z moich zatrudnień skorzystano i zawezwano Gorzkowskiego, naczelnika związku w Krakowskiem, aby im dopomógł do zwalczenia istniejącej i do wybrania nowej władzy, a zarazem prosiłem, aby poszli na zebranie i tam otwarcie zdanie swoje wypowiedzieli.

Przy tćm całym niemilćm zajćciu, było to oświadczenie Bojanowskiego wielką dla mnie poćechą, bo nie myślałem, że tak wielkie posiadam zaufanie u związkowycy i w końcu wpadłem na myśl, że Słupecki, Malczewski i Mikorski, mo-

gli byli z polecenia związkowych, a nie na własną rękę i odpowiedzialność, zwołać dzisiejsze zebranie i sprowaćić Gorzkowskiego z Krakowa. Przekonawszy się teraz, że cała ta niebezpieczna komedia była tylko powtórzeniem dawniejszej intrygi, której ci sami i zawsze ci sami ludzie używali na zwalenie poprzednich komitetów rzekomo niby niezdolnych do kierowania sprawami sprzysiężenia, a w rzeczy samej chodziło im o opanowanie władzy naczelnej, do czego nie posiadali ani zdolności, ani zaufania publicznego — nie mogłem nie ucuć słusznego oburzenia przeciw wichrzycielom, u których narów intrygowania przeszeli po prostu w mania, która bardzo dotkliwie szkody przyniosła sprawie publicznej.

Wszakże to oni zaszczepili nieufność pomiędzy związkowymi przeciw każdorazowej władzy naczelnej, wszakże oni wpływali na mniej wytrawne i niecierpliwie umysły, aby je skłonić do natychmiastowego na swoją rękę powstania, kiedy właśnie należało zalecać wytrwałość, jedność i wielką ostrożność w mówieniu i działaniu, aby kraj miał czas i możność przygotowania wszystkich sił i zasobów potrzebnych dla powstania; wszakże oni doprowadzili w końcu rzeczy do tak rozpaczliwego stanu, że już nic innego nie pozostawało, jak, albo pozwolić na wychwytnie całego związku w zaborze pruskim przez policyją, albo przyspieszenie terminu powstania pomimo niedostatecznych przygotowań do niego.

Ale godząc się na pierwszą z dwóch wyżej wymienionych ostateczności, współdziałanie zaboru pruskiego przypadało bezpowrotnie dla powstania narodowego, a zawód uczyniony innym częściom kraju, mógł by narazić powstanie na znaczne klęski, może nawet na stłumienie ruchu w samym dniu wystąpienia do boja braci naszych w innych zaborach. Otoż dla tych przeważnych względów postanowiono przyspieszyć dzień powstania, boć to było przynajmniej dopełnieniem świętego obowiązku względem Ojczyzny ze strony sprzysiężonych z pod zaboru pruskiego.

Ale od chwili jak powyższa uchwała została postanowioną i z gorączkowym niemal pospieszem w całym zaborze

pruskim weszła w wykonanie, od téj chwili wicherzenie owego szczupłego odłamu, upornie trwającego w swojej występnej robocie, straciło wszelki pozór troskliwości o dobro publiczne i przybrało charakter niegodnego przeszkodzenia każdej uczciwej pracy dla tego jedynie, że tych panów pominięto przy uworzeniu nowój władzy.

Te wszystkie uwagi, które po rozmowie mej z Kapikstem Bojanowskim nie mogły już ulegać żadnej wątpliwości, rozdrażniły mnie do najwyższego stopnia. Postanowiłem nieoszczędzać wicherzycieli i uprzedzić Gorzkowskiego o téj nowój intrydze i oszczędzić mu grubych nieprzyjemności z powodu, że się wniósł tak lekkomyślnie do sprawy, którą z jego pomocą intryzanci na swoją korzyść niegodnie wyzyskać chcieli. Esmanowi, który właśnie przybył do mnie po radę, czy na iść na zebranie, odradziłem stanowczo, bo oskarżenie jakiego chciał podnieść przeciw owym panom o haniebny podstęp, jakiego użyli, aby go zawikłać w intrygę przez nich uknowaną do zwałenia władzy istniejącej, — mogło się przeciw niemu zwrócić, że łatwowierność swoją mógł do takiego postąpić stopnia, iż się dał użyć za narzędzie ludziom znanym już z podobnych sprawek w świeżo ubiegłym czasie, co też Esman zrozumiał.

Był to człowiek dobry i wielki patriota, ale młody, nie-łóświadczony, a przytém skłonny do nieufności, jaką klasa społeczeństwa, do której należał, wogóle przeciw słachcie żywiła; uległ podszeptom złych ludzi, ale poznawszy błąd swój, odepchnął się od nich natychmiast i odtąd wytrwał na drodze obowiązków dla sprawy publicznej i sprawy sprzyśnięcia, czego dał liczne dowody w więzieniu pod śledztwem i w czasie roków sądowych, nie zdradziwszy nikogo z towarzyszków nie loli.

Po téj krótkój naradzie podążyłem do mieszkania Gorzkowskiego. Zastalem go w domu, ale gwałtem mu się przedstawiłem, zaledwie rączył mi głową kiwnąc z miną jakiegoś surowego sędziego, przed którym stawa winowajca. Oczywiście, że ja przybrałem postawę zimną i żalującą, że go odwiedził, postanowiłem nie wspomnieć ani słowem o zebraniu, które się wkrótce odbyć miało, a natomiast zapy-

talem, jak dalece postąpiła organizacja związkowa w Krakowskim, bo wniosując z tak dalekiej podróży, jaką w tym właśnie czasie odbył, sądząc, że musi być całkowicie ukończoną.

— Tak, odpowiedział z wyraźnym odcieniem złośliwego zadowolenia, że mnie, jak sądził, będzie mógł na tym punkcie upokorzyć, wszystko u mnie w porządku, bo władza posiada zaufanie ogólne, ale tam gdzie władza nie umie sobie zdobyć takiego zaufania, powinna tam ustąpić.

Przyznałem słusność wyrzeczonej przez niego zasadzie i zabierałem się do wyjścia.

— Jestem w kłopotcie, powiada, bo muszę być koniecznie o 8-jej godzinie w pewnym miejscu, a nie wiem, gdzie się tu wystarać o powóz i konie.

Odpowiedziałem, że to nie byłoby bezpiecznie, bo policja mogłaby na to zwrócić swoją uwagę, ale że ja się postaram zadosyć uczynić jego życzeniu i odszedłem. Wiedząc że Władzimirz Wolniewicz przybył do miasta swojemi końmi, poszedłem do niego i poprosiłem, aby swojego ekwipażu użyzył na cały wieczór pewnemu obcemu panu, na co zaraz z całą gotowością przystał. Zalatwiwszy tę sprawę, tak mocno niepokojącą Górkowskiego, poszedłem do Libelta, by go zawiadomić o tém co zaszło w ostatnich 48 godzinach, w których nie miałem czasu z nim się widzieć. Opowiedziawszy wszystko co zaszło w tym czasie, sądziłem, że go zaspokoje całkowicie klęską, jaka czekała naszych wiecznych konspiratorów przeciw władzy związkowej. Ale zamiast oczekiwanego uspokojenia, Libelt mocno był zrażonym i zaniepokojonym temi ciągłemi objawami lekceważenia władzy związkowej, bo nieścisła ona w sobie zaród anarchiji i wyraźną ochotę działania na swoją rękę, gdyby się ku temu jakkolwiek nastręczyła sposobność.

Pragnąłem mu wystawić różnice prawa, jakie posiadać będzie rząd narodowy do ukarania winnych i ujęcia w karby bezwarunkowej uległości nieposłusznych, kiedy przeciwie władza związkowa opierać się musi jedynie na patryotyzmie i dobrej woli sprzysiężonych. W duszy jednak podzielałem obawy jego, bo objawy niekarność i niezgody, jakie się w

ciasném kole sprzysiężenia spostrzegać dawały, były w istocie wadą narodową i mogły dużo złego wyrządzić sprawie powstającego narodu. Rozmowy nasze przerwało przybycie Gorzkowskiego, który blady, rozdrażniony wracał z zebrania, na którém doznał niespodziewanej porażki. Głównie biadał, że go skompromitowali, okłamawszy poprzednio, owi trzej panowie, o których już kilkakrotnie w tym opisie była mowa, że go sprowadzili do Poznania i na błązna wystrychnęli. Rzecz sama, jak mi opowiedzieli ci, którzy byli na owém zebraniu i nazajutrz mnie odwiedzili, odbyła się w sposób następujący.

Gorzkowski przybywszy na miejsce umówione, zabrał miejsce i z miną dyktatorską podniósł głos w przekonaniu, że wszyscy zgromadzeni należą do opozycji, a było ich, ile pamiętam, siedemnastu, i oświadczył, że przybywa naumyślnie z Krakowa, aby położyć koniec nieporządkom, jakie powstały w Księstwie z powodu niezaufania do władzy istniejącej i wzywa zgromadzonych, aby mu wymienili nazwiska obywateli, których chcą postawić na miejsce obecnej władzy, jaką koniecznie z urzędu zrzucić należy. Ale się zdziwił i zakłopotał niepomalu, gdy go w dość szorstki sposób zapytano:

— A kto panu powiedział, że władza obecna nie posiada zaufania ogólnego?

Zagadnięty w ten sposób na razie Gorzkowski, odpowiedział, że wie o tem tem Słupeckiego. Ten znowu chciał całą rzecz zwalić na Malczewskiego Adolfa, że od niego ma wiadomość, o której uprzedził Gorzkowskiego. Ale Malczewski spostrzegszy, że rzecz krzywego nabiera kierunku nie stracił przytomności i chcąc się wywinąć od współdziałania w tej intrydze, odparł, że o niczém nie wie, i że z Słupeckim nigdy o czémś podobném nie mówił. Wówczas wezwani z prowincyi obywatele oświadczyli Gorzkowskiemu, że władza obecna posiada w zupełności zaufanie ogółu, i że gdyby byli wiedzieli, że obecne zebranie zwołaném zostało poza wiedzą władzy, nie byłiby z pewnością przybyli do Poznania, gdzie jak się na miejscu dowiedzieli, chciało ich użyć do poparcia jakiejś niegodnej intrygi, do której oni ręki swojej nigdy

przykładać nie myślą. Poczém opuścili wszyscy miejsce zebrania, a po ich wyjściu Gorzkowski zawstydzony i upokorzony w swojej dumie, wyszedł także i z tej gorącej kąpieli wprost przybył do Libelta. Tutaj dopiero wybuchnął całym gniewem i zawziętością przeciw ludziom, których przed godziną jeszcze uważał za sprzymierzeńców, za przyjaciół, którzy poprzeć mieli jego własne osobiste uroszczenia do osiągnięcia de fakto-naczelnej władzy nad przysiężeniem całego kraju, o co się, jak widzieliśmy, od samego początku tak namiętnie ubiegał.

Wysłuchawszy spokojnie wyrzeknięć jego na zawód jakiego doznał, odezwałem się spokojnie, ale ze stanowczością:

— To ci bardzo zdrowo, niech to będzie nauką dla ciebie, abyś się nie męszął do rzeczy, których nie znasz, bo przez to dajesz szkodliwy przykład zwolinywania pokątnych sejmików do zwalania władzy, iiekróć ona nie podoba się kilku intrygantom, nie posiadającym najmniejszego zaufania pośród rozsądniejszych obywateli Księstwa. Uskarżasz się na zawód, jakiego doznałeś, własne tylko niepowodzenie mając przed oczami, ale nie wiesz, ile szkody przynieść może sprawie publicznej twoja całkiem niepotrzebna podróż do Poznania. Oto właśnie rozminęliście się w drodze z Mirosławskim, który pojechał do Krakowa celem ostatecznego porozumienia się z wysłańcami z innych części Polski. Twój wyjazd może bardzo utrudnić, a kto wie, czy nawet i nie udaremnić całej podróży Mirosławskiego.

— A dyabliż ich wiedzieli, że mnie tak haniebnie obelgali o waszych stosunkach? Zaręczali mi przecież, że cały związek jest oburzony przeciw władzy i wezwali mnie, abym zaradził złemu na miejscu i ja też temu uwierzyłem i przyjechałem.

— Dobrze, ale cóżbyś był zrobił na miejscu, kiedy nie masz miejscowych ludzi, boć w przeciwnym razie nie byłbyś na ślepo zawierzył zaręczeniom tych, którzy, jak sam powiadasz, tak haniebnie cię obelgali. Czyż to nie mogłeś uprzednio pytać Libelta, jak cała ta sprawa stoi? Kiedym przyszedł do ciebie dzisiaj, miałem zamiar ostrzedz cię o całej intrydze, ale mnie traktowaliś z góry jak sędzia wi-

nowając jakiego, to też pozostawiłem cię twojemu losowi. Powiem ci więcj: wiem, kto był autorem listu do ciebie przesłanego, znam nawet odpowiedź twoją, bo ją sam odczytałem; powiem ci więcj: zwołani na to zebranie obywatele byli u mnie z zapytaniem, czy wezwanie, jakie odebrali w imieniu władzy, z mojego polecenia rozesłano i na moje oświadczenie, że nie, zapytali, czy sobie życzą, aby byli obecni na tém zgromadzeniu, bo inaczej nie wezmą w niem udziału i dopiero, gdym ich poprosił, aby poszli i zdanie swoje objawili, zgodzili się aby pójść, oświadczywszy, że tylko mojim rozporządzeniom chcą być posłuszni. Sądziłeś może, iż nie wiem o niczém i cieszyłeś się może w duchu z mojej naiwności i niespodzianki, jaką mi zgotujesz, pokazało się, że to ty szedłeś na ofiarę mnie przeznaczoną. Nie narzekaj więc na nikogo i sam sobie przypisz winę tego co cię spotkało, a teraz wracaj jaknajprędzej do Krakowa, abyś jeszcze zastał Mierosławskiego, który ciebie potrzebuje.

Gorzkowski był to sobie człowieczek niskiego wzrostu, wyschły, szczupły, z twarzą wychudzoną i cery żółtej, chorośliwej, słabe zdrowie oznaczającej. Jakoż mieliśmy sposobność przekonania się o tém tego samego jeszcze wieczora. Wskutek bowiem czy zaziębienia, czy gwałtownych wzruszeń dnia tego doznanych, dostał mocnego ataku astmy, tak że z trudnością mógł oddychać. Libelt otworzył zaraz okna dla wpuszczenia świeżego powietrza i pobiegł, aby mu przynieść szklankę limonady. To go otrzeźwiło o tyle, iż po niejakiem czasie mógł powrócić do swojego mieszkania. Obawialiśmy się mocno, aby się nie rozchorował na dobre i to w chwili, kiedy i nam samym groziło ze strony policyji ciągle niebezpieczeństwo. Poszedłem na drugi dzień z rana go odwiedzić i zastałem go w łóżku bardzo cierpiącego. Prosił o lekarza, musiałem zatem pobiedz czémprędzej do zacnego Marcinkowskiego, (bo się obawiałem sprowadzić Mateckiego, który mógł ściągnąć na siebie uwagę policyji, jako już z dawniejszego czasu źle u niej zapisany) — i poprosiłem go, aby odwiedził człowieka chorego, przybyłego z Krakowa, którego jaknajprędzej z Poznania wyprawić trzeba było.

Marcinkowski natychmiast pojechał i obłożwszy go plastrami, zalecił, aby się bezzwłocznie udał w podróż, bo się może mocniej rozchorować skutkiem niezdrowego w mieście powietrza.

Jakoż Gorzkowski po opatrzeniu miał się lepiej i wyjechał tego samego dnia do Krakowa.

Teraz należało mi kłóć się zająć się wewnętrznymi naszymi sprawami. Już dawniej podzieliłem był Księstwo na cztery grupy powiatów, celem równoczesnego zawiadomienia naszych związkowych komisarzy powiatowych przez czterech zaufanych ludzi, o dniu powstania, który miał być ostatecznie postanowionym w Krakowie. Tego podziału zamierzyłem użyć teraz, aby przeszkodzić dalszym bałamuctwom i pokątnym zamachom naszych niepoprawnych wicherzycieli. Wypisałem więc hasła, jak n. p. od wujaszka z Krakowa, od ciotki Antosi itp. na każdą grupę powiatów inne, wraz z instrukcją, że komisarze stosować się mają tylko do poleceń, które im przywiozą. Ludzie opatrzeni tym samym hasłem, jakie im się obecnie przysyła, że mają natychmiast ostrzedz związkowych w swoim powiecie, że tylko od swoich komisarzy powiatowych odbierane rozkazy i polecenia uważać mają za obowiązujące.

Aby zaś nikt oprócz komisarzy i władzy naczelnej nie znał owych haseł, obwinąłem każde w kamizelkę i papier szczelnie zalepiłem gumą. Wyszukałem następnie czterech wysłalców, z których każdy odebrał tyle haseł, w sposób powyższy opatrzonych, ilu było komisarzy w grupie powiatów dla niego do objazdu przeznaczonych.

Zaleciłem każdemu z nich, aby albo swojemi, albo od znajomych pożyczonemi końmi puścili się bezzwłocznie w wyznaczoną podróż, a to z powodu, że na poczcie zapisywano nazwiska podróżnych, furmani zaś musieli meldować policyi, kto i dokąd od nich konie najmuje. Wysłańcom zaleciłem ściśle zachowanie tajemnicy o celu ich podróży, a raport obowiązani byli zdać w przeciągu najdalej dni pięciu.

Kiedy się już załatwiłem z tą sprawą, która, jak mi się wydawało, była najpilniejszą w tym czasie, przyszedł do mnie Dzwonkowski, obywatel z Królestwa, który zmuszony

przed aresztowaniem opuścić swoje strony rodzinne. bawił od niejakiego czasu w Księstwie i opowiedział mi niektóre jeszcze szczegóły z wczorajszego zebrania, które mnie więcéj jeszcze rozdrażniły przeciw sprawcom tych ciągłych wicherzeń w łonie sprzysiężenia naszego. Uważałem przed nim, że się uważam od zważania i o niczém nie chcę wiedzieć. Jak dzień powstania będzie wyznaczonym, wsiędę na koń i pojedę z innymi na linię bojową, ale kierownictwem spraw związkowych zajmować się nadal nie myślę. Moje nazwisko rozgłoszoném zostało przez wicherzycieli, którzy je z pewnością starali się podkopać w łonie sprzysiężenia i nie omyliłoby i nadal przeciw mnie występować. Wprawdzie przyczyny to dawały powód do ustąpienia mojego, w rzeczy samej jednakże nie myślałem w tak krytycznej chwili porzucać mojego stanowiska, bo by to wyglądało na dezercyjną a oświadczenie się obywateli wezwanych na wczorajsze zebranie umocniło mnie w przekonaniu, że związkowi nie stracili do mnie zaufania.

Wśród tej rozmowy, wszedł do mnie Adolf Melczewski z miną wesołą, jak gdyby nic nie było zaszło i zaczął zaraz rozprawiać o konieczności zbierania pieniędzy od obywateli na potrzeby bieżące. Przyjąłem go bardzo zimno i na wniosek jego odpowiedziałem z obojętnością:

— **A** róbcie sobie co chcecie, a mnie dajcie pokój. Wczoraj pragnęliście zwać władzę, otóż oświadczam, że napróżno się do mnie udajesz ze swoim projektem, bo ja o niczém wiedzieć nie chcę.

Odpowiedź moja widocznie go zakłopotała, ale go nie zbiła całkiem z toru; odpowiedział mi zwalając całkiem winę na Słupeckiego, że na takie głupstwa zważać nie powinienem, zwłaszcza że nasi porządnie natarli uszu temu szaleńcowi i oświadczyli, że do mnie mają zaufanie. Zaczął mi przedstawiać, że nie powinienem opuszczać mojego stanowiska, zwłaszcza że po wczorajszym zajściu wszystko wróciło znowu do dawnego porządku.

— Nie namawiaj mnie, odpowiedziałem, bo ja tego porządku nie widzę, a gdybym go chciał zaprowadzić, musiałbym chyba zacząć od usunięcia ciebie pierwszego, bo to-

bie stare narowy szlacheckie siedzą w krwi i kościach, jak staremu psu legawemu tresura, i mógłbyś się jeszcze doczekać, iżbym ci musiał kazać wepchnąć nóż pod żebra, a toby z pewnością nastąpiło, gdybyś nie zaprzestał dotychczasowych szaleństw twoich.

Pomimo tych ostrych słów, Malczewski nie przestawał mnie nakłaniać do zatrzymania władzy, w czem i Dzwonkowski dopomagał mu usilnie.

Dałem się niby wtedy nakłonić, gdy mi Malczewski zaręczał najuroczyściej, że zaprzestanie dalszych bałamuctw i szczerze i sumiennie wykonywać będzie dane mu polecenia. Jakoż dotrzymał przyrzeczenia swojego i odtąd z całym zapalem poświęcił się sprawie publicznej. — Był to człowiek, który pomimo wszystkich swoich wad szlacheckich posiadał dużo przymiotów szacownych. Duszą i ciałem patriota, żołnierz odważny, bo tego dał dowody w r. 31szym, w którym odebrał kilka ran i ozdobionym został krzyżem złotym „Virtuti militari“, był zręcznym agitatorom, czego w ostatnich chwilach naszego sprzysiężenia od każdego wymagać musiano. Polecilem im zatem obydwom, aby Malczewski w Księztwie, a Dzwonkowski pod zaborem moskiewskim zajęli się zbieraniem funduszków i dodałem im potrzebnych do tego pomocników.

Działo się to w czasie nieobecności Mierosławskiego, który jak wyżej wspomniałem bawił z Kosińskim w Krakowie, celem porozumienia się ze związkowymi w Galicyi i ustanowienia dnia do wybuchu powstania.

Tymczasem policyja pruska coraz nowe zarządzała areztowania, a władze pruskie miały już pewność o istnieniu związku między Polakami pod zaborem pruskim. Jakoż przy końcu Stycznia reskryptem królewskim ustanowioną została bezpośrednia komisya śledcza pod prezydencyją Frankenberga, szefa wszystkich sądów w Ks. Poznańskim. Pośród groźnych okoliczności należało koniecznie znaleźć o ile można bezpieczniejsze schronienie dla Mierosławskiego, którego powrotu lada dzień oczekiwać należało. Że zaś w Poznaniu samym Mierosławski nie mógłby się ukrywać za długo z powodu śledzącej nas na każdym kroku policyji

obostrzeń władz pruskich, które coraz nowe zarządzały ostrożności, należało koniecznie wyszukać na prowincyi miejsca u jakiego mniej podejrzanego obywatela, u którego Mierosławski mógłby się na parę dni przechować. Mówię na parę dni tylko, bo niebezpiecznym było, aby dłużej w jednym miejscu przestadywał.

Polecono więc Malczewskiemu, aby się wystarał o takie miejsca bezpieczne, w których Mierosławski byłby mógł odbywać narady ze związkowymi, bez ściągnięcia na siebie podejrzeń policyji. Zebrania te miały się urządzać pod pozorem polowań, na które tylko zaproszeni zgromadzać się mogli. Jednę z takich miejsc były Świniary, u obywatela Rowińskiego, człowieka podeszłego już wieku i całkiem nie-podejrzanego policyji.

Mierosławski po powrocie z Krakowa zabawił tylko parę dni w Poznaniu dla naradzenia się z głównymi przy sięzonymi, poczem w pierwszych dniach Lutego Malczewski odwiózł go do Świniar z poleceniem, aby się ściśle zasto-ował do danej mu instrukcyi i aby nie zostawiał Mierosławskiego w tym miejscu dłużej jak 3—4 dni.

Dla porozumienia się ze związkowym na prowincyi umówiono polowanie w Srebrnej Górze, u obywatela Mateusza M Na to zebranie zawiozła p. Malczewska Mierosławskiego, a po odbytej naradzie Malczewski, stosownie do danego mu polecenia miał odwieźć Mierosławskiego w inne miejsce.

Tymczasem Mierosławski pomimo nalegań nie chciał opuścić Świniar, gdzie dotąd przebywał, podając za przyczynę, że niedomaga na zdrowiu, i że gdzieinądziej nie znalazłby może takich wygod, jak u pp. Rowińskich. Musiano więc odwieźć go do Świniar, gdzie go w parę dni aresztowano. Pokazało się zatem, że zalecane przezemnie ostrożności nie były zbyt czynnemi, i że Mierosławski z własnej winy ściągając na siebie musiał uwagę policyji. Szczęsna jego aresztowania, jak nam to w więzieniu opowiadał, odbyła się w sposób następujący:

W dniu 12go Lutego z rana o godzinie 10tej posyłał jakiś niezwycajny rach w podwórzu. Wyjrząwszy przez

okno, ujrzał kilku żandarmów otaczających dom mieszkalny a za nimi na bryczce gościa w mundurze z czerwonym kołnierzem. Był to komisarz obwodowy z KłECKA, nazwiskiem Uhlmann, który natychmiast udał się do mieszkania Mierosławskiego. Ten ostatni, jak tylko ujrzał żandarmów, zamknął drzwi na klucz i zajął się paleniem papierów, których nazbyt wiele nawet posiadał. Wrzucone w ogień papiery nie chciały się palić, bo ich za wiele naraz wrzucił w piec, a tymczasem komisarz groził wysadzeniem drzwi, jeśli mu ich dobrowolnie nie otworzono. Mierosławski był zatem zmuszony drzwi otworzyć, a komisarz z żandarmem weszli natychmiast do jego mieszkania, przygасили ogień i zabrali niedopalone papiery wraz z tymi, które w jego kufirku były pozostały; samego zaś aresztowano, sprowadzono na dół, wsadzono na bryczkę, którą komisarz przyjechał i odwieziono go wprost do Gniezna; stamtąd w nocy przewieziono go pod straż dwóch żołnierzy i policyjanta do Poznania.

Małczewski dowiedział się natychmiast o aresztowaniu kogoś obcego, który bawił w Świnarach i domyślił się, że tym aresztowanym może być tylko Mierosławski. Spodziewając się zaś, że Prusacy w nocy przewiozą więźnia do Poznania, wysłał oddział z kilku ludzi złożony na liwy gościnniec do tegoż miasta prowadzący, a Lincowi Arnoldowi polecił, aby na bryczce patrolował około Gniezna.

Tymczasem Prusacy przewieźli go boczną drogą, nie spotkawszy żadnej przeszkody. W Poznania nie wiedziano o tym wypadku i ja 13go Lutego po obiedzie wyjechałem do Kociątkowej Górki, dokąd i Mierosławski miał przybyć, a gdybym go tam nie zastał, miałem jechać do Dominowa, gdzie i on z pewnością miał się znajdować. Przybywszy do Kociątkowej Górki wieczorem, uderzyło mnie, że nie tylko Mierosławskiego, ale nawet gospodarza domu, Tadeusza Radońskiego nie zastałem na miejscu. Pojechawszy do Dominowa, zastałem Apolinarego Kuraatowskiego, który się stawił na umówione tamże zebranie. Czekaliśmy może do godziny 3ciej po obiedzie, a gdy nikt

więcej się nie pojawił, postanowiliśmy wrócić do Poznania mocno zakłopotani, że **Mierosławski** nie przybył.

Obadwaj przeczuwaliśmy, że musiało zająć coś złego, a **Kurnatowski**, który był jednym z 4ch wysłańców na Księstwo, zaraz po powrocie **Mierosławskiego** z Krakowa wyprawionych, **opowiedział mi**, że zajechawszy nazajutrz po odebranych **hasłach** obu komisarzy powiatowych jego okręgu — do Orzeszkowa, do zacnego starca **Kaszuna**, był obecnym, jak **sołtys miejscowy** przyniósł gospodarzowi do domu wiadomość, że był **wraz z innymi sołtysami** do komisarza **zawezwany** i że odebrali wszyscy polecenia, aby ściśle uważać, bo rozjechało się kilku panów do zawiadomienia mieszkańców 6 dniu rewolucyi.

Nie mogliśmy się obadwaj połapać z myślami, jakim sposobem w dniu wczorajszym udzielone instrukcye w największej tajemnicy czterem wysłańcom w powiaty, a mianowicie **Anastazemu Radońskiemu**, **Włodz. Wolniewiczow**, **Adolfowi Malezewskiemu** i **Kurnatowskiemu** zacnemu mogły już na drugi dzień dojść do wiadomości komisarza obwodowego pruskiego, o 8 mil drogi do Poznania.

Tak zaniepokojeni **dojechaliśmy** do bramy warszawskiej, a tam żołnierz stojący na straży nie chciał nas wpuścić, **powiadając**, że nie wolno nikomu do miasta **wjeżdżać**. **Oświadczyliśmy**, że jesteśmy z **Poznania** i żeby nas **zamel-dował na odwachu** komu należy. Na to wyszedł oficer, **zapisał** nasze nazwiska i dopiero **pozwolił** wjechać do miasta. Nie było już wątpliwości, że zająć musiało coś dla nas **bardzo** niebezpiecznego.

Wjechawszy na Chwaliszewo, **zastaliśmy** ulice całkiem opróżnione, chociaż pora nie była jeszcze zbyt opóźniona. **Kiedyśmy** **dojechali** do mostu Chwaliszewskiego, **ujrzeliśmy** na drugiej stronie nałożone na ulicy ognie i przy nich dwie kompanie żołnierzy. Nie zatrzymywano nas i **podążyliśmy** ulicą Szeroką na Rynek, **złamtąd** na prawo ulicą Wroniecką, a **potém** **skręcivszy** na lewo, **jechaliśmy** wprost ku alei, ku pałacowi Ziemstwa Kredytowego, bo konie i powóz należały do dyrektora Ziemstwa **Jarochowskiego**. Tam **kazałem** przystanąć, **wyskoczyłem** z powozu, w którym zosta-

wilem płaszcz futrzany i kalosze, a sam skręciwszy na lewo, udałem się do mojego mieszkania, zaniepokojony o żonę moją, która właśnie spodziewała się choroby. Zastalem ją nalspodziewanie spokojną i z pełną rezygnacją przygotowaną na los, jaki mnie spotkać może. Posłałem natychmiast po Dra Mateckiego, który żądał, aby go zawiadomić skoro tylko powrócę.

Przyszedł więc natychmiast i zawiadomił mnie pokrótce o tém co zasło. O godzinie pół do drugiej z południa wystąpiło wojsło, policja i żandarmi; obstawiono pomieszkania osób podejrzanych rządowi i rozpoczęły się aresztowania wraz z rewizyjami. Równocześnie na całej przestrzeni Księstwa zarządzono aresztowania i mocno mnie zastanowilo, że wedle tego co mi Matecki powiadał, wychwymano wszystkich związkowych komisarzy w powiatach. To już nie mogło być dziełem przypadku.

W całym mieście podejrzevano Henryka P., że przed prezesem policyjji Minutolem, z którym żył w ścisłej przyjaźni, miał się wygadać o związku i o osobach do niego należących. Wszystkie panie które wówczas bawiły w Poznaniu, przychodziły odwiedzić moją żonę, a przytém stwierdzały powyższe podejrzenia.

Matecki radził mi uciekać, ale rady jego nie przyjąłem, bo skoro wszyscy moi współpracownicy i przyjaciele polityczni dostali się do więzienia — mnie nie wypadalo oddzielać się od nich; z drugiej strony widząc, że całą głowę odcięto związkowi, nie było sposobu prowadzić dalej przygotowań do wybuchu, a więc i ucieczka moja mogłaby tylko była mieć na celu ochronienie własnej osoby, gdy nie było możności służenia sprawie publicznej.

Nazajutrz z rana aresztowano mnie w mojem mieszkaniu i zaprowadzono do prezesa policyjji Minutolego. Zapytałem go zaraz na wstępie, jaka jest przyczyna mojego aresztowania. Odpowiedział, że nie wie i że działa z rozkazu

komisyji śledczej, a zarazem dodał, że mnie boczniemi ulicami do więzienia zaprowadzić każe. Podziękowałem mu za tę względność, ale dodałem, że nie popełniwszy żadnej zbrodni, w biały dzień i głównemi ulicami iść mogę spokojnie do więzienia. Zaprowadzili mnie do dawniejszego lazaretu wojskowego, który chwilowo przeznaczono na więzienie dla pochwytanych w Księstwie obywateli.

Koniec części Iszej.

Część IIga.

Koleje moje przez czas więzienia były dosyć ciekawe i dla tego postanowiłem sobie opisać je szeregółowiej, choćby tylko jako wspomnienie przeszłości.

W lazarecie wojskowym przesie-lziałem dwa dni tylko. Przeprowadzono mnie do cytadeli, gdzie 40 stopni pod ziemią przeznaczono dla mnie więzienną celę w Rawlinie Nr. 4ty. Była to strzelnica. zbudowana do obrony wałów, jedynie tylko małym otworem opatrzona, przez który piechota w czasie oblężenia razić mogła nieprzyjaciela ogniem karabinowym. Cała cela była świeżo wyrzucona wapnem, ściany więc były mokre; zrobione do zamykania otworu okienko nie przymykało się całkowicie. śnieg więc w czasie zawieji wlatywał do wnętrza i zasypywał moją łóżko; podłoga z grubych dwucalowych desek nie była przybita i wiatr ze spodu dął również do wnętrza i pomnazał zimno, że od niego ręce i nogi kostniały. Cela od tyłu była zamknięta przepierzeniem z grubych desek z rozjazem sztachetów u góry, przez które ciepło z palącego się na kocytarzu pieca żelaznego przechodzić miało dla ogrzania jej wnętrza, ale zamiast ogrzać więzienie, cały ten przyrząd rozszerzał tylko swąd z pieca żelaznego.

Skoro przybyłem na miejsce, dozorca więźniów spytał mnie, czy żądam, żeby mi przyniesiono kolacyją. Odpowiedziałem, że mi się jeść nie chce, bo postanowiłem sobie: albo się wydostać z téj dziury, albo się głodem zamorzyć. To ostatnie było tylko dalekiem przypuszczeniem, bo wiedziałem, że będę potrzebnym do śledztwa i że zmuszę komisją tym sposobem do przeznaczenia mi innego więźnia.

Na drugi dzień odmówiłem również śniadania i obiadu, a o kolacyją dnia tego już mnie nie pytano. Tak samo i dni następnych mi: troszczono się już wcale o mnie.

W tym samym oddziale siedzieli obok mnie: Białoskórski, Malczewski Adolf, Trzeciński Walenty i Władysław Kościelski, późniejszy Sefer-Basza.

Mogliśmy przez owe sztachety rozmawiać ze sobą. Kiedy im powiedziałem o moim zamiarze, mocno się zakłopotali, obawiając się, aby ze mnie osłabionego głodem Niemcy nie zdołali wyciągnąć jakich zeznań. Uspokoiłem ich, że o niczem nie wiem, więc téż czego zeznać nie mogę.

Trzeciego dnia wieczorem przybył do mnie prezes komisji śledczej Frankenberg, zapytał mnie o moje nazwisko, a ja nawzajem zapytałem, z kim mam zaszczyt rozmawiać. Odpowiedział, że jest szefem wszystkich sądów w Ks. Poznańskim i prezesem komisji śledczej. Następnie zapytał mnie, czy zadowolony jestem z żywności; oświadczyłem mu, że najzapełniej. Na to odezwał się dozorca więźniów, że ten pan od czasu jak został odstawiony do więzienia, żadnego pożywienia przyjąć nie chciał. Frankenberg zapytał mnie, dla czego to robię; — odpowiedziałem, że postępowanie ze mną uważam za bezprawne. Na to odrzekł, że w téj mierze pozostawić muszę sąd jemu i komisji śledczej, dodając, że sobie tém tylko zaszkodzić mogę, bo za karę mogę się dostać do gorszego jeszcze więzienia.

— Co do tego, odpowiedziałem, „raczy mnie pozostawić wolność działania.“

Oburzony p. prezes, odrzekł:

— I owszem, jak się panu podoba. Czy nie masz pan jakiego innego żądania?

— Owszem, odpowiedziałem, proszę o arkusz papieru, abym mógł zażalenie do naczelnego prezesa przesłać, ale zarazem proszę, aby mi pozwolono pisać w inném miejscu bo w téj dziurze ręce drętwieją od zimna.

Polecił więc dozórcy więzienia, abym u niego napisał owo zażalenie. Jakoż tegoż jeszcze wieczora napisałem do naczelnego prezesa i między innymi oświadczyłem, że gdzie się sprawiedliwość kończy, tam się zaczyna gwałt i samowola, tam nie ma winnych, tylko — ofiary.

Nazajutrz zrana dnia 4go mojej głodowej kuracji, przysłano mi doktora, jakiegoś p. Kohen, który zaczął mi perswadować, że upór mój będzie bez skutku, a tylko sobie sprowadzę śmierć połączoną z wielkimi cierpieniami. Nareszcie zapytał mnie, czy nie cierpiałem kiedy na zapalenie mózgu.

— Co pan przez to rozumiesz, odpowiedziałem, czy pan sądzisz, że ja warijant jestem?

— Trudno przypuścić, powiedział, aby człowiek przy zdrowych zmysłach mógł powziąć podobny zamiar.

— Mój panie doktorze, kiedy pan przyjdiesz do celi więźnia, nie zostawiaj pan słabych uczuć człowieka za drzwiami, jak tureckie pantofle, odpowiedziałem mu na to.

— W takim razie, odpowiedział z gniewem, moja misja ukończona — i wyszedł.

Jak się później dowiedziałem, obgadał mnie po całym mieście, że jestem dzikim człowiekiem.

W kwadrans może po tém zajściu zjawił się u mnie w celi sędzia, nazwiskiem — jeżeli mnie pamięć nie myli — Journemann i oświadczył, że przybywa na mój wniosek dotyczący zmiany więzienia. Odpowiedziałem, że takiego wniosku nie stawilem i że o zmianę więzienia prosić nie myślę, jak nie prosiłem, aby mnie do téj nory wsadzono. Zaczął tedy przedstawiać, że taka prośba nie ubliży mojej godności osobistej, że to jest forma tylko, do której muszę się za-

stosować bez żadnych szkodliwych dla mnie skutków. Odpowiedziałem mu krótko że pod żadnym warunkiem takiej prośby do prześwietnej komisji śledczej nie podam. Po tój kategorycznej odp-wiedzi zaczął mnie prosić, abym się nie upierał, ile że on e odził z mojim bratem do szkół i z pewnością nie byłby zdolnym proponować czegoś takiego, coby mnie narazić mogło na jakikolwiek zarzut ze strony opiniji publicznej.

Ale wszystko to nie nie pomogło i ja nie odstąpiłem od raz powziętój myśli. Wtedy, powiada, że on jako sędzia zrobi ze swojej strony przedstawienie, że cela jest tak zimna i wilgotna, iż z nięj sam dłużej nad godzinę wytrzymać nie był w stanie. Jakoż poszedł ogrzać się do pieca, bo ręce mu tak zziębły, że pisać nie mógł. Wróciwszy napisał istotnie przedstawienie ze swojej strony i podpisawszy się na niem prosił mnie, abym i ja się podpisał. T tego nie chciałem zrobić, ale jak mnie zaczął nawiać i przedstawiać, że to co napisał mogłaby komisja śledcza uważać za mieszane się w nieswoje rzeczy, skoro ja jako więzien z jego przedstawieniem się nie zgadzam — odpisałem skrypt.

On zabrawszy papiery wyszedł i widocznie komisja śledcza musiała być zebrana u gory w pomieszkaniu dozorey, bo w niespełna 10 minut przyszło dwóch posługaczy, zabralo moje rzeczy i przewieziono mnie do miasta, do więzienia kryminalnego, w którym pozostałem aż do 3go Marca.

Był to dzień, w którym Niegolewski Władysław miał zamiar dostać się z przygotowanymi ludźmi do wnętrza cytadeli i uwolnienia z nięj naczelników powstania. Było to bardzo szlachetne przedsięwzięcie, ale chociażby się było powiodło, choćbyśmy byli mogli wydostać się z więzienia — już dla sprawy publicz. ej nie byłibyśmy mogli nic zdziałać, bo każdego z nas przy pomocy policyi i żandarmów można było przyaresztować, choćby się w swoich pokazał stronach. O zorganizowaniu zatem i wyprawdzie do

Królestwa jakiegokolwiek siły z Poznańskiego mowy już być nie mogło, nie mniej jednakże czyn Niegolewski nosi na sobie cechę szlachetnego poświęcenia dla sprawy publicznej. W dniu tym 3go Marca wieczorem usłyszałem strzał alarmowy armatni, a niedługo potem turkot armat pędzących w galopie przez miasto, a za nimi odgłos licznej kawalerii klusem podążającej. Nie znając przyczyny tego alarmu, bardzo się zaniepokoiłem w mojem więzieniu i pewny byłem, że to oznaka jakiegoś nowego nieszczęścia. Wieczorem zaś na drugi dzień wywieziono mnie do Głogowy i osadzono w więzieniu na pierwszém piętrze obok odwacha i zanknięto na siedem zamków.

Tam przy zabitych deskami oknach nie widziałem światła przez sześć tygodni. Placokomendant téj fortecy, którego nazwiska zapomniałem, kazał mi się rozebrać zaraz po przybyciu mojem do więzienia i szczerze zrewidował z pomocą podoficera mnie całego i rzeczy moje, czy nie mam przy sobie pieniędzy lub papierów; następnie zabrał mi tytoń i cygara, ale fajki pozostawił na oknie.

Kiedy mu zwróciłem uwagę, że zabrawszy tytoń, może zabrać i fajki, odpowiedział, że nie ma na to rozkazu. Było to zapewne rozporządzenie do rozbudzenia tęsknoty do palenia, które więźniowi odłączonemu od reszty świata jakiegokolwiek rozciągnięcie myśli sprawić miało. Nie wolno było palić świecy, a przy zabitych deskami oknach o godzinie pół do 3ej z pół dnia całkowity zmrok panował w izbie. Nie dość na tém, gdy mi przyniesiono obiad żołnierz z nabitą bronią i podoficer wraz z posługaczem pinali mnie, abym sobie nożem nie odebrał życia, co nawiąsem powiedziawszy więćej wyglądało na utrajenie więźnia, niż na jakąbądź obawę samobójstwa, bo nóż był tak tępy, że nim niczego ukrajać nie było podobna. Placmaj odwiedzał mnie codziem z rana, a że był człowiek rozmowny, więc mnie wywabił na pogadankę, a pomiędzy innemi pytał mnie się, jak mi się pomija w więzieniu.

— Bardzo dobrze, odpowiedziałem.

— Przebacz pan, mówił, ale temu uwierzyć nie mogę;

więzienie pańskie jest tak obostrzone, że nie podobna, abyś pan tój surowości uczuć nie umiał.

— Przecież, odpowiedziałem, znajdujesz mnie pan spokojnym i nie skarżę się panu na obchodzenie się ze mną.

— To prawda, odrzekł, ale z drugiej strony wydziwić się nie mogę, jak taki człowiek jak pan, mógł się dać nakłonić do spisku.

— A kto panu powiedział, odparłem, że ja do spisku należę? o niczym nie wiem, do niczego nie należałem i przekonany jestem, że mnie z więzienia uwolnić muszą.

— Kogo? pana? zawołało z zadziwieniem stare placmajorzysko, przedźnij mnie na dłoni włosy wyr sną, zanim pana sąd za niewinnego uzna. Pan siedzisz po uszy w tój historyi.

— Ej, majorze, odrzekłem, ja będę wolnym i po mojem uwolnieniu dam panu wiadomość o sobie.

— Zrób to pan, odpowiedział, a możesz być przekonany, że się szczerze tą wiadomością ucieszę.

— Dziękuję panu bardzo, odparłem, za łaskawą życzliwość jego, a tymczasem korzystając z tój życzliwości, proszę, jeżeli to się zgadza z przepisami służby pańskiej, abyś do żony mojej napisać raczył parę słów z doniesieniem, że zdrow jestem. Wszakże to tylko na uspokojenie obaw biednej kobiety, która nie wie co się ze mną stało i czy jestem jeszcze przy życiu.

Po krótkim namyśle zapewnił mnie, że napisze i — dotrzymał słowa. W parę tygodni później, pytał mnie, czybym nie chciał palić fajki lub cygara. Odpowiedziałem mu, żebym chętnie palił, gdyby wolno było.

— To pan zrób podanie, odrzekł, a ja je zabiorę i przedstawię komendantowi fortecy, generałowi Braudenstein a przekonany jestem, że na to zezwoli.

— A nie, odparłem, podania żadnego robić nie będę. Jeżeli wolno, to dobrze, a jeżeli nie wolno, to się obejść.

— Jaki z pana człowiek uparty, zauważył stary placmajor, to ja już biorę na moje odpowiedzialność i tytoni i cygara panu oddaję.

Podziękowałem mu i poczęstowałem go cygarem, które zaraz sobie zapalił.

— Ale pan w takiej ciemności siedzisz. może pan chce z zębem panu i świecę oddać?

— Ja nie nie chcę, ale jeżeli wolno światło palić, to wolę, niż ciemno siedzieć.

— Znowu to samo, odrzekł, ja takiego człowieka jak pan w mojem życiu nie widziałem.

— A to się cieszę niewymownie, że panu dostarczyłem takiego egzemplarza.

Przyniósł mi świecę i dodał, że ze mnie rzeczywiście ciekawy egzemplarz.

Obok mnie na dole, a'te o drugą ścianę siedział ktoś którego przywieziono z Galicyji. Porozumiewając się z nim za pomocą głosu, bo nie wiedziałem, czy zna porozumiewanie się przez pukanie w ścianę, prosiłem go, aby śpiewając głośno, opowiedział mi, co się w tamtych stronach dzieje. Wyśpiewał mi tedy na nieszczęście, że wszystko przepadło, i że chłopci mordują szlachtę w całej Galicyji. Na tę wiadomość pierwszy raz po mojem uwięzieniu gorzko zapłakałem. Więcej z nim porozumiewać się nie mogłem, bo mu śpiewać zakazano. Później dowiedziałem się, ale już w Moabitcie, centralnem więzieniu pod Berlinem, że wówczas ze mną siedział w Głogowie i Adolf Malczewski, ale po drugiej stronie odważu. Czy więcej nas jeszcze przewieziono do Głogowy, powiedzieć nie umiem, a nazwisko mego śpiewającego towarzysza niedol wyszło mi z pamięci.

Wkrótce potem przewieziono mnie do Sonnenburza. Było to więzienie przeznaczone dla przestępców i zbrodniarzy, ale w r. 1846tym wyprzątnięto jedno ze skrzydeł tego gmachu w gwiazdę budowanego i odiano je na pomieszczenie tymczasowe więźniów politycznych. Dyrektorem tego więzienia był niejakiś Borhart, człowiek już wiekowy, uczeziwy. Kilku z naszych, których tam pierwszych przywieziono, doznało od niego ludzkiego przyjęcia i to spowodowało komisją śledczą do przysłania na jego miejsce z Poznania na urząd dozórcy więźniów politycznych faworyta Frankenbergowskiego, nazwiskiem Szulz, który z całą surowością obchodził się z więźniami.

W Sonnenburgu zaszło kilka przypadków, o których nadmienić muszę. — W czasie kiedy uprzątano cele, więźniowie wychodzili na ganek, a naprzeciwko mojej celi było próżne okno, przy którym była cela Kosińskiego. Dowiedziałem się od współwięźniów, że Kosiński tak nieuleczalnie skoł-pramitowanym został zeznaniami Mierosławskiego, iż miał wszystko za stracone i sam straciwszy wszelką nadzieję wydobyć się z rozpaczliwego położenia, przyobiecał złożyć zeznanie swoje na piśmie. Korzystając razu pewnego z chwili, w której uprzątano moją celę, postarałem się z nim skomunikować i zaklinałem go, aby zanieszał nieszczyśliwej myśli przyznawania się do czegokolwiek, wystawiając mu żądanie skutki, jakie rząd dla sprawy, dla innych i dla niego samego wyniknąć mogły. Na to mi odpowiedział, że Mierosławski tak go skompromitował, iż wszelkie zaprzeczenia do niezagoby już doprowadzić nie mogły; że dla niego nie ma ratunku i że do wszystkiego przyznać się woli. Działo się to, o ile sobie przypominam, w miesiącu Maja a w tym czasie nikt z uwieczonych w Sonnenburgu nie był jeszcze pod śledztwem. Kosińskiemu przeto tylko zeznanie samego Mierosławskiego przedłożono.

Wiadomość o zamiarze Kosińskiego i zeznaniach Mierosławskiego rozeszła się jakby piorunem pomiędzy więźniami i wywołała przeciwko obydwom, ale szczególnie przeciw Mierosławskiemu ogromne oburzenie. Nazwano go „szuja“ i tylko tego przydomku w rozmowach o nim używano. — Nadmienić muszę, że okna cel więziennych tak były oświetlone, że zaledwo ręką do nich dostać było można, ale wszedźszy na soki, można było rozmawiać z sąsiadami pomimo rozstawionych straży, bo echo tak się odbijało, iż żołnierz nigdy nie mógł wiedzieć, w którym miejscu pomiędzy więźniami rozmowa się toczy.

Zeznania Mierosławskie wpłynęły na mnie silnie charakter, a słabe do zupełnego przywieść wypadku, jak tego dowodem memoriał przez Kosińskiego dla komisji śledczej sporządzony. Później jeszcze obszerniej się zastanowimy nad całą tą sprawą tutaj tylko wspomnę o dalszych wypadkach, jakie zaszły w Sonnenburgu.

Codziennie wypuszczano nas dla zachwycenia świeżego powietrza do ogrodu, przyległego do naszego więzienia, gdzieśmy mogli widzieć twarze uwiecznionych, a po części rozmawiać ze znajomymi. Że zaś co parę dni wypuszczano nas do ogrodu po drugiej stronie więzienia leżącego, mogliśmy i tam tak samo udzielać sobie wiadomości. Zdarzyło się więc, że po tój drugiej stronie zobaczyłem Karla Labelta w oknie, który mi powiedział po francuzku, że rzeczy źle idą, bo ci właśnie, którzy powinni by mieć jak grób, śpiewają przei komisją wszystko co im słyna do ust przynieście.

— Ha, to muszą coś wiedzieć, kiedy śpiewają, odpowiedziałem, ale my którzy o niczem nie wiemy, nie będziemy mogli nie wyśpiewać.

Następnie zobaczyłem Kuratowskiego Apolliniego w oknie.

— Olesiu, powiada do mnie, bardzo źle ze mną, bo mi odbierają sędzię ślepego, który jest uczciwym człowiekiem, a chcą mi dać Dunkera, którego się oświad.

Na to odpowiedziałem:

— Gdyby miał przysść do ciebie Dunker, to złap go za łeb i wyrzuć za drzwi, bo skoro byłeś pod śledztwem sędzię, nie potrzebujesz pozwolić się indagować przez policyjantów i to oświadczyć twojemu sędziemu i zaklinąć się na sio o, że tak zrobisz. — Zwrócić o cóż się masz oświadczyć kogokolwiek, kiedy nie nie wiesz, czego zwrócić nie możesz drobniejszych szczełolow to możesz niepaństwo.

— Więc nie nie mówić, powiadasz, choćby były bli?

— Nie, odparłem i tak zrobił jak ci mówię, a będzie dobrze.

Jakoż trzeciego dnia przechodził koło jego okna usłyszałem następujące słowa:

Niech ci Bog da zdrowie. Olesiu, twoja rada poskutkowała doskonale, bo kiedy mi sędzia oświadczył, że bardzo żałuje, iż mnie dłużej nie będzie mógł indagować, bo go odwołują do Berlina — ale że przynajmniej na jego miejsce naznaczony człowiek, który ze wszech miał zasługuje na szacunek, to jest pan radca policyi Dunker, oświadc-

czyłem natychmiast, p. sędziemu, że jak się Dunker powazy wejść do mojej celi, to go złapię za kark i za drzwi wyrzucę. Kiedy to powiedziałem, otwierają się drzwi i wchodzi Dunker, a mój sędzia zabrał częć przedźję papiery i wyprowadził Dunkera ze sobą za drzwi.

Już nie pomnę, kogo potóm Kurnatowski dostał za sędziego śledczego, ale z pewnością nie wiele lepszego od Dunkera, bo oni wszyscy nie wiele byli warte. Uczciwsi nie chcieli podjąć się tego obowiązku, a ci których komisya wybrała czyhali tylko na sposobność, aby podchwytujące ni pytaniami zmusić więźnia do zeznań kómpromitujących. — Przypadek tóż posłużył, żem pcczeiwego Kurnatowskiego uwolnił od Dunkerowskićj indagacyi, której się bielek bardzo obawiał i łatwo podstępny policyant mógł był z niego wyłudzić jakie kómpromitujące zeznanie.

W czasie naszego pobytu w Sonnenburgu odwiedzał nas co dwa miesiące człónkowie komisyi śledczćj, nibyto dowiadując się, czy zadowolnieni jesteśmy z żywności. — Niektórzy z naszych użalali się, że nam dają nie świeże, cuchnące mięso, ale ja odpowiedziałem zawsze, że jestem zadowolniony.

Przybył nareszcie sam pan Frankenberg, znany z zawziętości przeciw Polakóm, z którym już miałem dość nieprzyjemną rozmowę w Poznaniu na fortecy. Jakem tego pana wchodzącego do mojej celi zobaczył — krew się poruszyła we mnie. To tóż skoro mnie zapytał, jak jestem zadowolniony z jedzenia, odpowiedziałem, że jedzenie jest najmniejszą rzeczą i gdyby całe prawo człowieka tylko na tём polegać miało, wówczas byłibyśmy porównani ze zwierzętami, a nawet czuliibyśmy się niżej zwierząt traktowanymi, bo je tem przekonany, że Wasza Ekscelencya więcej masz troskliwości dla swoich psów i koni, bo z pewnością pytasz się każdego dnia, czy jeść dostały — nas zaledwie co dwa miesiące raz zapytają o to samo.

Na tę odpowiedź dozorca więźniów Szulz, który był z nim razem przyszedł do celi pobludł, bo jako podły słuźalec nie przypuszczał może, żeby tak wysokiemu dygnitarzowi można wprost powiedzieć, co się ma na myśli. Jego

Ekscelencya zaś wykrzywił usta, jakby do złośliwego uśmiechu i z wielorzną chęcią pogrążenia mnie, odrzekł:

— Niech pan nie sądzi, że komisya śledcza nie wie o pańskich sprawkach; my mamy zawsze wiadomości o pewnych zebraniach i uchwałach.

— To mnie bardzo cieszy, przerwałem, że panowie tak dobrze jesteście powiadomieni o wszystkim, bo w takim razie musicie wiedzieć, że ja całkiem jestem obcym podobnym zarzutem, jeżeli to co Wasza Ekscelencya dopiero powiedziałeś, ma przeciw mnie być zarzutem.

— Nie będziemy uprzedzali toku inlagacyi, odparł, z której się przecież prawda wysnuć musi.

— Tak i ja myślę, odpowiedziałem, żebyśmy lepiej inlagacyi nie opuszczali. Poczém Frankenberg uklonił się i wyszedł.

Co się mojej osoby tyczy, to byłem o wiele swobodniejszy na umyśle niż w Głogowie, bo mi ztąd przynajmniej wolno było pisać do żony mojej i miałem wiadomości od niej samej i o niej, że jest zdrowa; natomiast więzienie było daleko nieznośniejsze z powodu niezmiernej liczby plu-skiew, które przez całą noc spać nie dały i zaledwie nad ranem usnąć było można, gdy z ogromnym trzaskiem i hałasem przy odsuwaniu sztab żelaznych, któremi oprócz zamków więzienia nasze były zamykane, przynoszono nam śniadanie. Cele zaś były tak wąskie, że kiedy usiadłszy na łóżku oparłem się o jedną ścianę, mogłem bardzo wygodnie oprzeć się nogami o drugą. Przytém okna były obrócone na południe i upał słoneczny tak dogrzewał, że się trzeba było do koszuli rozebrać, aby mózdz wytrzymać w tém gorącu. Pół godziny na użycie świeżego powietrza przeznaczone, jeżeli kolój wypadła w godziny południowe, nużyło bardziej, jak siedzenie w celi: to też wielu z nas odmawiało przechadzki o tym czasie.

Pewnego dnia wywołałem ogromne zaniepokojenie w całym więzieniu wskutek następującego zajścia. Będąc przy oknie, zobaczyłem po raz pierwszy Anastazego Radońskiego, który wypuszczony na przechadzkę miał twarz bladą i minę strasznie zasmuconą. Mnie wzięła pustota zaśpiewania mu

przez okno jednej zwrotki z piosnek ulotnych z r. 1831go i zaintonowałem :

„Maszeruj wesoło,
Wypogódź twe czoło,
Tak rada uchwała,
Tralalalalala!”

Ostatni wiersz wszystkie piętra powtórzyły ze mną wśród śmiechu i krzyków, tak że żołnierz stojący na straży zadzwonił, sądząc, że więźniowie rewolucyą zrobili. Przybiegł naprzód podoficer od służby, następnie sam kapitan dowodzący załogą i wypalił do nas mowę na ustraszonego, że ma instrukcyę bardzo obszerną i że potrafi surowo ukarać podobne wybryki i dodał, żebyśmy nie zapominali, że żołnierze mają broń nabitą. — Dalszych wszakże poszukiwań nie czyniono, bo może mnie jako sprawcę tego hałasu byliby zapakowali do ciemnego lochu.

W Sonnenburgu przesiedzieliśmy do Września i przez ten czas trzech albo czterech może było pod indagacją, zresztą pozostałych uwieczonych śledztwo miało się odbywać w Berlinie, dokąd nas ekstrapocztami pojedynczo przewożono, a przewożenie owo było tak urządzone, żeśmy późnym wieczorem przybywali do Berlina.

Mnie wsadzono do Hausvogtei, gdzie dopiero w Grudniu rozpoczęto ze mną śledztwo.

Dostał mi się za sędziego śledczego Mikieta, prawdziwy rzeńśśnik w zawodzie kryminalnym, a oprócz tego człowiek bez czei i wiary, sięgający do śródków pruskim prawem niedezwolonych. Nadużycia jego wykryły się przy rokach sądownych i człowiek ten tak dobrze był sdominowany przez własnego protokol strę, że udawał chorego, ile razy miał się stawić na termin z oskarżającymi go więźniami.

Śledztwo, które prowadził ze mną w tém więzieniu trwało sześć tygodni z wyjątkiem Niedzieli, codziennie z rana od pół do 9tej do godziny 12tej i od godziny 2giej do 4tej wieczorem. W czasie tego śledztwa z pomocą pukania w ścianę celi, co mi było pozwolone z innymi więźniami, byłem przygotowany na to, że jeżeli i ze mną pozwolili sobie naj-

mniejszego brutalstwa, wyrnę go kalamarzem w twarz, zbiję skórę co się zmieści. Musiał zmiarkować mój zamiar, bo nigdy nie pozwolił wyjść choćby na chwilę swojemu protokółście a dla mnie był z uprzedzającą grzecznością. Sam przystawiał mi krzesło i odzywał się do mnie:

— Niech pan radzca raczy usiąść.

Jeszcze przed rozpoczęciem indagacyi zameldowałem się był, że chcę pisać do domu. Wpuszczono mnie więc do jego kancelaryi, gdzie tylko zastałem samego protokółlistę. Ten oświadczył mi, że ni nie wolno pisać gdzie się znajduję.

— Cóż to za nowa szykana? odrzekłem i z czyjego to polecenia takie obostrzenie nastąpiło, kiedy z Sonnenburga wolno mi było pisywać co tydzień i wymienić miejsce, gdzie się znajduję.

Na to pokazał mi nibyto reskrypt komisyyi śledczą prostą kartkę, bez podpisu i bez daty. Zobaczywszy ten dokument, domyśliłem się w tój chwili, że to jest pod-obiony rozkaz i powiedziałem, że się do tego nie zastosuję i poprosiłem, aby mi nazajutrz dano arkusz papieru dla napisania zażalenia do rzeczonyj komisyyi.

Jakoż nazajutrz napisałem zażalenie, ale odpowiedzi nie odebrałem; natomiast zawezwano mnie trzeciego dnia do bióra i pozwolono mi napisać w obecności owego protokółisty do domu z datą Berlin, ale bez wymienienia więzienia z zawiadomieniem mojej żony, że list do mnie ma adresować na ręce komisyyi śledczą. Zdaje się, że wskutek mojego wystąpienia chciał się na mnie zemścić Mikieta i kazał mi powietrzeć, że jeżeli nie każe sobie przysłać pieniędzy z domu, będą dostawał żywność przeznaczoną dla więźniów trzeciej klasy, w której znajdowali się zloczyńcy, lub porchwytań w mieście przez patroli nocne włóczęgi plei obojęj. Że zaś wiedziałem, iż na więźniów w klasie Haas-volta się znajdujących rząd przeznaczał codziennie po piętnaście srebrnych groszy na każdego, odpowiedziałem posłańcowi Mikiety, że mam prawo żądać dla siebie przeznaczonych przez rząd dla więźniów mojego stanu ovych 15 srebrnych groszy na dzień, a do domu napiszę, aby mi

przysłało co miesiąc 10 tal. co jak obrachowałem, wystarczyć powinno.

Znowu więc nie udało się Mikiecie szykanować mnie podobnymi sposobami. W toku indagacyi, kiedy mnie na żadnej odpowiedzi pochwycić nie mógł, powiedział mi raz jednego, że moje zapieranie się pogorszyć tylko może moją sprawę, bo przeciw mnie 1300 współoskarżonych zeznało.

— Jakto, zapytałem z zadziwieniem, więc współoskarżeni mają wiarę?

— Najzupełniejszą, odpowiedział Mikietę, daj pan słowo na to.

— To w takim razie, o brzemieniu z zimną krwią, niech pan pisze, że należę do związku, ale że mnie do niego przyjął pan Mikietę i jego protokółista p. Pągiewicz.

— To panu nie uwierzą, odpowiedział.

— Przepraszam, podług teoryi pańskiej, że jako współoskarżony, będę miał zupełną wiarę, a pan zaniast moim inkwizytem, będziesz m im kolegą więzienia.

Widać było w twarzy tego człowieka całą wściekłość, jaką pałał względem mnie i tylko powstrzymywała go obawa przedemną, jak to później opowiedział mi Pągiewicz, który pilnował przy widzeniu się z żoną moją. Powiedział mi dalej, że jak cieszył się na każdego z uwiezionych, którego miał indagować, tak zawsze miał strach potężny, kiedy ja miałem przyjść na śledztwo. Innym razem uderzył w strunę zaufania.

— Ja panu powiem, prawili, kto tego wszystkiego narobił, ale niech to pan zatrzyma u siebie, bo ja to tylko w zaufaniu panu powiadam. Tego wszystkiego narobił Malczewski.

— To niepodobna, odpowiedziałem.

— Daję panu słowo, że prawda; mam akta, z których znam jego zeznania, ale ich panu pokazać nie mogę, bo to nie wolno.

Wiedziałem, że to kłamstwo, bo byłem przekonany, że Malczewski niczego nie zeznał, ale chcąc Mikietę podrażnić, odrzekłem:

— Wiesz pan, co ja temu błaznowi zrobię?

Ucieszony Mikieta, że ja coś na Malczewskiego naga-
dam i że tym sposobem pokłóciwszy dwóch oskarżonych,
będzie mógł obydwóch w śledztwie zahaczyć, nadstawił uszu
i ciekawie zapytał :

— No ?

Ja odpowiedziałem :

— Każę mu, aby mi tego p publicznie dowiódł, co na
mnie nagadał.

Znowu widziałem w jego twarzy powstrzymaną złość,
a ja spokojnie bawiłem się piórem, nie uważając niby na
niego. Wreszcie niedługo przed końcem śledztwa, wyjął
z akt kopertę, pokazał mi ją i stanąwszy za krzesłem, za-
pytał, czy nie znam tego pisma ? Był to istotnie adres na-
pisany ręką do listu, który jeden z emisaryjuszy Centraliza-
cyi, nazwiskiem Tomasz Malinowski, był przed paru laty
pisał do sekretarza poczty w Dreźnie, Martina, będącego
pośrednikiem pomiędzy Poznaniem a Wersalem, i który ja
po niemiecku zaadresować musiałem, bo Malinowski nie
znał tego języka. Zobaczywszy owę kopertę, zacząłem pil-
nie spoglądać na nią, a czułem, że z tyłu Mikieta kiwa na
protokółistę, że mnie teraz złapał. Po dość długiej chwili
wpatrywania się w charakter pisma, powiedziałem z zimną
krwią Mikiecie :

— Wiesz pan, iż gdybym nie wiedział, że takiego li-
stu w życiu mojem nie pisałem, przysiągłbym że to moja
ręka.

— O, powiada, to *W* to zupełnie pański charakter.

— Widzisz pan, powiadam mu, że ja lepiej mogę od-
naleźć podobieństwo do mego pisma, niż ktokolwiek obcy —
w tym *W* właśnie widać naśladowanie, pewien przymus
ze strony piszącego, kiedy przeciwnie napisane po polsku
„in Dresden“, jest zupełnie do mego pisma podobne.

Na to osłupiał i nie wiedział co powiedzieć, ale wre-
szcie dorzucił :

— Nie podobna przecież, aby ktoś miał pańską rękę
naśladować.

— Najlepszy sposób, odrzekłem, zapytajcie tego Mar-
Pamięt. śp. Aleks. Gutt.

tina, czy on mnie zna i czy był kiedykolwiek ze mną w jakiej korespondencyi.

— No, tak, tak, odparł, ale może pan znasz tę rękę, która pisała list w téj kopercie przesłany — i pokazał mi list, który Tomasz Malinowski był napisał, jak już wyżej wspomniałem.

— Ta ręka, powiadam jest podobna do jakiegoś pisma które znam, ale sobie przypomnieć w téj chwili nie mogę, kto pod obcym pisze charakterem.

— Wszakże to pismo podobne do ręki Ślupeckiego? zapytał Mikieta.

— Jest podobieństwem, odrzekłem, ale to jednak nie jest jego pismo.

— Potém dopiero pokazał mi podpis, który zaczynał się od liter Śł., ale przekreślone obie litery zakrawały na H.

— Jakbyś pan czytał to nazwisko? zapytał mnie

Przypatrzywszy się, powiedziałem :

— To tak wygląda na „Huperlin.“

— Tak, odparł Mikieta, ale to mogłoby być także Ślupecki.

— A ja znowu powiadam, że mogłoby być Ślupiński.

Potém zapytuje mnie, czy nie wiem, kto ten list pisał.

— Złagrze ja o tém mogę wiedzieć, weźcie pod indagacyą Huperlina, Ślupińskiego albo Ślupeckiego, to może dojdziecie tego, kto pisał.

Nie mogąc nic wydobyć ze mnie, chciał mi podsunąć inne znaczenie mojego zeznania w protokóle i podyktował, że ja powiedziałem, iż wspomniany list pisał Ślupecki. Ja pozwoliłem napisać to w protokóle, ale jak przyszło do czytania, zaprotestowałem, że tego nie powiedział, co w protokóle napisano.

— Nic? a jakże pan powiedziałeś?

— Powiedziałem, że pismo podobne do pisma Ślupeckiego, ale dodałem zarazem, że to nie jest całkowiec Ślupeckiego charakter.

— Ależ to trzeba było zaraz zwrócić mi uwagę, kiedy dyktowałem.

— A co mnie do tego, odparłem, co pan dyktujesz, ja uważam wtedy dopiero, jak mi odczytują protokół.

Musiał kazać cały arkusz wyjąć i napisać tak jak zeznałem. Wszystko to jątrzyło go ogromnie i musiał się na mnie uskarżać przed inspektorem więzienia, bo tenże przyszedłszy raz do mojej celi na pogawędkę, zaczął się uśmiechać, patrząc na mnie tak, że mnie ta wesołość jego zniewoliła do zapytania, z czego się tak cieszy? Odpowiedział ze śmiechem, że Mikieta okropnie na mnie zawzięty

— To mnie mało obchodzi, odrzekłem, ale jego pan przestrzeż, żeby się miał na baczności ze mną, bo za najmniejszą niegrzeczność sprawię mu takie cięgi, że mnie całe życie popamięta.

Na to zrobiwszy minę poważną, odparł:

— Wiem, że śledztwu żadnego nie zrobię uszczerbku tém co panu powiem, bo od samego początku jak pana zobaczyłem, przyszedłem do przekonania, że sędzia śledczy nie z pana nie wydobędzie; ja przecież znam się na fizyognomiach, bo już wielu bardzo więźniom miałem sposobność się przypatrzeć. Otóż posłuchaj pan mojej rady i zatrzymaj nadal zimną krew, bo tym sposobem masz go pan w swojej mocy. Niech on się wścieka na pana, to lepiej, jak gdyby pana chwalił, a spokój pana przy śledztwie tak dalece go drażni, że on nie jest w stanie zachować zimnej krwi jaką pan zachowujesz — przeciwnie, gdybyś się pan uniósł, mógłbyś mu pan dać sposobność do wzięcia góry nad panem.

— Ja, odpowiedziałem, z najzimniejszą krwią mógłbym mu potężną sprawić łaźnię i cóżbyście mi mogli zrobić więcej? Chyba mi nałożyć kajdanki, które już niejednemu więźniowi politycznemu, większe daleko zasługi posiadającemu, jak ja, nieraz założono.

— To prawda, przerwał, ale zawsze radzę zachować zimną krew.

Inspektor ten nazwiskiem Franz był niezłym człowiekiem i tak dalece dla mnie względny, że w nowy rok zaprosił mnie do swego mieszkania wieczorem. Oczywiście nie przyjąłem tego zaproszenia z obawy, aby go ktoś nie

denuncyował, wskutek czego mógł być utracić swoją posesję. Na drugi dzień podziękowałem mu bardzo grzecznie i wymienilem powody, dla których z zaproszenia jego nie skorzystałem.

W parę dni później przybył do mnie z rana z miłą wesołą i zapytał, czy mnie hałas nocny nie zbudził.

— Słyszałem, rzekłem, jakieś krzyki, ale się nie mogłem domyślić, coby to być mogło.

— No, mieliśmy rodzaj buntu w naszej Hausvogtei. Przyprowadzono nam w nocy kilkudziesięciu wałęsających się przemyślowców i kobiet złego prowadzenia, schwytyanych przez nocne patrole. Nie mając próżnych miejsc, musieliśmy zasaażić wszystkich mężczyzn do jednego więzienia, a obok nich wpakowano wszystkie kobiety. Tymczasem w nocy te łowcy przebili ścianę do kobiet i wszyscy przeszli do ich oddziału. Jak długo trwał ten improwizowany bal, nie umiem powiedzieć, ale krzyki, hałasy i śmiechy zwróciły uwagę posterunków i ci znaleźli, że się coś nadzwyczajnego dzieje w tych więzieniach. Nie mogliśmy tym łotrom dać rady i musieliśmy sprowadzić wojsko, które ich kolbami do porządku przywróciło. Musiano i przeciw kobietom użyć gwałtu, bo nie chciały dobrowolnie pójść do innego więzienia.

— Ależ to widzę, u was żartów nie ma, dodałem, a obok mnie siedzi jakaś kobieta, która po całych dniach głośno ze sobą prowadzi rozmowy, już to modląc się, już też przygotowując sobie odpowiedzi na możliwe zapytania sędziego śledczego.

Chciałem się pozbyć tej sąsiadki, bo nam przeszkadzała w pukaniu w ścianę, a nademną miał kwaterę Apolinary Kurnatowski, z którym po całych nocach porozumiewaliśmy się w ten sposób, że on chodząc wydeptywał litery, ja znowu wszedźszy na stółek w sufit uderzałem cybuchem tak, że nikt nie mógł pomiarkować, a tém mniej podejrzyc, że chodzenie po celi jest sposobem porozumiewania się pomiędzy więźniami, ile że ja uderzenia w sufit ściśle stósowałem do odgłosu, jaki kroki Kurnatowskiego sprawiały. — Inspektor zaręczył mi, że niedługo sąsiadka moja mnie

opuści, bo będzie powołaną przed sędziego śledczego. Jakoż w trzech dniach nie było jój już w celi, ale my z Kur-natowskim pozostaliśmy przy dotychczasowym sposobie porozumiewania się z obawy, aby na miejsce niewiasty nie wpakowano szpiega, któryby nas mógł posłuchiwać. Ni dlugo jednak już trwała nasza korespondencya, utrzy-mywana za pomocą nóg i cybucha, bo około 15go Stycznia 1847go r. zamknięto śledztwo ze mną i w parę dni prze-wieziono mnie do Moabitu. Nadmienić tutaj muszę, że przez cały przeciąg toczącej się ze mną indagacyi oka zmru-żyć nie mogłem w nocy. Miotła mną obawa, aby kogo ze współoskarżonych nie skompromitować, lub odpowiedziami moimi własnej sprawy nie narazić.

Po ukończeniu zaś śledztwa spałem tak spokojnie, jak gdybym się na wolności znajdował. Taki wpływ wywarło przeświadczenie, że nikomu nie zaszkodził, a w własnej sprawie zeznaniami moimi mocno podkopałem ważność zar-zu'tów i obwinień, jakie na mnie ciążyły.

Po przewiezieniu mnie do Moabitu sekretarz tego wię-zienia, który mi towarzyszył, zaprowadził mnie do bióra dyrektora, nazwiskiem Grabowskiego, który pomimo że był Niemcem, chętnie się wywodził z polskiej familii i wielką miał dla Polaków sympatya. Nie wiedząc zrazu, co za człowiek, byłem z nim bardzo grzecznie, ale zimno; on je-dnakże tém się nie zraził i szukał po prostu ze mną przy-jazni, której mu odmówić nie mogłem. Kiedy już byliśmy ze sobą na stopie zażyłości, wymawiał mi po parę razy, że go z taką oziębłością traktowałem. Przeprasilem go jak najszczerzej, prosząc, aby uwzględnił okropne położenie więźnia, który do tej pory otoczony był ludźmi największą zaciętością przeciw niemu pałającymi.

W Moabicie mieścili się w dwóch skrzydlach wszyscy aresztowani w r. 1846tym za należenie do związku narodo-wego. Przez okno wszakże nie można było nikogo widzieć, bo szkło było kratkowane i bardzo niemiłe światło wpuszcza-ło do celi; okno zaś otwierało się z góry na dół, a było umieszczone tak wysoko, że nawet wszedzszy na stółek, moż-na było widzieć tylko niebo i mury otaczające więzienie,

Z przechadzającymi się zaś współwięźniami na dziedzińcu można było wprawdzie przez otwarte okna rozmawiać, ale głosem tak podniesionym, że nikt przypuścić nie mógł rozsądnie, aby więźniowie mogli sobie udzielać jakiegokolwiek wiadomości sprawy związku dotyczącej.

Pewnego razu jednak — było to już kilka tygodni po przewiezieniu mojem do Moabitu i wtenczas już z dyrektorem Grabowskim byłem na stopie zupełnie przyjaznej — zdarzyło się, że Adolf Malczewski przechodzący koło mego okna zaczął mnie konceptem dość lichym, na co mu odrzzyknąłem:

— Łżesz jak Henryk.

Henryk P. posłyszał tę rozmowę i wskutek niej podał zażalenie do sądu kameralnego. Zrobiła się z tego wielka historia i dyrektora Grabowskiego pociągnięto do wytłomaczenia się z zarzutu, że więźniom za wielką wolność daje. Grabowski mocno zmartwiony tym wypadkiem, przyszedł pewnego razu do mojej celi i prosił, abym mu powiedział na słowo, jaka to była rozmowa moja z Malczewskim. Powiedziałem mu i zaręczałem pod słowem honoru, że rozmowy we właściwem tego słowa znaczeniu nie było, że Malczewski powiedział na mnie koncept nie bardzo stosowny i ja mu na to odrzzyknąłem: „Łżesz jak Henryk P.“ — to było wszystko i ani słowa więcej nie rozmawialiśmy, o porozumiewaniu się więc nie mogło być mowy. Grabowski podziękował mi szczerze i żalił się, że Henryk P. z tych kilku nic nie znaczących wyrazów ulepił sążniste oskarżenie do sądu kameralnego. Zaręczałem mu więc, że odtąd ani słowem nie odezwę się przez okno.

W kilka tygodni potem przyszedł do mnie pewnego dnia z rana o godzinie Smiej Grabowski i powiedział mi, że mój sędzia śledczy Mikieta tak mnie oskarżył przed prezesem sądu kameralnego, że po prostu zrobił ze mnie dzikiego człowieka, i że prezes powziął myśl poznania mnie osobiście i że z pewnością za pół godziny najdalej odwiedzi w tym celu więzienie.

— Staraj się pan zrobić na nim dobre wrażenie, dodał, bo tym sposobem zdołasz zubożyć fałszywe denuncjacye Mikiety.

Niedługo potem przyszedł do mojej celi pan prezes po zwykłej prezentacji zapytał mnie o zdrowie. Pożyczykowałem bardzo grzecznie i dodałem, że z mojem zdrowiem jest wiec lepiej. Na to odezwał się Grabowski:

— Tego pana wpakowano w Poznaniu na fortecę aż dwa piętra pod ziemią, do tak wilgotnego lochu, że wskutek tego dostał bardzo mocnego reumatyzmu w nodze.

Ja zachowałem się zupełnie spokojnie. jak głyby nie o mnie była mowa i widziałem po minie p. prezesa, że go zadowolniło moje zachowanie się skromne i całkiem bierne. Zaczął ze mną potem rozmawiać o rozmaitych przedmiotach, a ja odpowiadałem zupełnie spokojnie i gdy się nadarzyła sposobność, pozwoliłem sobie powiedzieć jaki niewinny dowcip, który nieraz bardzo rozśmieszył p. prezesa.

Rozmawialiśmy tak ze sobą więcej jak pół godziny, poczem p. prezes podał mi rękę i pożegnał się ze mną.

W niespełna godzinę powrócił do mnie dyrektor Grabowski uradowany i zaraz na wstępie opowiedział mi, że prezes bardzo mnie sobie opodobał i wydziwić się nie mógł. żąd Mikieta z taką zawziętością przyczepił się do mnie i niezasłużonymi oskarżeniami obarczył. Grabowski powiedział mu na to, że Mikieta stara się zaszkodzić każdemu z oskarżonych, ale że przeciw mnie jakąś osobistą zemstą pałać musi i na każdym kroku przesładować pragnie.

— Zawsze, dodał Grabowski, wizyta prezesa może dobry wpływ wywierać na sprawę pańską.

Jakoż przy stanowieniu wyroków, trzech sędziów było za skazaniem na śmierć, trzech innych głosowało za uwolnieniem mnie od skargi; do tych ostatnich przyłączył się prezes i uwolniono mnie od teje.

Mikieta nie zadowolnił się na oskarżeniu mnie przed prezesem sądu, ale jeszcze odmalował mnie z równą zawziętością przed królewskim prokuratorem, jak mnie o tém zawiadomił Grabowski i w kilka dni potem pan prokurator kazał mnie przywołać na ganek, także w celu obejrzenia mnie i przekonania się naocznie o prawdzie słów tego mojego oskarżyciela. Chodził ze mną po ganek może z kwadrans, ale bardzo mało ze mną rozmawiał i wszystko z mi-

ną urzędową; ja też krótko mu odpowiadałem i konferen-
cya nasza wkrótce się zakończyła.

W kilka tygodni później wszyscy oskarżeni odebrali
skargę prokuratora drukowaną.

Nieznany jest dotąd publiczności prawdziwy przebieg
wypadków zaszłych w więzieniu po aresztowaniu związko-
wych w Lutym 1846go r. Moraczewski zaledwie pobieżnie
i nie z zupełną dokładnością i świadomością rzeczy o nich
pisał; to zaś co Mierosławski w dwóch wydaniach sławnego
swego dzieła: „Powstanie Poznańskie“ o sobie i innych z
właściwym sobie talentem opisuje, zostaje do wypadków i
osób które w nich udział brały, w takim samym stosunku,
jak romans na tle historycznym osnuty do prawdy i rze-
czywistości, chociaż tutaj bardzo ważny jeszcze wzgląd przy-
chodzi, że autor we własnym interesie zmuszony był nagi-
nać lub przekręcać wypadki, stosując do nich działania
osób, nie dla tego, iżby takie miało być jego przekonanie,
ale jedynie dla potrzeby wynikającej z planu własnej obro-
ny i systemu potwarzy, która wszędzie główną część obrony
jego stanowić musi. Chodziło mu głównie o zrzucenie wła-
snej winy na innych, o zatajenie całkowite prawdy, obok
tego zaś o napisanie sobie samemu nie tyle zasłużonej ile
kolosalnej pochwały. Z tego powodu zmuszony jestem spro-
stować wiele twierdzeń, które Mierosławski w wyżej wywie-
nionym dziele z podeptaniem prawdy na uniewinnienie swo-
je zamieścił.

Jak już wyżej wspomniałem, po przewiezieniu większej
części więźniów do Sonnenburga, więzienia dla złoczyńców
przeznaczonego, udało mi się podobno w Maju 1846go r.
skomunikować się z Kosińskim i starałem się odwieść go
od zamiaru pisania dla komisji śledczej memoriału, który
w skutkach swoich mógł być bardzo szkodliwym dla współ-
więzionych. Kosiński wyznał mi, że go Mierosławski w
zeznaniach swoich o podróży do Krakowa tak bardzo skom-
promitował, że podanych przez niego szczegółów zaprzec
się nie może. Kiedy się to działo, nikt jeszcze z główniej-
szych związkowych nie był pod śledztwem, a Kosińskiemu
wówczas żadnych innych protokółów nie przedkładano z

wyjątkiem zeznań zacnego Mierosławskiego. Komisya zatem śledcza wyludziła z Kosińskiego ów własnoręczny memoriał jedynie wskutek zeznań Mierosławskiego, a na podstawie obu tych dokumentów wymuszała z innych zeznania, wystawiając każdemu, iż wobec tak wiarogodnych dowodów, dłuższe tajenie prawdy nie może mieć żadnego celu i tylko pogorszyć musi położenie tych, którzy wbrew oczywistości nie zechcą przyznać się do winy.

Nie wiadomo wprawdzie, czy Mierosławski od razu porobił zeznania swoje, czy też przez czas jakiś zaprzeczał wszystkiemu, ale to pewna, że on pierwszy je złożył przed komisją śledczą, że on spowodował przez to zeznania Kosińskiego, a później kilku innych jeszcze związkowych, jako też i to jest prawdą, że nikt inny nie złożył tak obszernych, tak szczegółowych i tak nazwiskami uzupełnionych zeznań, jak on właśnie.

Że taka zbyt szczerą spowiedź jednego z naczelników spisku przeważnie wpłynąć musiała na innych związkowych, jak tego oczywisty na Kosińskim mieliśmy dowód, że zachwiać musiała mniej silne charaktery, a słabe do zupełnego przywieść upadku, nikt nie może wątpić nie zechce, komu choć cokolwiek wiadome są przejścia indagacyi śledczych.

Zachodzi teraz pytanie, co mogło spowodować Mierosławskiego do tak bezwzględnych i niewczesnych zeznań? Być może, iż z jednej strony, jak powszechnie mniemano, wpływać mogły pogrożki oddania go w ręce Moskwy, jeżeliby całe nie wypowiedział prawdy; lecz z drugiej strony, jak to sam wyznał w więzieniu — mnie i Białoskórskiemu, mógł się poszczycić łatwowiernością, z jaką dał się złudzić zaręczeniom sławnego policyjanta Dunkiera, który go upewniał, że jest niepodobniem dla rządu karać tylu obwiniętych, że wskutek tego musi nastąpić amnestya, którą król pruski postanowił udzielić oskarżonym, tylko że przed jej ogłoszeniem chce mieć dokładną wiadomość o celach związku i jego rozgałęzieniu. Oczywiście więc, że w takim położeniu rzeczy im w obszerniejszych rozmiarach związek przedstawi się rządowi, im więcej osób będzie skompromitowanych, tém łatwiej nastąpi przyrzeczona amnestya. Mie-

rosłowski ścigał takimi przyrzeczeniami Dunkiera nie szczędził ani szczegółów, ani nazwisk, sądząc zapewne w niepojętej naiwności swojej, że tym sposobem tylko przyspiesza amnestją dla siebie i tych, których oskarżył. Dwa tylko zarzuty odpierał ze stałością, to one głównie własnej jego osoby dotyczyły, a mianowicie, że ruch 46go r. nie miał na celu wojny z Prusami o odzyskanie Księztwa i zabranych prowincyi polskich, lecz że był wyłącznie przeciw o samej Moskwie wymierzony, a tylko z pomocą zabraną Prusakom broń, miał być wykonany; -- i to było prawdą, rzecz drugie, że nie mając zamiaru rozpoczynać z Prusami wojny, nie mógł wydawać w instrukcyach swoich rozkazu do wyprawienia Niemcom niesporów sycylijskich; że zatem do takich ten ktoś z podwładnych bez jego wiedzy i zezwolenia w instrukcyach zamieścić musiał, czy jest prawdą, powiedzieć nie umiem. Po za tem Mierosławski nie i nikogo nie zataił.

Rzecz jasna, iż przy śledztwie każdy z główniejszych obwinionych miał zeznania jego przeciw sobie, a skarga prokuratora na tych właśnie zeznaniach się opierała i ząd przeciwko niemu tak powszechnie powstało oburzenie. Jakże, mówiono, człowiek tak lekkomyślny, tak słabego charakteru, śmiał stawać na czele ruchu narodowego? Jakąż rękojmnią złożył na to narodowi, że uczciwie i dobrze pokieruje sprawą publiczną, kiedy za ledwie dostał się do więzienia, od razu wydał cały związek i jego uczestników? Zarzuty były słuszne, chociaż czasami zadaleko je posuwano, bo aż do wyrzucania mu otwartej zdrady. Ale czyjaż to wina, że tak nisko upadł w opinii ziomków swoich?

Wyjawienie przez niego nazwisk tak wielkiej liczby spiskowych przy śledztwie przedwstępniem, kiedy jeszcze o zaprowadzeniu procedury jawnej nikt z uwięzionych wiedzieć nie mógł, bo ona o wiele później reskrytem królewskim ustanowioną została, takie, mówię, wyjawienie, nie mogło mieć żadnego politycznego charakteru, kiedy, jak widzieliśmy, było raczej owocem słabości i łatwowierności do nierozumu posuniętej.

Komu obowiązek uczciwego człowieka nakazywał naj-

ściślejsze milczenie względem osób i spraw związkowych, ten złamawszy go nie miał prawa nadawać później znaczenia politycznego zdradzoną przez siebie tajemnicę, jak to Mierosławski w dziele swoim „Powstanie Poznańskie“ przedstawić usiłował. Wszakże głównie wskutek zeznań jego niektórzy obwinieni nieuleczenie i na cofniętych, dotykanych dowodach skompromitowani zostali przed sądem pruskim. A przecież, jak sam wyznał mnie i Białoskórskiemu, wszystkiego z początku się wypierał i dopiero gdy mu pokazano na koszuli cyfrę L. M. przyznał, że się nazywa Mierosławski i odtąd zaczął zeznania swoje składać. Wszakże jemu z wszystkich uwiezionych najmniej było wolno dopuszczać się takich ciężkich przewinień, których głos publiczny nie przebacza żadnemu związkowemu, a tém mocniej potępiać. Je musi w naczelniku sprzysiężenia.

Mierosławski wtedy tylko byłby miał prawo dopominać się szacunku współziomków, gdyby w dochowaniu tajemnicy dotrzymał im był tej solidarności, jakiej się po złożeniu zeznań swoich już tylko w własnym interesie niesłusznie od nich domagał. Dawszy przykład wytrwałości i stałego charakteru innym, nie byłby potrzebował potem zebrać poparcia tych właśnie, których opinia współziomków razem z nimi potępiała, ani byłby potem potrzebował w dziele swoim a wyżej wspomnianém oskarżać przed opinią publiczną tych, którzy summiennie dochowawszy zaprzysiężonej wiary, usunąć się musieli od niego w chwili, kiedy po ukończeniu śledztwa przeprowadzono więźniów do Moabitu i Mierosławski i niektórzy z tych co pod śledztwem wygadali wszystko o czem wiedzieli, mogli się byli wkrótce przekonać, jak stoją odosobnieni, upokorzeni i grubo obarczeni odpowiedzialnością wobec tych, którzy w niczem nie zdradzili tajemnic związkowych; jak powszechnie było przeciw nim oburzenie, kiedy nieraz posłyszeć musieli nazwiska swoje z niemiłym jakim dodatkiem, który głęboko boleć musiał.

Aż do tej pory ci wszyscy co lekkomyślnie zeznawali pod śledztwem trzymani w ścisłym odosobnieniu, mogli niepojmować dokładnie całego ogromu ciężkiej na nich odpowiedzialności, a zeznania Mierosławskiego mogły być dla

każdego z nich niejakim własnej winy usprawiedliwieniem przed sobą; mogli nawet nieprzewidywać srogięgo wyroku potępienia, jaki na nich współoskarżeni i opinia kraju wydać miała.

Ale w Moabicie, kiedy wszelkie pod tym względem wątpliwości zamienity się w straszliwą rzeczywistość, najtwardszym nawet grzesznikom spaść musiała z oczu zasłona i zachwiało się i zaniepokoiło milczące może dotąd sumienie. Czuli się więc strasznie przygnębionymi i byłiby gotowi wszystko zrobić, byle naprawić zło, które współoskarżonym i zaczęj sprawie przysiężenia zeznaniami swojemi wyrządzili. Ale i reszta przysiężonych, a mianowicie naczelników związku, srogo dotkniętą została tém położeniem sprawy związkowej. Wszyscy ci, którzy tak niebacznie i nieroztropnie dali się pociągnąć do zeznań pod śledztwem, byłiby musieli stawać na oczy oskarżonym przez siebie współwzięniom i nie tylko przeciw nim świadczyć, ale co gorsza i oskarżać ich publicznie przed sądem pruskim. Chodziło więc głównie o odwołanie poczynionych zeznań, które może już ani im samym, ani oskarżonym przez nich współwzięniom dopomóc nie mogły, ale o tyle były ważne, że co najwyżej je, nie byłoby już stawali na oczy tym wszystkim, których pod śledztwem oskarżyli.

Tym więc sposobem oddać mogli przysługę sprawie przysiężenia, skoro tym aktem skruchy i zwrotem na drogę obowiązku mogli okazać, że chcą pozostać wiernymi zaręczeniom, jakie składali wtedy, kiedy ich do związku przyjmowano. Bo czemuż jest odwoływanie zeznań własnych przed sądem publicznym, jeżeli nie oczywistym uznaniem własnej winy, jeżeli nie publicznem rozdaniem aktu oskarżenia, przeciw kolegom przy śledztwie złożonego?

Te chwile ogólnego ukoorzenia, w jakim się znajdowali ci wszyscy, którzy pod śledztwem zeznania porobili, uchwycił wreszcie Adolf Malczewski i za pomocą wyrobionych przez siebie komunikacji w więzieniu zdołał nakłonić winnych do odwołania swoich kompromitujących zeznań. Pierwszy Kosiński, uznawszy otwarcie i szczerze błąd swój przed kolegami, postanowił odwołać przed sądem wszystkie zeznania swoje.

Trudno opisać, ile człowiek ten cierpiał moralnie; rozpacz malowała się na wynędzniałej ze zmartwienia twarzy; sam siebie najciężej obwinał i szukał jakby ulgi w robieniu sobie cierpkich wyrzutów, których wyjątkowo przeciw niemu nikt ze współobwinionych nie podnosił.

Wiedzano bowiem powszechnie, że owe niemiłosierne szeregowe podania Mierosławskiego co do podróży do Krakowa zmusiły go do przyznania się, że w niej brał udział, a przyznawszy się do niej, nie umiał wyprzeć się znajomości z Mierosławskim, a przyznawszy to jedno, nie umiał wyprzeć się reszty. Współczucie dla Kosińskiego było ogólne, bo wiedzano, że odwołanie zeznań w własnoręcznym jego piśmie zamieszczonych, będzie dla niego niepodobnem. Radzono mu zatem, aby się ograniczył jedynie cofnięciem zeznań swoich w kwestyach, któreby innych kompromitowały i przeciw nim służyć mogły za dowód; a co do siebie samego, aby nie próbował nawet zapierania się wobec sądu, bo tylko po raz drugi skompromitować się może. Ale żal z niedotrzymania kolegom zaprzysiężonej solidarności płynący i poczucie obowiązku nie dozwoliły mu posłuchać prośb i przedstawić przyjaciół; oświadczył, że bądź co bądź odwoła wszystko.

Wiem, mówił, że się skompromituję przed sądem, ale to będzie zasłużoną dla mnie karą za złamanie uroczystą przysięgą stwierdzonego obowiązku dochowania tajemnicy.

Za przykładem Kosińskiego poszli inni i tylko ciężką nierównie winą obarczony Mierosławski chciał na razie wmówić we wszystkich, że inaczej pojmuje obowiązki demokracji spiskowego.

Na pierwsze przedstawienie Adolfa Malczewskiego Mierosławski, chcąc winę swoją tak dobitnie przy śledztwie zadokumentowaną osłonić pozorami zasad, które niby tam chciał reprezentować, odpowiedział dumnie, że **demokracja** wolująca, do której on należy, przyznaje się otwarcie do zamiarów swoich; że postąpił w obecnej sprawie, jak mu ze stanowiska, które zajmował postąpić należało; że inni powinni pojąć za jego przykładem i przyznać się do wszystkiego, bo tego wymagała godność narodowa.

Wszystkie te deklamacye nie zmieniły przekonania współwięzionych o jego winie i ani na włos podnieść lub chociaż zobojętnić téj winy przed nim nie zdołały. Zeznania jego przed Dunkierem były zbyt szczegółowe, zbyt nieoszczędzające losu mnogich rodzin, aby do powyższych słów jego można było jakąkolwiek przywiązywać wiarę. A i sam Mierosławski pewnie jój nie przywiązywał, bo nie podobna przypuszczać, aby nie wiedział, ilu ludzi pogrążył w nieszczęściu, ile rodzin przeklinać go musiało. Surowość zaś, z jaką Prusacy postępowali z więźniami przed i w czasie śledztwa samego, nie pozwalała najograniczeńszemu nawet umysłowi poddawać się złudzeniom, że rząd w interesie amnestyi chciał odegrać jakąś polityczną komedyą ze związkowymi.

Przyszłość, jaką Mierosławski zgotował dla tych wszystkich, których wdał, nie mogła nikomu być wątpliwą. Kodeks karny pruski zawiera tylko dwa przepisy odnoszące się do tego rodzaju przestępstw politycznych — śmierć lub długoletnie więzienie. Jakże można było pogodzić poprzednie jego zeznania z zasadami, które wypowiedział potem? Czemże mogły być w oczach związkowych późniejsze jego powoływania się na spełnienie obowiązków Polaka, na potrzebę poszanowania godności narodowej, kiedy dawszy się opętać tak osławionemu szpiegowi jak Dunkier, pierwszy zdeptał owe święte obowiązki, pierwszy własną i narodową godność spuścił z oka?

Nie licząc tych, którzy własną winą wtrącili się w przepaść bez ratunku, a których liczba wcale nie była tak wielką, zostawała ogromna większość takich związkowych, którzy niczego nieznali pod śledztwem, a których zeznania Mierosławskiego i kilku jego towarzyszków narazić mogły na śmierć lub długie i ciężkie więzienie, których związki mogły być zniszczone kosztami procesu i karami pieniężnymi dorównywającemi konfiskacie, jak tego dowodem mogły być wyroki po r. 1831szym, wydane przeciw tym wszystkim, którzy wzięli udział w ówczesnym powstaniu. Z tego to powodu ważnem było odwołanie zeznań przed sądem, bo jeżeli nie mogło nie pomódz tym, którzy własnymi przeciw

sobie samym zeznaniami wykopali dla siebie przepaść, z której nie ich uratować nie mogło, to przecież takie odwołanie mogło zubożnić lub nadwyrężyć przekonanie sędziów z owych pierwszych zeznań powzięte. W najgorszym zaś razie oszczędzało im sromotnej hańby występowania przed sądem i publicznością, jako oskarżycieli własnych ziomków swoich.

Kiedy Mierosławski otmówił odwołania zeznań swoich, wtedy, kilku z główniejszych związkowych powzięło szlachetny lubo w tém położeniu bezskuteczny zamiar uratowania własną ofiarą całej masy oskarżonych. Na jednym z nocnych zebrań, podobno w celi Adolfa Malczewskiego zeszło się kilkunastu główniejszych spiskowych i naradzali się nad tym właśnie projektem, czyby przez dobrowolne poświęcenie się kilku przywódców sprzysiężenia nie można uwolnić od wszelkiej odpowiedzialności przed rządem reszty uwięzionych.

Było nas około dwunastu zebrałych. Pamiętam tylko Apol. Kurnatowskiego, Garczyńskiego Józefa, Malczewskiego Adolfa, Guttrego Aleksandra, Anastazego Radońskiego i Małteckiego Teofila. Żaden z wymienionych lub przy naradzie owój obecnych nie zdradził w niczem tajemnicy związku, projekt więc, o którym wspomniałem, nie miał na celu zakrycia własnej winy, tak jak projekt, który Mierosławski doradzał w własnym interesie.

Kwestya tak ważna nie mogła być na razie rozstrzygniętą, zachodziły bowiem ważne pytania, które wpieryw dojrzale rozebrać należało, mianowicie: czy sprzysiężonym wolno wogóle przyznawać się do udziału w związku, skoro ich do zachowania tajemnicy najuroczystsza zobowiązywała przysięga; powtóre, żeby takim wystąpieniem nie rozgrzeszało się właśnie tych, którzy ją samowolnie pogwałcili pod śledztwem, a nawet czy się nie osłaniało jawnej zdrady, jak wówczas powszechnie prawie utrzymywano; *) nareszcie, czy

*) Na powyższém zebraniu bardzo silne posądzenia objawiły się przeciwko Henrykowi Sowińskiemu. Anastazy Radoński przyznał się, że odebrawszy polecenie do zawie-

rząd pruski chciały się zadowolnić tą dobrowolną ofiarą kilku i czy wogóle zechce wejść w podobną umowę z uwięzionymi — i to było najglówniejsze.

Otóż co do ostatniej, najważniejszej kwestyi, zdanie pomocników, których rady zasięgnano, było wprost przeciwnem zamiarowi związkowych. Wedle nich (prawników) rząd wogóle nie byłby chciał wchodzić w żadne umowy z obciążonymi o zbrodniczą stan, nie mógł zaś tamować roz-

zienia wiadomości w dniu powstania w te powiaty, które mu były przeznaczone, zaczął wychwalać to rozporządzenie w obecności Wolniewicza, Sokolnickiego, Białkowskiego i Henryka Ponińskiego. Uderzyło go mocno, ale nareszcie wtedy dopiero, kiedy już był wszystko wypowiedział, że H. Poniński bardzo ebciwie się dopytywał o wszystkie szczegóły tego rozporządzenia, a w końcu zagadnął jego samego, które on (Radziński) powiaty miał dla siebie przeznaczone. Każdy człowiek jest zwykle ostrożniejszym, kiedy o własną jego skórę chodzi; to też pocziwy i zacny Anastazy Radziński zmiarkował, że lepiej nie wynętrzać się całkowicie ze szczegółami, które równie jak całe polecenie miały zostać tajemnicą samym tylko wysłańcom znaną tak dalece, że żaden z nich nie wiedział o drugim, ani o powiatach, jakie któremu były przeznaczone.

Odpowiedział więc, że on na skrajne powiaty przeznaczone, poczem Henryk Poniński wychodząc wpadł w niezwykły zapal i oświadczył, że gotów żonę i dzieci poświęcić dla dobra sprawy publicznej. Skoro wyszedł, Wolniewicz odezwał się do pozostałych:

— Przysięgnę, że ten człowiek nas zdradził.

Przy śledztwie mordowano nieustannie Anastazego Radzińskiego, żeby się przyznał, iż był jednym z wysłańców przeznaczonych do zawiezienia wiadomości w dniu powstania, i że dla niego były przeznaczone powiaty na Krajuńce, tj. prawym brzegu Noteci leżące. Że zaś na owem wyżej wspomnionem zebraniu powiedział obecnym, że mu przeznaczono skrajne powiaty, rzeczywista, że ktoś z obecnych musiał o tym szczególe powiadomić władze pruskie. Że zno-

poczętego biegu sprawiedliwości, skoro sprawa cała powierzona już była umyślnie na ten cel przeznaczonemu sądowi. Przyjęcie zaś na siebie całej winy przez kilku oskarżonych mogłoby jedynie sądowi posłużyć za dowód przeciw nim samym, ale na los innych o karzonych niczém wpłynąć nie było w stanie.

Wspominałem o tój małej komu dotąd znanój okoliczności i kładę na nią nacisk, już to, aby pokazać na co

wu z owych, którzy się na tym zebraniu znajdowali, Wołniewicz zdołał ująć za granicę, a Sokolnicki i Białkowski nie nie zeznali pod śledztwem, Radoński zaś nie mógł się przyznać do powiatów na Krajnie, bo tam od dwóch lat nie był, a przewidziane mu były powiaty nadgraniczne: Pleszewski, Ostrzeszowski itd., miał więc podejrzenie słuszne czy niesłuszne, że Henryk Poniński musiał o tём przed indagacją zeznać.

Oprócz tego Ignacy Singer, oficer z wojska polskiego, który także był aresztowany, gdy go w Poznaniu wypuszczono do ogrodu na świeże powietrze, zaraz na drugi dzień po swoim aresztowaniu, a więc w miesiącu Marcu opowiadał, że wpuszczono do niego Henryka Ponińskiego, którego poprzednio nie znał i że tenże zapytał go, za co aresztowany. Singer odpowiedział na to, że nie wie i domyślić się nie może, dla czego się znajduje w więzieniu. Na to miał mu Henryk Poniński powiedzieć, że wołał się przyznać do wszystkiego, bo to Guttry i Kurnatowski zdradzili.

Że rzecz sama była zdradzoną, a mianowicie co do wysyłki owych czterech przysiężonych na powiaty, dowodziło to, co mi Kurnatowski Apolinary w drodze z Dominowa do Poznania był opowiadał o owym sołtysie, który był przyszedł do profesora Kas-yusza i zawiadomił go, że komisarz obwodowy zawezwał wszystkich sołtysów i nakazał im pilnie mieć baczenie na przyjeżdżnych panów, bo wysłani zostali w powiaty „do opowiadania rewolucyi.”

Ostatni przypadek naprowadzał na myśl, że tego samego dnia, w którym Anastazy Radoński tak niepotrzebnie opowiadał o wysłaniu obywateli w powiaty Księztwa, że w

się mogły przydać zeznania przed sądem składane, już tóż, aby przekonać, o ile zasługują na wiarę zarzuty Mierosławskiego, kiedy obwinia spiskowych o egoizm, brak obywatelstwa i niepojmowanie obowiązków narodowych.

Owóż widzimy tutaj dość wyraźnie, po czyjjej stronie było poszanowanie obowiązków sumienia, a kto przeciw nim jawnie nagrzeszył, a co gorsza, że później za własne błędy i przewinienia oskarżał publicznie tych samych, których nieulecznie skompromitował pod śledztwem.

Oświadczenie Mierosławskiego, że nie odwoła zeznań swoich przed sądem, wywołało przeciw niemu oburzenie do tego stopnia, że mu wówczas niektórzy poczuli jawną zarzucać zdradę. Uradzono zerwać z nim wszelkie stosunki i własnemu zostawić go losowi. Wtenczas to Mierosławski, widząc że za daleko poszedł, zaczął spuszczać ze swoich pretensyi i żądał już tylko, aby ci przynajmniej co pod śledztwem poczynili bardzo obszernie zeznania, dotrzymali mu przed sądem tego nowego koleżeństwa; ale i tutaj doznał całkowitego zawodu. Nikt nie chciał już należeć do spółnictwa z nim, bo ono nie przynosiło ani pożytku dla sprawy, ani zaszczytu dla nikogo i wszyscy postanowili zeznania swoje odwołać. Tutaj główną zasługę położył Adolf Malczewski, za którego usilnym staraniem ci wszyscy, którzy pod śledztwem porobili zeznania, uznali wreszcie wielkie swoje winy oraz konieczność powrotu na drogę powinności obywatelskich. Mierosławski więc pozostał sam jeden i zdecydował się nareszcie odwołać zeznania swoje osób dotyczące.

Takie było prawdziwe przejście całej tej sprawy w więzieniu przed rozpoczęciem roków sądowych się toczącej.

tym samym, mówili dniu policja musiała być o tym zawiadomiona, skero na drugi dzień potem już w powiecie ostrzeszowskim komisarz mógł być zwołać sołtysów do siebie. Kto zaś tę usługę oddał policji? Materyalnych dowodów na to nie było, chociaż każda z wymienionych wyżej wiadomości mieściła w sobie ważne powody do podejrzenia, a nawet osądzenia.

Trudno zatem pojąć i zrozumieć, jak Mierosławski to proste zwrócenie się na drogę obowiązku, które w końcu sam musiał uznać za słuszne i konieczne, mógł potem nazwać odbieżeniem sprawy publicznej ze strony wszystkich oskarżonych, lub tylko niedotrzymaniem mu obowiązującej solidarności w spodziewanem, bo należnym mu wtórowaniu;*) jak w obec wszystkich żyjących świadków, ciężkości jego winy, miał odwagę na str. 78. swojego sławnego dzieła „Powstanie Poznańskie“ następujące wyrzec słowa: „Miałże Mierosławski milczeć i nie słyszeć tych co, wyjąwszy szlachtę na Pałukach, wołali doń przez wszystkie szpary więzienia Europa! ile że dla uświęcenia słowa swojego w jój przeświadczeniu i z oskarżonego zostać oskarżycielem. Mierosławski nie potrzebował ani pól zeznania nowego uczynić, skoro krew od lat dwóch tryskająca z tysiąca nazwisk przed sam tron Boży, ani jednego nazwiska nowego, ani jednego czynu utajonego do wygadania mu nie pozostawiły.“

Mierosławski potrzebował tylko, ażeby się nikt odważonego raz zeznania nie wyparł i tyle akurat pozostał szczerym przed sądem chrześcijaństwa, ile nim już był dla inkwiryentów tajnych.

Aż do końca Maja 1846 r., epoki, w której ostrzeżony o przemianie procedury pruskiej *) na inną arenę dla demokracji wojującej, Mierosławski ustalił w sumnieniu swoim plan związkowej obrony, już mu przedłożono 22 zeznań, obejmujących więcej, niż rządy wiedzieć pragnęły, więcej, niż im potrzeba było na zakasowanie całej Polski. Jedynym

*) Zob. Powstanie Pozn. II wydanie, str. 77.

*) Rozkaz gabinetowy nakazujący zastosowanie procedury jawnej do sprawy uwięzionych z r. 1849go i przeznaczający sądy kameralny w Berlinie do wyrokowania w tym procesie, podpisany został przez króla d. 18go Lipca 1846go r., a więc w Maju tegoż roku, ani Mierosławski, ani żaden z uwięzionych wiedzieć jeszcze nie mógł i o tém prawie. Jak znowu wyżej wspominałem, Ko siuskiemu przedłożono w Maju tegoż roku zeznanie Mierosławskiego; złożył je więc przed ogłoszeniem prawa.

jego przemysłem przez osiem miesięcy codziennój nieomal indatacyi, było to 22 i drugie tyle piśmiennych, tomowych protokółów oczyścić ze zbytecznego wylania i za pomocą prawdopodobnego komentarza ku zamierzonemu celowi propagandy uchylić."

Naprzód z główniejszych spiskowych, którzy oprócz Mierosławskiego wszyscy prawie z początku w Sonnenburgu byli więźni. żaden przed drugą połową 46go r. nie był pod śledztwem oprócz Kosińskiego, któremu przed tą epoką przedłożono już zeznania Mierosławskiego; cały znowu wątek spraw związkowych posiadali wyłącznie naczelnicy sprzyśiężenia i Mierosławski. Zkądże więc o tych wszystkich tajemnicach, o tych wszystkich szczegółach dowiedzieć się mogli inkwirenci wówczas, kiedy żaden z owych naczelników nie był jeszcze pod śledztwem, oprócz samego Mierosławskiego, kiedy Kosińskiemu żadnych innych z początku nie przedłożono zeznań, jak tylko te, które Mierosławski porobił, a które były tak dobitne, że Kosiński nieależenie był skutkiem nich skompromitowanym. Zkądże to pochodzi, że później inkwirenci przy śledztwie przedstawiali zeznania Mierosławskiego Rajewskiemu, Lucyjano wi, Malczewskiemu, Adolffowi, Radońskiemu, Amstazemu, Kuratowskiemu, Apollinaremu, Szawieckiemu, Konstantemu, Lieltowi, Karolowi, Mielżyńskiemu, Sewerynowi, Ostrowskiemu, Sewerynowi, Łęckiemu, Władysławowi, Guttramu, Aleksandrowi, Luciejewskiemu, Tadeuszowi, Słapeckiemu, Janowi, Jarochoowskiemu, Cypryanowi, Białokórskiemu, Feliksowi, Białńskiemu, Ignaccemu, Biesiekierskiemu, Stanisławowi, Howieckiemu, Andrzejowi, Zagórskiemu, Feliksowi, Niegolewskiemu, Władysławowi - chociaż ci wszyscy nie pod śledztwem nie zeznali, ani żaden z nich nie wydał pana Mierosławskiego i ani jeden z nich nie figuruje pod skargą jego jako świadek. Natomiast znowu Mierosławski miał więcej obszernie o wszystkich porobił zeznania i przeciw wszystkim przez prokuratora królewskiego podanym był za świadka.*)

*) Mierosławski porobił zeznania o takiej samej prawie liczbie osób w Galicyi.

Oprócz wymienionych wyżej główniejszych związkowych wielu innych jeszcze uwiecznionych żelnych nie porobiło zeznań. Któż tedy miał dostarczyć komisji śledczej tak ogromnej liczby tomowych zeznań, które Mierosławski oczyszczać umiał swoimi komentarzami, kiedy liczbą tych, co z takim wylaniem spowiadać się mieli inkwizentom tajnym, o rabi- czy się do szczętu włącznie z Mierosławskim, a wszyscy razem wiedzieli nie znać ani jedną część tego, co Mierosławski w zeznaniach swoich wypowiedział o związku i o tobach do niego należących. On jeden ze starożytna swojego znosząc się z głównej szyni związkowymi w rozmaitych częściach kraju, wiedział o wszystkich, znał ich nazwiska i wiedział o całej organizacji związku. Że zaś o niczem nie zapomniał powiadomić tajnych inkwizentów, przekona je najlepiej akt oskarżenia ogólnego i szczegółowa skarga prokuratora. A jednak o tym wszystkim zamiecha w swoim dziele i z oskarżonego robi się oskarżycielem zionków swoich, których krótko przedtem własne zeznanie jego nad prze- paścią postawiły.

Alte obok tych oskarżeń, które obarczać musiały każdego, komu sprawy procesu Berlińskiego t.e. były tajemnicą, wyszłyżnęło się jednak mimowolnie z pod pióra tak wpra- wnego do zakrywania prawdy jako delikatne zeznanie, którego doniosłość w tego rodzaju sprawach znaną i zrozumia- łą może być tym tylko, którzy przebywali koleje śledztw politycznych.

Mówię tu o tak zwanych komentarzach Mierosławskie- go, dawanym do zeznań innych współobwinionych, których protokoły oczyszczał niby ze zbytecznych wolań — ma się rozumieć z polecenia komisji śledczej, bo bez jej upoważ- nienia nie byłoby mu wolno dotykać się tej pracy.

Otóż podobnych oczyszczających komentarzy ci tylko do zeznań innych współoskarżonych dostarczać mogą intere- sowanej ciekawości koalicji śledczej, którzy bardzo szcze- ło- łowe, bardzo dokładne i w rozumieniu inkwizentów bardzo lojalnie olibyli spowiedzie. Komentarze takie dotyczą zwy- kłe osoby, które komentarz sobie wydał pod śledztwem, a które albo do niego przynależą nie chciały, albo tylko

na pewnych kwestiach — głośno podehwyć się pozwoliły. Innych ożyszczają żadna komisya śledcza nie dozwoli, a wszyscy ci, co mieli do czynienia w ciągu indagacyi swoich z zeznaniami Mierosławskiego, oddać mu mogą sprawiedliwość, że były bardzo kompletne.

Mierosławski więc owem nieoględnem zeznaniem swoim nie zbyt poohlebnie wystawił sobie świadectwo we względzie posług, jakie oddawał komisji śledczej.

Z drugiej strony jeżeli zeznanie owe, do których redagował komentarze swoje, były istotnie tak sromotnemi, tak ni godziwemi jak utrzymuje — jakże mógł potem przyzywać ludzi, którzy je złożyli do pomocy w funkcyach swoich wężnego zapozwy narodowej? Jakże mu chodzić mogło o to szczególnie, aby żaden z nich odważonego raz zeznania nie zaparł przed sądem, jakże zeznanie takie, które rządom wystarczyć miały do zakatowania całej Polski, miały służyć do podniesienia sprawy narodowej w oczach Europy z chrześcijaństwa? Według mnie żądać potwierdzenia podobnych zeznań przed sądem publicznym, jest to samemu chcieć zakatować Polskę przed światem.

Przy naję, że odwołanie przed sądem publicznym wobec kraju i Europy zeznań poprzednio poczynionych smutną przedstawia stronę procesu, a smutniejsze jeszcze położenie tych, którzy i samo heję w tak fatalnej postawili koniec nosić, ale nie rozumieć i nie pojmę, jak zatwierdzeniem takich właśnie jak Mierosławski posiała zeznań, mógł sobie w zeznaniu ustalić plan obrony związkowej. Czy zeznania, które rządom wystarczyć mogły na zakatowanie Polski całej, mogły Mierosławskiemu dopomódz do mniemanij jego obrony związkowej? Zdaje mi się, że nie, bo w podobnych zdarzeniach można co najwięcej jedną tylko odegrać rolę, albo obrońcy, albo oskarżyciela — a oskarżycielami byłiby wszyscy ci, którzyby zeznania swoje przed sądem tylko potwierdzili.

Tak jak znam więzienną sprawę Mierosławskiego, zgodziłbym się prężyć na zżanie, że zamiast oczyszczać zeznania innych ze zbytecznego wylania przed inkwizentami, zamiast myśleć o obronie związkowej, (którą chyba mógł

podjąć przeciw własnym i nielicznym towarzyszom swoich oskarżeniom) całą uwagę innych zwrócić musiał, aby siebie jakimby kosztem oczyścić z ciężkich i zasłużonych zarzutów, aby jakkolwiek zubożyć winę własnej wobec współoskarżonych w więzieniu — a potem kosztem ich uratować własne imię przed sądem opinii publicznej. Ku temu to celowi zmierzały głównie i wyłącznie wszystkie targi jego z współwięzionymi o pozyskanie wszystkich do współnictwa w ciężkim przewinieniu własnym. Nadaniem takiego obrótu sprawie całej zeznania jego tracić musiały najzupełniej cechę zdradzania związku i związkowych pod śledztwem, poparci zaś przez ogół solidarności w tym co Mierosławski zrobił, przenosili z niego na tenże ogół całą odpowiedzialność za to co zrobił.

Oprócz tego żądanie bezwarunkowej z nim solidarności mogłoby się było dać jeszcze wytłomaczyć niedorzeczną jego łatwowiernością jego w przyrzeczeniu ogólnej amnestyi, którą mu Dunkier przy śledztwie zapowiadał. — Rzecz stała się całkiem inaczej. Kiedy Mierosławski nie mogąc nagiąć przekonania całości do pierwotnego planu swojego, pragnął powołać do zaszczytu wspólnej z sobą niby obrony związkowej przed sądem jawnym tych przynajmniej pięciu, którzy tak samo jak on powydawali innych pod śledztwem. Tu już plan jego w własnym tylko osobistym ułożony interesie jaśniej przeziierać zaczął z pod osłony patriotyzmu, odwagi cywilnej i poświęcenia. Tu już nie mogło chodzić o ogólną sympatyą, bo takowa welle zaręczeń Dunkiera nastąpić mogła jedynie wskutek dowiedzionego udziału jak większej liczby osób w przysiężeniu. Mierosławskiemu chodzić mogło teraz jedynie o to, aby uniknąć przed sądem i publicznością niemilego odwolywania zeznań swoich, przez co musiałby był potępić całą spowieź swoją pod śledztwem tak sumiennie wykonaną — a samemu znowu przeciw wszystkim innym występować było rzeczą trochę kompromitującą patriotyzm jego w obce Polski. Potrzeba mu było zatem współników.

Mniejsza o to, że potwierdzając zeznania swoje przed sądem, gotował dla oskarżonych przez siebie grzywny, wie-

że i topór kafa. Wszakże taką drobnostkę zakryć mogła szumna przed kratkami mowa i na wzór „Powstania Poznańskiego“ puszczona w świat broszura jaka, w której łatwo byłoby wystawić siebie jako męża poświęcenia i nieustraszonej odwagi cywilnej, a owych pięciu towarzyszków przemienić w hersztów i bohaterów sprzysiężenia. Tym sposobem kompromitująca prawda byłaby przez niego zakryta, a on sam, nie odwołując zeznań swoich, nie byłby potrzebował potępiać ich publicznie i zawsze jeszcze byłby mógł liczyć na jakieś względy rządu pruskiego, na Dunkierowską amnestyą dla siebie przynajmniej. Odwołanie zaś publicznie zeznań własnych kompromitować go musiało koniecznie wobec rządu i niszczyło wszelkie nadzieje ulaskawienia. Że nim te głównie względy powoływały, przebija dość wyraźnie w słowach, które zamieścił na str. 79 i 80 „Powstania Poznańskiego;“ kiedy mu się jednakże nie udało pozyskać współnictwa owych pięciu do mojej obrony związkowej, pozostał sam jeden ze swoim subtelnie obmyślanym planem obrony osobistej i w tak odosobnionem położeniu miał już tylko do wyboru: albo odwołać zeznania własne przed sądem jawnym co do osób przynajmniej — i tём samém wyznać publicznie, że mocno zawinił — a bo wobec kraju i Europy zatwierdzić poprzednie zeznania swoje w całości i wystąpić sam jeden jako oskarżyciel przed sądem pruskim własnych ziomków swoich. W takiej postawionej ostateczności zdecydował się dopiero do owego, jak nazywa, wyklamywania tych wszystkich przed sądem jawnym, których pod śledztwem nieuleczalnie skompromitował.*) To samo jednakże

*) Mierosławski mógł wyklamywać przed sądem tych tylko, których pod śledztwem wydał, a na wydanie osób nie miał podobno od nikogo mandatu. Przecież pomimo to wzywał się z taką akuratanością z zadania swojego przed komi-yą śledczą, iż wielu niekoniecznie potrzebnie podanych szczegółów nie mógł już potem ani cofnąć, ani zobojętnieć czyli wyklamać przed sądem. Czy to potrzeba było zwierzać się Dunkierowi, chociaż podstępny inkwirentów były, jak powiada, przewidziane, że Łącki, panna Emilia Sezaniecka i

wyklamywanie jest już niezaprzerconym dowodem, że jego prawdomówność przed komisją śledczą i Dunkierem była ciężkim z jego strony pogwałceniem obowiązków honoru i sumienia i w żadnym razie nie mogła być warunkiem podniesienia sprawy polskiej, lub poszanowania godności narodowej i własnej.

dyrektor Ziemstwa Jarochoński dał mu w domach swoich schronienie? Czy sprawa polska wymagała od Mierosławskiego tak dokładnego opisu domu, sieni i pokoju, w którym go dyrektor Jarochoński przechowywał w Poznaniu? Czyż to Dunkier i komisja śledcza potrzebowali się dowiedzieć od Mierosławskiego, że w mieszkaniu Leciejewskiego odbywały się narady związkowych i że na jednej z nich wybrano Libelta do Rządu Narodowego? Albo że wliżąc się z Bnińskim Ignacym w Poznaniu dał mu polecenie atakowania miasta Piły w czasie wybuchu? Czy Europa którąkolwiek szczeliną więzienia pragnęła się dowiedzieć od Mierosławskiego, że pani Malczewska przewoziła go w takiój to bryce ze Świnar do Srebrnejgóry, że taką to czapkę nasadzono mu na głowę w tój podróży?

Podobne szczegóły, o których tutaj mowa, nie do samego tylko rozciągają się Poznańskiego, dotyczyły one osób i wypadków galicyjskich, a Wiesiołowski Franciszek w pamiętniku swym wyraźnie powiada, że zeznania Mierosławskiego o nim samym skłoniły go dopiero do własnych.

Str. 160 Pamiętnika z r. 1845 i 1846go przez Wiesiołowskiego wydanego zawiera co niżej:

„W pierwszój chwili nie mógłem zrozumieć tak luźnie tacy, a zwłaszcza Mierosławski, którego wyznam szczerze, natenczas miałem jeszcze za ideał bohatera rewolucyjnego mogli tak postąpić. Złej woli, słabości lub zdrady nie przypuszczałem.

„Wiżąc moje niedowierzanie, referent przedłożył mi protokoły Tyszowskiego, Guttrego i Mierosławskiego, z których czytał mi kilka ustępów, tyczących się mojej osoby.*)

*) Wiesiołowski dał się uwieść swojemu inkwirentowi przynajmniej co do Guttrego, bo ten żadnych zeznań nie złożył.

Boć jeżeliby rzeczywiście tak przeważne względy taką miały nakazywać konieczność, Mierosławski nie mógł i nie powinien był uleść naciskowi kilku czy kilkunastu zdrajców, których głos, dzięki własnym zeznaniom jego, mógł i tak wkrótce zamilknąć na rusztowaniu, lub pośród murów ciemnego więzienia.

Człowiekowi, co to niby w interesie sprawy narodowej chciał występować przed Europą, nie byłoby wolno dla tak blahych powodów robić ofiary z własnego sumienia i obo-

Migi y innymi zeznał ten ostatni, iż gdy do niego do Krakowa przybyłem, odezwał się: (co istotnie tak było)

— No, kiedy mamy Wiesiołowskiego, to na cóż nam czytać raport Dembowskiego, wszak on będzie nam najlpszym żywym raportem? Powiedział on dalej, że ja będąc na czele spisku, mam klucz do wszystkiego co się tyczy Ga'icyi."

Wyznać muszę, że całe to tłumaczenie się Wiesiołowskiego w niczem nie umniejsza jego winy, bo cóż go zmuszało pójść za przykładem tych, którzy zdradzali związek i wydawali kolegów swoich na łup nieprzyjacielowi? Wszakże obowiązek każdego spiskowca, a tém więcej naczelników sprzysiężenia, zmuszał do zatajenia wszystkiego o czém wiedział; Wiesiołowski zaś, jak się pokazuje z jego własnych zeznań w Pamiętniku jego połanych, nie oszczędził nikogo, a wyjawiając wszystko o czém wiedział, nie tylko kompromitował swoich współtowarzyszów niedoli, ale sam na siebie pisał wyrok w obliczu sędziów austryackich i — narodu.

Co się dotyczy Tyszowskiego, to człowiek ten zasługuje na najwyższą pogarę. Zrobił układ z władzami austryackimi, iż po warunkiem, że go na wolność wypuszczą zaraz po złożeniu zeznań, przyrzekł wszystko powiedzieć o czém wiedział, lub o czém tylko mógł zasłyszeć; o tak niegodnem postępowaniu człowieka nie warto więcej mówić, dodam tylko, że śmiało ogłosił się dyktatorem na całą Polskę, a później po zawarciu układu z rządem austryackim, z dyktatora zeszedł na stanowisko donosiciela.

wiązków obywatelskich dla narodu. Ale na szczęście wielkość i świetność sprawy narodowej nie może polegać na wylamywaniu się jednostek z pod ogólnego prawa, na podeptaniu najświętszych obowiązków względem współbraci własnych, na denuncyowaniu ich wrogom własnego kraju. Sprzysiężenie nie jest czezą formą, którąby wolno było każdemu bezkarnie odrzucić kiedy mu się spodoba. Jest ono przeciwnie najuroczystszym zobowiązaniem każdego, kto przystępuje do pracy na tej drodze dla sprawy narodowej, do zachowania nienaruszonej tajemnicy tak co do środków jakimi kraj ku wyswobodzeniu swojemu rozporządzać może, jak co do wewnętrznej organizacyi związku samego, jak wreszcie co do osób, które do związku takiego należą. Tym jedynie sposobem uchronić można przed czujnością i prześladowaniem wroga i pracę samą i ludzi do niej powołanych.

Z drugiej strony związki tajemne są ową niezbędną koniecznością, której uciemiężony naród chwycić się musi, bo mu najeżdźca ani myśleć, ani działać otwarcie nie pozwala. A jeżeli związkowi zdradzą, lub przypadkiem popadną w ręce wroga, czy można któremu z nich poczynać za cnotę, jeżeli łamiąc zaprzysiężoną wiarę współtowarzyszom swoim i krajowi, odsłania pod śledztwem tajemnice związku i wydaje bezwzględnie znanych mu osób nazwiska? Takie postępowanie tylko nieprzyjaciółom kraju różne zapewnia korzyści, ale sprawę narodową zawsze o znaczne przyprawia straty. Takimi to sposobami tyłkostareza do się wroga z szczegółowymi dowodów przeciw związkowym że potem losem ich według upodobania rozrządzać mogą. Świadkiem ostre wyroki sądu kameralnego w Berlinie w r. 1847go — ośmiu na karę śmierci, kilkudziesięciu na ciężkie więzienie od 6—25 lat skazujące, do czego prowadzi zdradzenie tajemnic związku i osób do niego należących.

Jeżeli Mierosławki chce podobnego rodzaju poświęcenie wynieść do godności zasług dla sprawy narodowej złożonych, musi wpiertw koniecznie dowieść ztady kraju tym wszystkim, którzy jak świadczy historia pod śledztwem nie zdradzili zaprzysiężonej w związku tajemnicy, musi następnie

wydrzeć z serca i pamięci narodu wspomnienia Łukasiewiczów, Konarskich, Lewitów, a w ich miejsce nakazać cześć dla Jabłonowskich, Orzechów i dla siebie samego. Ale dokądby to zaprowadzili naród ci nowi apostołowie z pokolenia Iskaryoty?!

Na tym opisie zamykam skrócenie postępowania Mirosławskiego pod sądem śledczym. Jest ono rzetelne i z prawdą zgodne, a że je obszerniej opisać musiałem, skłoniły mnie do tego aż w dwóch wydaniach odmalowane przez Mirosławskiego nieprawdy o współwziętych.

Teraz zanim przystąpię do wspomnień o rokach sądowych, które się w drugiej połowie roku 1847go w Berlinie odbywały, nadmienić muszę o jednej okoliczności, która, jak szczerze wyznam, wielkiego na mnie nie wywarła wrażenia, atoli w żywej została mi pamięci, bo wszystko co mi opowiadano, pomimo wszelkiego nieprawdopodobieństwa ziściło się co do joty w r. 1848mym.

Było to na początku miesiąca Sierpnia 1847go r. kiedy w godzinie na przechadzkę przeznaczoną wpuszczono mnie przez omyłkę do klatki, w której już zastałem towarzysza, a że to już było po doręczeniu oskarżonym skarg prokuratora, nie zachowywano z więźniami tak wielkiej ostrożności jak z początku. Tym towarzyszem był ksiądz Łobodzki.

Był to człowiek w podeszłym już wieku, miłego oblicza, spokojny, poważny i wzbudzający ufność do siebie. Zapytał mnie zaraz na wstępie, z których stron jestem i jak się nazywam. Kiedym mu to powiedział, twarz mu się rozweseliła i rzekł do mnie:

— A toć ja jegomości znam z młodych lat, bo bywałem w domu rodziców jego po kweście, kiedy byłem zakonnikiem u karmelitów w Keyni.

Przypomniałem go sobie bardzo dobrze, gdy mi jeszcze przytoczył niektóre figle moje, jako młodego wówczas chłopca. Po niedługiej z nim rozmowie, zaczął od tego:

— Bo jabym jegomości coś powiedział, aleby mi może jegomość nie wierzył, bo to wy młodzi lubicie sobie żartować z tego, co starzy opowiadają.

— Nie chwila to do żartów, odpowiedziałem, kiedy wszyscy przygotowani jesteśmy na śmieć lub długoletnie więzienie.

— Śpij jegomość zdrow, odparł ksiądz, nie namu nie zrobią i jeszcze nas się prosić będą, żebyśmy z więzienia wyszli, a święcone jajko na przyszły rok będziemy w domu jedli; bo to widzi jegomość, ja mam takie widzenia w nocy i chociaż nie śpię, to mi się przesuwa ja przed oczami rozmaite wypadki, które się później zawsze sprawdzają. I tak w r. 1830 miałem też podobne widzenie; przesuwały mi się przed oczami wszystkie pułki jazdy, krakusów i piechoty — wszystko to widziałem jasno, jak na dłoni; ale potem czerwona luna wszystko pokryła i zaraz powiedziałem, że naszym chudziakom powstanie się nie uda. I sprawdziło się to wszystko. Otóż i teraz w więzieniu miałem podobne widzenie — i powtarzam jegomości, że nas będą prosili, abyśmy z więzienia jak najprężej wyszli.

Nie pokładalem wiary w tém proroctwie, bo wnioskując ze skargi prokuratora i ze świadectw przeciw mnie złożonych nie mogłem przypuścić nawet, że będę wolnym, a jednakże przepowiednia księdza Łobodzkiego sprawdziła się w r. 1848 zupełnie. O ile mi się zdaje, roki sątu karnego rozpoczęły się we Wrześniu 1847go r. i trwały aż ku końcowi Października tegoż roku. Ponieważ odwołanie poczynionych zeznań było poprzednio postanowioném, ztąd też nastąpić miało zaprzeczenie wszystkich tych zeznań, które oskarżeni pod śledztwem poskładali.

Pierwszym był Mierosławski i przyznać muszę, że zeznanie swoje bardzo zęcznie odwoływał. Wprawdzie przyznał wszystko, co dotyczyło celów sprzysiężenia, lecz co do osób, powiedział, że mu nie chodziło o nazwiska i może być, że je fałszywie pod śledztwem podał dla tego, że mu chodziło głównie o wykazanie ilości osób do śledztwa należących, a jak się one nazywały nie był pewnym i do dziś dnia nim nie jest.

Po nim najlepiej uzasadniał odwołanie swoje Elżanowski, ale biedny Kosiński na każdym kroku się plątał w odwoływaniu swoim, a przez to podawał prokuratorowi kró-

łewskiemu sposobność do posądzania go o kłamstwo. Tak samo nie mogli sobie dać rady z odwoływaniem Stanisław Sadowski, Józef Szoldrski, Kurowski i inni. Mnie najciężej potępiały zeznania Mierosławskiego, Tyszowskiego i Wiesiołowskiego z Galicyi. Szczyściem dla mnie, że zeznania ich przysłane zostały z Galicyi bez żadnej legitymacyi sądowej lub administracyjnój. Na wniosek przeto mojego obrońcy, zeznania Tyszowskiego i Wiesiołowskiego sąd uchylił całkiem przy mojej sprawie, nie uważając ich za wiarogodne.

Wspomnieć tu muszę jeszcze o jedynj okoliczności, która w czasie naszego procesu miała miejsce. Z Galicyi wyłano deputacyą do naszych posłów w Berlinie na sejmie zasiadających, która przywiozła projekt od swoich mocodawców z tój części zabranój Polski, aby Wielkopolska zobowiązała się wraz z Galicyą do wydawania odnośnym władzom najezdniczym każdego Polaka, któryby z Francyi do kraju przybył. Ta niegodna serca i sumnienia polskiego propozycya odrzuconą została przez obywateli Wielkopolski, ale nie mogła nie wywołać najboleśniejszych uczuć w uwięzionych w Berlinie, bo każdy z nich czuł, jak okropnie śmieili Galicyanie podeptać godność narodową.

Z równą boleścią, a nawet z oburzeniem widzieli nas więźniowie Wincentego Pola w tój delegacyi. On, ulubiony poeta narodowy, znany całemu krajowi z patryotyzmu, mógł się zapomnieć do tego stopnia, że się nie wstydził brać udziału w tak haniebnym i w tak poniżającym wysłannictwie, a co więcej śmiał nawet przybyć na sąd, w której się odbywały roki sądowe i ze spokojem spoglądać na oskarżonych braci swoich, jakby na obcych przestępców lub zbrodniarzy. Odmówienie współudziału ze strony wielkopo'skich obywateli w tём potwornym dziele niezasłużonój zemsty, jaką Galicyanie wyrzeczć chcieli na niewinnych emisaryuszach centralizacyi, przynosi niezaprzeczenie wielki zaszczyt Księztwu, chociaż z dragiej strony nie można pominąć milczeniem, że zakupiwszy pióro Trentowskiego wydali nasi konserwatyści własnym nakładem broszurę przez niego napisaną pod tytułem: „Ojczyzniaka.“

Miał to być akt oskarżenia narodowego przeciw uwięzionym **patryotom** w Berlinie; nie mieli przecież ci panowie upoważnienia do tego od narodu, a rok 1848 zadał kłam wszystkim elukubracjom w „Ojczyzniku“ zamieszczanym. A kiedy książę Adam Czartoryski oddał się na rozporządzenie Rządu Narodowego, który w Krakowie w owym czasie był ustanowionym i spełnieniem tego aktu patrioetycznego dowiódł, że usiłowania narodowe o odzyskanie bytu i wolności nakazują każdemu wiernemu synowi Polski złożyć swoje przekonania polityczne na ołtarzu powstającej Ojczyzny — konserwatyści nasi znaleźli się w przykrém położeniu i nikt nie śmiał się przyznać, że brał udział w tej wyżej wspomnianej publikacji.

I sam Trentowski uczuć musiał ostre wyrzuty polskiego sumienia, bo w r. 1848 przybył do Poznania i wyznał publicznie swoją winę i odwołał wszystko co w „Ojczyzniku“ na potępienie uwięzionych w Berlinie patryotów był napisał.

Jakkolwiek nie da się całkiem uniewinnić postępku Trentowskiego, to jednakże późniejsze jego odwołanie zasługuje na pochwałę. Jego broszurę musieli wykupić z handlu księgarskiego ci, którzy jej wydanie spowodowali — bo stała się dzisiaj prawdziwą rzadkością.

Wspomniawszy wyżej o tych kilku sprzysiężonych, którzy pod śledztwem tak nagannie się sprawili, że wszystko o czém wiedzieli, a nawet i to, o czém tylko zasłyszeli przed komisją śledczą wyznali, nie podobna przemilczeć o Józefie Essmanie, Macieju Palaczu, Janie Palaczu, o komorniku Płotku, których za wzór można podać, co do zachowania tajemnic sprzysiężenia i zaparcia się wszystkiego co mu zarzucano. Szczególniej Essman nie tylko, że nie nie zeznał, ale nawet w czasie roków sądowych 23 świadkom zarzucił kłamstwo, a jednemu z nich, który gwałtem dowodził, że go zna osobiście, dowiódł, że zeznanie jego nie bardzo z prawdą zgodne.

Z wielką przytomnością umysłu poprosił sąd przez swojego obrońcę, aby pozwolił przywołać oskarżonego Hipolita Trąmpezyńskiego, do którego z twarzy i z wzrostu ude-

rzajmo był podobny, a to w celu, aby świadek mógł ze znać, który z nich jest Easmanem. Świadek oczywiście nie mógł na pewno powiedzieć, którego z nich widział i świadectwo jego całkiem zobojętnione zostało.

Wspomnieć tu naszą o jednym współskarżonym hui hianie Mozczen-skim który w więzieniu w cytadeli Poznani-
kiej podслуchiwał kolegów swoich i donosił swojemu inkwi-
rentowi o tém co pomiędzy sobą rozmawiali. Co go do te-
go kroku haniebnego skłonić mogło, nie wiadomo, ale to
o pewna, że od inkwidenta swojego przyjąował w tym wzglę-
dzie polecenia i z całą ścisłością je wypełniał, podczas gdy
brat jego, zacny patryota i powszechnie szanowany obywa-
tel, jak najhorowiej się zachowywał w czasie śledztwa i
więzienia.

Po ukończeniu procedury sądowej nie tak już ściśle
strzeżono więźniów, wówczas pozwalano im odwiedzać się,
a czasami po trzech i czterech w jednój celi ich się zgroma-
dzało. *)

Ja przy końcu Października zachorowałem na silne
uderzenia krwi do głowy. Musiano mi przystawić 12 puja-
wek na czoło, a to mnie tak osłabiło, że potem ze cztery
dni przeleżeć w łóżku musiałem. Opuściwszy łóżko, czułem
się tak osłabionym, że nawet na zwykłą codzienną prze-
chadzkę wychodzić nie mogłem. Powietrze sprawiało mi
zawrót głowy. W czasie tym przybył jednego dnia nad
wieczorem do mojej celi prezes sądu kameralnego p. Koen,
z dyrektorem więzienia Grabowskim. Bardzo mnie zdziwiła
ta wizyta i domyślałem się, że coś nadzwyczajnego zająć
musiało. Że zaś czy wiek zwykle podobne niespodziewane
zajścia do swojej odnosi osoby, sądziłem, że prezes z oba-
wy, abym nie zmarł przed wyrokami, chce mi pozwolić za-

*) W tym to czasie przychodził do nas i Mierosławski,
a przychodził dla tego, że Grabowski dyrektor nie mógł żadne-
go z więźniów skłonić, aby Mierosławskiego przyjął do swojej
celi. Wówczas też przyznał się na moje i Białoskórskiego na-
egania, że tak niepotrzebnie zaufał Dunkierowi i na jego przy-
rzeczeniach amnestyi polegał.

mieszkać w mieście. Tymczasem on zapytał się, jak jest z moim zdrowiem; kiedy mu odpowiedziałem, że lepiej, ale że się czuję słabym i dla tego na przechadzkę nie wychodzę, odezwał się do mnie na pół żartem, że może przejażdżka byłaby pomocą do rekonwalescencji.

— Nie wiem, odpowiedziałem, jakby to było, bo chcąc świeżego użyć powietrza, musiałbym chyba po za miastem odbyć podróż, a nie wiem, czy dalsza przejażdżka posłużyłaby mi na zdrowiu.

Na to powiada p. Koch:

— Ale gdybyś Pan mógł jechać do domu, to myślę, że na taką podróż siły pańskie by wystarczyły.

— O tak, odrzekłem, na podróż do mojej rodziny, to bym już znalazł dość sił.

— No, w takim razie mogę Panu oświadczyć, że sprawa Pańska tak stoi, iż mogę wziąć na moje odpowiedzialność udzielenie Panu urlopu do domu, byłeś mi Pan dał zaręczenie, że na każde zawezwanie sądu stawisz się w Berlinie do naszego rozporządzenia.

Życzył mi przytém szczęśliwej podróży i podawszy rękę, wyszedł z mojej celi. Dyrektor zaś Grabowski, odprowadziwszy prezesa do bramy, wrócił do mojej celi i oświadczył, że mogę zaraz nazajutrz wychodzącym rannym pociągiem wyjechać z Berlina. Ze mną razem w sali mieszkał Białoskórski. Grabowski odwróciwszy się do niego, prosił go, aby mi rzeczy i bieliznę potrzebne na drogę tymczasem spakował, a potem wziął mnie ze sobą na miasto. Człowiek ten tak był uszczęśliwiony dobrym obrotem sprawy mojej, że swoją radością chciał się podzielić z niektórymi znajomymi. Jakoż zaszedłszy najpierw do pułkownika Biesiekierskiego, któremu dla słabości zdrowia dozwolono mieszkać na mieście.

Poczeiwy starowina nie mógł się nacieszyć tą niespodzianką; uściskał mnie i lzy mu się w oczach kręciły. Kazał jednak zaraz przynieść wina i we czterech, bo u niego zastaliśmy Dra Petriego, wysuszaliśmy dwie butelki, poczem pożegnaliśmy go, i Grabowski zaprowadził mnie do mojego obrońcy, adwokata Crelingera. Zaszedłszy tam, Grabowski

zatrzymał mnie przed drzwiami, a sam wszedłszy do pokoju, zapytał Crelingera:

— Zgadnij, kogo ci przyprowadzam?

— To już chyba Guttrego, kiedy tak do mnie przemawiasz, odparł, a gdy na to wszedłem, rzucił mi się na szyję i oświadczył swoją radość ze szczęśliwego obrotu sprawy mojej i zaraz zaprosił nas na ostrygi, przy których popijać trzeba było wino. Przyznać muszę, że to było osobliwe lekarstwo po ciężkiej co dopiero przeżytój chorobie.

Przybywszy do domu, dowiedziałem się dopiero, co spowodowało prezydenta sądu do odwiedzenia mnie we więzieniu. Brat mój zrobił podanie do sądu, prosząc o uwolnienie mnie na kilka dni, podając za przyczynę, że żona moja bardzo niebezpiecznie zachorowała. Jako kaucyą, że się dostawię na każde wezwanie sądu chciał ofiarować cały swój majątek i własną osobę. Szlachetny prezes nie przyjął tego i jak już wyżej powiedziałem, uwolnił mnie na proste zaręczenie z méj strony, że nie omieszkam stawić się pod rozporządzenie sądu, skoro wezwanie odbiorę. Tymczasem żona moja była już zdrowsza, a ja żadnego wezwania o.ł sądu nie odebrałem.

Uwolnienie moje z więzienia wielką otuchą napeliło współoskarżonych. Byli prawie pewni, że przeciw wszystkim zapadną wyroki łagodne i tém boleńsze było rozczarowanie, kiedy im przeczytano, że ośmiu skazanych było na śmierć, jako to: Mierosławski, Kosiński, Stanisław Sadowski, Józef Szoldrski, Apoloniusz Kurowski, Ceynowa, ksiądz Łobodzki. nazwisko ósmego wyszło mi z pamięci, Lilelta Karola skazano na 20 lat; majora Radkiewicza zaś i Adolfa Malczewskiego na lat 25; innych współoskarżonych na lat 15, 12, a najniż za kara na 6 lat więzienia. Wyroki te jakby gromem raziły wszystkich skazanych. Jeden tylko ks. Łobodzki, który nie znał wiele języka niemieckiego, gdy wyrok na niego przeczytano, zapytał sąsiada:

— A co oni to tam o mnie mówią?

— A to jeżomości skazał na śmierć, odpowiedział sąsiad.

Ks. Łobodzki z najzinniejszą krwią wyjął tabakierkę, poczęstował sąsiada tabaką i kiwnąwszy głową, odrzekł:

— To się wszystko na nie nie zda, bo oni nam nie nie zrobią.*)

Taką wiarę miał ten człowiek w widzenie, o którym wżdy wspominałem, a które jednakże w niedługim czasie sprawdzić się miało. Kiedy bowiem w r. 1848ym wybuchła rewolucya w Berlinie, lud berliński postanowił uwolnić więźniów polskich i prokurator królewski, dowiedziawszy się o tym zamiarze, spisał co prędzej amnestya dla wszystkich, i pośpieszył przedłożyć ją królowi Fryderykowi Wilhelnow IV do podpisu, dając za powód, że gdyby ta amnestya nie wyszła od króla, lud gotów zdobyć przemocą więzienie i sam uwolnić więźniów. Że zatem pożądaną jest rzeczą, ażeby król uprzędził ten zamiar darowaniem więźniom kary. Uzyskawszy podpis królewski, popędził dorózką do Moabitu i tam zwoławszy więźniów do sali sądowej, przeczytał im amnestya królewską i wezwał, aby się wszyscy czempędzej zabierali i opuścili więzienie.

Ale zaledwo zdołał dokonać swojej misyi, tłumy ludu wyparły bramę i zalały cale więzienie. Nasi nie zdołali się jeszcze uskromnić z zapakowaniem rzeczy, kiedy owe tłumy opanowały wszystkie sale i wśród zaręczén braterstwa zabierały sobie na pamiątkę wszystko co miało jakąś wartość, czy łyżkę srebrną, czy zegarek, czy cygarniczkę, a następnie wyprowadziwszy Karola Libelta w tryumfie, wsadzili go do dorózki, wyprzęgli konie i zaciągnęli przed pałac królewski. Po drodze więcej jeszcze przyłączyło się ludu i cieka-

*) Obojętność, z jaką ks. Łobodzki przyjął ogłoszenie wyroku na śmierć, ogromne zrobiła wrażenie na sędziach. Ich marmurowe twarze, na których do téj chwili żadnego wzruszenia dopatrzeć nie było można, kiedy im przetłomaczono słowa Łobodzkiego wyrażały podziwienie prawie z szacunkiem pomieszczone. Przez kilka chwil zawieszono dalsze czytanie wyroków, bo widocznie sędziowie chcieli ochłonąć z wrażenia, jakie na nich sprawił spokój, z jakim ks. Łobodzki przyjął skazanie swoje.

wych i cały ten tłum wysypał się na plac przed pałacem królewskim.

Tam zaczęto wołać, aby się król pokazał, a gdy to nastąpiło, wtedy obstąpili Libelta i pytali, o co się mają dopominać. Libelt im odpowiedział, że o konstytucyą. Zaczęły więc tłumy wrzeszeć, że lud dopomina się konstytucyi. Potém zapytali, czego więcej jeszcze mają żądać? Libelt znowu im podszeptał, że wolności prasy i równoprawnienia politycznego wszystkich mieszkańców Królestwa. Po wykrzyknięciu tego żądania, król w krótkich słowach przemówił i przyrzekł, że zadosyćuczyni żądaniom ludu.

Ale biedny Libelt nie skończył na demonstraeyi, bo najutrz przyszli do niego ci, którzy doróżkę ciągnęli i zażądali za ten okaz patriotycznego współczucia dla niego -- 16 talarów wynagrodzenia. -- Droga przejażdżka!

Ci co tak bezwzględnie potępiali rok 1846, mogli się później przekonać, jaki wpływ wywarły na rozbudzenie ducha narodowego w Księztwie liczne aresztowania w tymże roku zarządzone. W pierwszych chwilach bez przesady powiedzieć można, że połowa mieszkańców Wielkopolskiej ziemi zapełniła więzienia pruskie, a z drugiej połowy rząd starał się wytworzyć świadków na potępienie uwięzionych. We wszystkich powiatach Księztwa i Prus Zachodnich były ustanowione komisye śledcze i nie było podobno jednego człowieka w tychże prowincyach, któregooby pośrednio lub bezpośrednio pominięła ciekawość owych improwizowanych inkwizentów. Oczywiście, że w takim stanie rzeczy przeciw zawziętości, jaką rozwijały organa rządowe przeciw uwięzionym, rozbudziło się silne działanie interesowanych osób.

Zony, siostry i matki tych, których los był tak mocno zagrożony, starały się wszelkimi sposobami rozbudzić sumnienie polskie ludu naszego, objaśniając świadków, iż rząd prześladuje uwięzionych za to, że chcieli wolności i niepodległości całego narodu; a z drugiej strony zaczęły patryo-

tyczne duchowieństwo nasze wiele się także przyczyniło na korzyść oskarżonych.

Rok 1848 znalazł wśród ludu, który przed r. 1848 był dosyć niechętnym, a po części nawet źle usposobionym dla obywatela wiejskiego, rok mówię 1848-ny znalazł wśród tego ludu rozbudzony patryetyzm i ufność do szlachty. Nie całkiem przeto prawdziwą jest zasada przez ultra-konserwatystów głoszona, że usiłowania o odzyskanie Ojczyzny przynoszą tylko same nieszczęścia krajowi!

Koniec tomu I-go

Wojewódzka
Biblioteka
Publiczna
w
Poznaniu

OMYŁKI DRUKARSKIE.

Strona 4. wiersz 6 z góry, czytaj zamiast wszystkich, wszelkich.

Strona 6, w. 3 z góry, czyt. zam. manowcam, manowcami.

Strona 7, w. 6 z dołu, czyt. zam. usiłowania, usiłowania i.

Strona 7, w. 8 z dołu, czyt. zam. niegodnej, niegodnych.

Strona 11, w. 16 z dołu czyt. zam. zneutralizowanie, zcentralizowanie.

Strona 12, wiersz 6 z góry opuszczono: Kamieński nie zawierał z nikim prawie znajomości.

Strona 12, w. 8 z dołu, czytaj zamiast Łącznej, Łącznej.

Strona 13, w. 11 z góry, czytaj zamiast Moskali, Moskale.

Strona 14, w. 22 z góry czytaj zamiast prze, przed.

Strona 14, w. 8 z góry, czytaj zamiast Łącznej, Łącznej.

Strona 19, w. 19 z góry, czytaj zamiast łowo, słowo.

Strona 19, w. 16 z dołu, czytaj zamiast ani, tani.

Strona 20, w. 18 z góry, czyt. zam. Mikiella, Mikietta.

Strona 22, w. 18 z dołu, czytaj zamiast pają, dają.

Strona 25, w. 10 z dołu, czytaj zamiast Łącznie, Łącznej.

Str. 25, w. 2 z dołu, czyt. zam. ostaju kilberki, sztajnkelerki.

Strona 26, w. 3 z góry, czyt. zam. Papłońskim, Papłoński.

Strona 27, w. 4 z góry, czytaj zamiast Łącznej, Łącznej.

Strona 28, w. 4 z góry, czytaj zamiast Łącznej, Łącznej.

Strona 28, w. 10 z dołu, czytaj zamiast Łącznie, Łącznej.

Str. 29, w. 6 z dołu, czyt. zam. Zrebińskiego, Zdębińskiego.

Strona 30, w. 3 z góry, czytaj zamiast Łącznej, Łącznej.

Strona 32, w. 3 z góry opuszczono: Zdębiński pozostał jednak dłużej, a że itd.

Strona 32, w. 8 z góry, czytaj zamiast Łącznej, Łącznej.

Strona 41, w. 14 z dołu, czytaj zamiast z kim, z którym.

Strona 46, w. 17 z dołu, czytaj zamiast przyjmowania, przejmowania.

Strona 54, w. 15 z dołu, czytaj zamiast ostać, utaić.

Strona 55, w. 17 z góry, czytaj zamiast Niema, Niemea.

Strona 56, w. 15 z dołu, czytaj zamiast więcej, najwięcej.

Strona 57, w. 3 z dołu, czytaj zamiast udzi, ludzi.

Strona 58, w. 9 z góry, czytaj zamiast Kasynek, Kasyn-z.

Strona 59, w. 3 z góry, czytaj zamiast wiedzie, wiedzieć.

Strona 59, w. 16 od dołu, czytaj zamiast nowé, nowój.

Strona 62, w. 1 z dołu, czytaj zamiast jacy, jacy.

Strona 63, w. 6 z dołu czytaj zamiast je, ich.

Strona 64, w. 5 z góry, czytaj zamiast naborzu, naboru.

Strona 68, w. 19 z góry, czyt. zam. zawezwali, zawezwani.

Strona 72, w. 13 z dołu, czyt. zam. o tem tem. o tem od.
Strona 72, w. 1 z dołu, czytaj zamiast jakiéj, jakiéjs.
Strona 73, w. 6 z dołu, czytaj zamiast masz, masz.
Str. 75, w. 15 z dołu, czyt. zam. w kamizelkę, w karmielek.
Str. 78, w. 16 z dołu, czyt. zam. kropek: Moszezeńskiego.
Strona 79, w. 14 z dołu, czytaj zamiast Lincowi, Piusowi.
Strona 80, w. 8 z góry, czytaj zamiast Kaszuna, Kasjusza.
Strona 80, w. 17, z góry, czyt. zam. Wolniewiczow, Wolniewiczowi.

Strona 86, w. 2 z dołu, czytaj zamiast choćby, skoroby.

Strona 87, w. 14 z dołu, czytaj zamiast miało, mogło.

Strona 89, w. 6 z dołu, opuszczono i bardzo ucieszywy.

Strona 92, w. 16 z góry, czyt. zam. odwiedzał, odwiedzali.

Str. 93, w. 14 z góry, czyt. zam. opuszczali, uprzedzali.

Strona 97, w. 14 z góry, opuszczono moją ręką.

Strona 98, w. 12 z góry, czyt. zam. podobieństwem podobieństwo.

Strona 101, w. 5 z góry, czyt. zam. Ni, Nie-

Strona 106, w. 1 z góry, czyt. zam. ściety, ujęty.

Strona 107 w. 11 z góry opuszczono: aż do tej chwili nie wiedział żaden z więźniów, że on się Mierosławski nazywa, bo i komisarz, który go aresztował, nie wiedział kogo are złuje i odtąd zaczął zeznania swoje składać, itd.

Strona 107, w. 16 z dołu, czytaj zamiast z nimi, z nim.

Strona 108, w. 11 z góry, czytaj zamiast zaczęj, saméj.

Strona 108, w. 6, z dołu, czytaj zamiast wreszcie, zęczenie.

Str. 109, w. 6 z dołu, czyt. zam. spiskowego, i spiskowego.

Str. 111, w. 2 z dołu, czyt. zam. Sowińskiemu, P.....

Str. 112, w. 2 z dołu, czyt. zam. rzeczywista, oczywista.

Str. 113, w. 13 z dołu, czyt. zam. bo to, bo go.

Str. 114, w. 16 z góry czyt. zam. co pod, którzy pod.

Str. 114, w. 7 z dołu, czyt. zam. mówili, mówię.

Str. 115, w. 5 z góry, czyt. zam. niedotrzymaniem, niedotrzymaniem.

Strona 115, w. 18 z góry opuszczono: Prosty natenczas zapozwy narodowej woźny — Mierosławski potrzebował itd.

Str. 115, w. 16 z dołu, czyt. zam. inną arenę, istne areny.

Str. 115, w. 11 z dołu, czyt. zam. zakasowanie zakatowanie.

Str. 119, w. 4, z góry, czyt. zam. aby jakkolwiek zobojet mać winę włancnej, aby jakokolwiek zobojetnieć winę włancną.

Strona 120, w. 17 z góry, czyt. zam. mojej, swojej.

Strona 127, w. 8 z dołu, czyt. zam. mu, im.

Arkusz drugi Igo tomu jest źle złamany — więc pro imy Czytelnika uważać na cyfry stron